

**WŁADYSŁAW
STANISŁAW
REYMONT**

ZIEMIA OBIECANA

Władysław Stanisław Reymont

Ziemia obiecana

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843594

Ziemia obiecana:

Аннотация

Powieść Władysława Reymonta wydana w 1899 roku. Akcja Ziemi Obiecanej rozgrywa się w Łodzi, w latach 80. XIX wieku i opowiada o trzech przedsiębiorcach – Karolu Borowieckim, Maksie Baumie i Morycu Welcie, którzy wspólnie prowadzą fabrykę. Reymont w swojej powieści nie tylko opisuje kolejne losy trzech fabrykantów, lecz także zwraca uwagę na ważne kwestie społeczne – przede wszystkim na dostosowanie (a raczej niemożliwość dostosowania) do miejskiego życia chłopów, którzy przybyli do Łodzi w celach zarobkowych. Autor podejmuje temat problemów, jakie może nieść ze sobą wyzysk kapitalistyczny. Prawdziwym bohaterem powieści okazuje się szeroko rozumiane miasto – zarówno pod względem społecznym, jak i topograficznym.

Содержание

Ziemia obiecana, tom I	4
I	4
II	16
III	41
IV	87
V	96
VI	154
VII	189
VIII	209
Конец ознакомительного фрагмента.	232

Władysław Stanisław Reymont

Ziemia obiecana

Ziemia obiecana, tom I

I

Łódź się budziła.

Pierwszy wrzaskliwy świst fabryczny rozdarł ciszę wczesnego poranku, a za nim we wszystkich stronach miasta zaczęły się zrywać coraz zgietkliwiej inne i dały się chrapliwymi, niesfornymi głosami, niby chór potwornych kogutów piejących metalowymi gardzielami hasło do pracy.

Olbrzymie fabryki, których długie, czarne cielska i wysmukłe szyje – kominy, majaczyły w nocy, w mgłę i w deszczu – budziły się z wolna, buchały płomieniami ognisk, oddychały kłębami dymów, zaczynały żyć i poruszać się w ciemnościach, jakie jeszcze zalegały ziemię.

Deszcz drobny, marcowy deszcz pomieszany ze śniegiem padał wciąż i rozwłóczył nad Łodzią ciężki, lepki tuman¹; bębnił w blaszane dachy i spływał z nich prosto na trotuary, na ulice

¹ *tuman* – mgła. [przypis edytorski]

czarne i pełne grząskiego błota, na nagie drzewa przytulone do długich murów, drżące ze zimna, targane wiatrem, co zrywał się gdzieś z pól przemiękłych i przewalał się ciężko błotnistymi ulicami miasta, wstrząsał parkanami, próbował dachów i opadał w błoto i szumiał między gałęziami drzew i bił nimi w szyby niskiego, parterowego domu, w którym nagle zabłysło światło.

Borowiecki się obudził, zapalił świecę i równocześnie budzik zaczął dzwonić gwałtownie, wskazując piątą.

– Mateusz, herbata! – krzyknął do wchodzącego lokaja.

– Wszystko gotowe.

– Panowie śpią jeszcze?

– Zaraz będę budził, jeśli pan dyrektor każe, bo pan Moryc mówił wieczorem, że chce dzisiaj spać dłużej.

– Idź obudź.

– Klucze już brali?

– Sam Schwarc wstępował.

– Telefonował kto w nocy?

– Kunke był na dyżurze, ale odchodząc nic mi nie mówił.

– Co słyhać na mieście? – pytał prędko, prędeziej jeszcze się ubierając.

– A nic, ino zaś na Gajerowskim rynku zażgali robotnika.

– Dosyć, ruszaj.

– Ale, spaliła się też fabryka Goldberga, na Cegielnianej.

Nasza straż jeździła, ale wszystko dobrze poszło, ostały tylko mury. Z suszarni poszedł ogień.

– Cóż więcej?

– A nic, wszystko poszło *fein*², na *glanc*³ – zaśmiał się rechocząco.

– Nalewaj herbatę, ja sam obudzę pana Moryca.

Ubrał się i poszedł do sąsiednich pokojów, przechodząc przez stołowy, w którym wisząca u sufitu lampa rozrzucała ostre, białe światło na stół okrągły, nakryty obrusem i zastawiony filiżankami i na samowar błyszczący.

– Maks, piąta godzina, wstawaj! – zawołał, otwierając drzwi do ciemnego pokoju, z którego buchnęło duszne, przesycone zapachem fiołków powietrze.

Maks się nie odezwał, tylko łóżko zaczęło trzeszczeć i skrzypieć.

– Moryc! – zawołał do drugiego pokoju.

– Nie śpię. Nie spałem całą noc.

– Dlaczego?

– Myślałem o tym naszym interesie, trochę sobie obliczałem i tak zeszło.

– Wiesz, Goldberg się spalił dzisiaj w nocy i to zupełnie na *glanc*, jak Mateusz mówi...

– Dla mnie to nie nowina – odpowiedział, ziewając.

– Skąd wiedziałeś?

– Ja miesiąc temu wiedziałem, że on się potrzebuje spalić.

Dziwiłem się nawet, że tak długo zwleka, przecież procentów mu

² *fein* (niem.) – dobrze, świetnie. [przypis edytorski]

³ *na glanc* (z niem. *Glanz*: połysk; świetność) – na wysoki połysk, doskonale. [przypis edytorski]

nie dadzą od asekuracji⁴.

– Miał dużo towaru?

– Miał dużo zaasekurowane...

– Bilans sobie wyrównał.

Roześmiali się obaj szczerze.

Borowiecki wrócił do stołowego i pił herbatę, a Moryc, jak zwykle, szukał po całym pokoju różnych części garderoby i wymyślał Mateuszowi.

– Ja tobie zbiję ładny kawałek pyska, ja ci z niego czerwony barchan⁵ zrobię, jak mi nie będziesz składał wszystkiego porządnie.

– Morgen⁶! – krzyknął przebudzony wreszcie Maks.

– Nie wstajesz? Już po piątej.

Odpowiedź zagłuszyły świstawki, które się rozległy jakby tuż nad domem i ryczały przez kilkanaście sekund z taką siłą, aż szyby brzęczały w oknach.

Moryc, w bieliźnie tylko, z paltem na ramionach, usiadł przed piecem, w którym wesoło trzaskały szczapy smolne.

– Nie wychodzisz?

– Nie. Miałem jechać do Tomaszowa, bo Weis pisał do mnie, aby mu sprowadzić nowe gręple⁷, ale teraz nie pojedę. Zimno mi

⁴ asekuracja – tu: ubezpieczenie. [przypis edytorski]

⁵ barchan (z arab.) – rodzaj tkaniny bawełniano-lnianej, barwionej jednostronnie, używanej głównie do wyrobu ciepłej bielizny. [przypis edytorski]

⁶ Morgen (z niem.: ranek) – skrót od *guten Morgen*: dzień dobry. [przypis edytorski]

⁷ grępla (a. *grępel*, *gręplarka*) – urządzenie stosowane do rozczesywania surowych, zmierzwionych włókien bawełnianych, wełnianych, lnianych itp. [przypis edytorski]

i nie chce mi się.

– Maks, także zostajesz w domu?

– Gdzie się będę spieszył? Do tej parszywej budy? A zresztą wczoraj się z fatrem⁸ pożarłem.

– Maks, ty źle skończysz przez to żarcie się ciągle ze wszystkimi! – mruknął niechętnie i surowo Moryc, rozgrzebując pogrzebaczem ogień.

– Co cię to obchodzi! – krzyknął głos z drugiego pokoju.

Łóżko zatrzeszczało gwałtownie i w drzwiach ukazała się wielka figura Maksa, w białym tylko i w pantoflach.

– A właśnie, że mnie to bardzo obchodzi.

– Daj mi spokój, nie irytuj mnie. Karol mnie obudził diabli wiedzą po co, a ten znowu pyskować zaczyna.

Gadał głośno, niskim, silnie brzmiącym głosem.

Cofnął się do swojego pokoju i po chwili wyniósł całą garderobę, rzucił ją na dywan i z wolna się ubierał.

– Ty nam psujesz interes tym swoim żarciem – zaczął znowu Moryc, wciskając złote binokle na swój suchy, semicki nos, bo mu się ciągle zsuwały.

– Gdzie? co? jak?

– Wszędzie. Wczoraj u Blumentalów powiedziałeś głośno, że większość naszych fabrykantów to prości złodzieje i oszuści.

– Powiedziałem, a jakże i zawsze to będę mówił.

Jakiś niechętny, pogardliwy uśmiech przeleciał mu po twarzy, gdy patrzył na Moryca.

⁸ *fater* (z niem. *Vater*) – ojciec. [przypis edytorski]

– Ty, Maks Baum, mówić tego nie będziesz, mówić ci tego nie wolno, to ja ci powiadam.

– Dlaczego – zapytał cicho i oparł się o stół.

– Ja ci powiem, jeśli tego nie rozumiesz. Przede wszystkim, co ci do tego? Co cię to obchodzi, czy oni są złodzieje, czy porządni ludzie? My wszyscy razem jesteśmy tu po to w Łodzi, żeby zrobić *geszeft*⁹, żeby zarobić dobrze. Nikt z nas tutaj wiekować nie będzie. A każdy robi pieniądze, jak może i jak umie. Ty jesteś czerwony, ty jesteś radykał *pons nr 4*¹⁰.

– Ja jestem uczciwy człowiek – burknął tamten, nalewając sobie herbatę.

Borowiecki, oparty o stół łokciami, utopił twarz w dłoniach i słuchał.

Moryc na odpowiedź usłyszaną odwrócił się gwałtownie, aż binokle mu spadły i uderzyły w poręcz krzesła, popatrzył się na Maksa z uśmiechem gryzącej ironii na wąskich ustach, pogładził cienkimi palcami, na których skrzyły się brylantowe pierścionki, rzadką, czarną jak smoła brodę i szepnął drwiąco:

– Nie gadaj Maks głupstw. Tu chodzi o pieniądze. Tu chodzi, żebyś nie wyjeżdżał z tymi oskarżeniami publicznie, bo to naszemu kredytowi może zaszkodzić. My mamy założyć fabrykę we trzech, my nic nie mamy, to my potrzebujemy mieć kredyt i zaufanie u tych, co go nam dadzą. My teraz potrzebujemy

⁹ *geszeft* (z niem. *Geschäft*) – interes. [przypis edytorski]

¹⁰ *pons nr 4* – zapewne: określenie odcienia czerwieni stosowane w przemyśle tekstylnym. [przypis edytorski]

być porządni ludzie, gładcy, mili, dobrzy. Jak ci Borman powie: „Podła Łódź”, to mu powiedz, że jest cztery razy podła – jemu trzeba przytakiwać, bo to gruba fisz¹¹. A coś ty o nim powiedział do Knolla? Że jest głupi cham. Człowieku, on nie jest głupi, bo on ze swojej mózgowicy wyciągnął miliony, on te miliony ma, a my je także chcemy mieć. Będziemy mówić o nich wtedy, jak będziemy mieli pieniądze, a teraz trzeba siedzieć cicho, oni są nam potrzebni; no, niech Karol powie, czy ja nie mam racji – mnie idzie przecież o przyszłość nas trzech.

– Moryc ma zupełną prawie słusność – powiedział twardo Borowiecki, podnosząc zimne, szare oczy na wzburzonego Maksa.

– Ja wiem, że wy macie rację, łódzką rację, ale nie zapominajcie, że jestem uczciwy człowiek.

– Frazes, stary, wytarty frazes!

– Moryc, ty jesteś podły żydziak! – wykrzyknął gwałtownie Baum.

– A ty jesteś głupi, syntymentalny¹² Niemiec.

– Kłóćcie się o wyrazy – ozwał się chłodno Borowiecki i zaczął wdziwać palto. – Żałuję, że nie mogę zostać z wami, ale puszczam w ruch nową drukarnię.

– Nasza wczorajsza rozmowa na czym stanęła? – zapytał spokojnie już Baum.

– Zakładamy fabrykę.

¹¹ *fisz* (z niem. *Fisch*) – ryba. [przypis edytorski]

¹² *syntymentalny* – dziś popr.: sentymentalny. [przypis edytorski]

– Tak, ja nie mam nic, ty nie masz nic, on nie ma nic – zaśmiał się głośno.

– To razem właśnie mamy tyle, w sam raz tyle, żeby założyć wielką fabrykę. Cóż stracimy? Zarobić zawsze można – dorzucił po chwili. – Zresztą, albo robimy interes, albo interesu nie robimy. Powiedzcie raz jeszcze.

– Robimy, robimy! – powtórzyli obaj.

– Co to, Goldberg się spalił? – zapytał Baum.

– Tak, zrobił sobie bilans. Mądry chłop, zrobi miliony.

– Albo skończy w kryminale.

– Głupie słowo! – zachnął się niecierpliwie Moryc. – Ty sobie takie rzeczy gadaj w Berlinie, w Paryżu, w Warszawie, ale w Łodzi nie gadaj. To nieprzyjemne słowa, nam oszczędź ich.

Maks się nie odezwał.

Świstawki znowu zaczęły podnosić swoje przenikliwe, denerwujące głosy i śpiewały coraz potężniej hejnał poranny.

– No, muszę już iść. Do widzenia, spółnicy, nie kłóćcie się, idźcie spać i śnijcie o tych milionach, jakie zrobimy.

– Zrobimy!

– Zrobimy! – powiedzieli razem.

Uścisnęli sobie mocno, po przyjacielsku dłonie.

– Zapisać trzeba dzisiejszą datę; będzie ona dla nas bardzo pamiętną.

– Dodaj tam, Maksie, taki nawias, kto z nas najpierw zechce okpić drugich.

– Ty, Borowiecki, jesteś szlachcic, masz na biletach

wizytowych herb, kładłeś nawet na *prokurze*¹³ swoje *von*, a jesteś największym z nas wszystkich Lodzermenschem – szepnął Moryc.

– A ty nim nie jesteś?

– Ja przede wszystkim mówić o tym nie potrzebuję, bo ja potrzebuję zrobić pieniądze. Wy i Niemcy to dobre narody, ale do gadania.

Borowiecki podniósł kołnierz, pozapinał się starannie i wyszedł.

Deszcz mżył bezustannie i zacinał skośnie, aż do pół okien małych domków, co w tym końcu Piotrkowskiej ulicy stały gęsto przy sobie, gdzieniegdzie tylko jakby rozepchnięte olbrzymem fabrycznym lub wspaniałym pałacem fabrykanta.

Szeregi niskich lip na trotuarze gięły się automatycznie pod uderzeniem wiatru, który hulał po błotnistej, prawie czarnej ulicy, bo rzadkie latarnie rozsiewały tylko koła niewielkie żółtego światła, w którym błyszczało czarne, lepkie błoto na ulicy i migały setki ludzi, w ciszy wielkiej a z pospiechem szalonym biegnących na głos tych świstawek, co teraz coraz rzadziej odzywały się dokoła.

– Zrobimy? – powtórzył Borowiecki, przystając i topiąc spojrzenie w tym chaosie kominów, majaczących w ciemności; w tej masie czarnej, nieruchomej, dzikiej jakimś kamiennym spokojem, fabryk, co stały wszędzie i ze wszystkich stron zdały się wyrastać przed nim czerwonymi, potężnymi murami.

¹³ *prokura* – pełnomocnictwo. [przypis edytorski]

– Morgen! – rzucił ktoś stojącemu, biegnąc dalej.

– Morgen... – szepnął i poszedł wolniej.

Gryzły go wątpliwości, tysiące myśli, cyfr, przypuszczeń i kombinacji przewijało mu się pod czaszką, zapominał prawie, gdzie jest i dokąd idzie.

Tysiące robotników, niby ciche, czarne roje, wypełzło nagle z bocznych uliczek, które wyglądały jak kanały pełne błota, z tych domów, co stały na krańcach miasta niby wielkie śmietniska – napełniło Piotrkowską szmerem kroków, brzękiem blaszanek błyszczących w świetle latarni, stukiem suchym drewnianych podeszew trepów i gwarem jakimś sennym oraz chlupotem błota pod nogami.

Zalewali całą ulicę, szli ze wszystkich stron, zapełniali trotuary, człapali się środkiem ulicy, pełnej czarnych kałuż wody i błota. Jedni ustawiali się bezładnymi kupami przed bramami fabryk, drudzy, uszeregowani w długiego węża, znikali w bramach, jakby połykani z wolna przez buchające światłem wnętrza.

W ciemnych głębiach zaczęły buchać światła. Czarne, milczące czworoboki fabryk błyskały nagle setkami płomiennych okien i niby ognistymi ślepiami świeciły. Elektryczne słońca nagle zawisały w cieniach i skrzyły się w próżni.

Białe dymy zaczęły bić z kominów i rozwłóczyć się pomiędzy tym potężnym kamiennym lasem, co tysiącami kolumn zdawał się podpierać i jakby chwiały się w drganiach

światła elektrycznego.

Ulice opustoszały, gaszono latarnie, ostatnie świstawki przebrzmiały, cisza pełna chlupotu deszczu, coraz cichszych poświstywań wiatru, rozwłóczyła się po ulicy.

Otwierano szynki i piekarnie, a gdzieś tam, w jakimś okienku na poddaszu lub w suterynach, do których sączyło się uliczne błoto, błyskały światła.

Tylko w setkach fabryk wrzało życie wysilone, gorączkowe; głuchy łoskot maszyn drżał w powietrzu mglistym i objął się o uszy Borowieckiego, który wciąż spacerował po ulicy i patrzył w okna fabryk, za którymi rysowały się czarne sylwetki robotników lub olbrzymie kontury maszyn.

Nie chciało mu się iść do roboty. Było mu dobrze tak chodzić i myśleć o tej przyszłej fabryce, urządzać ją, puszczać w ruch, pilnować. Tak się zatapiał w tym rozmarzeniu, że chwilami najwyraźniej słyszał około siebie i czuł tę przyszłą fabrykę. Widział stopy materiałów, widział kantor, kupujących, szalony ruch, jaki panował. Czuł jakąś wielką falę bogactw płynącą mu pod stopy.

Uśmiechał się bezwiednie, oczy mu wilgotnymi blaskami świeciły, na bladą, piękną twarz występowały rumieńce głębokiej radości. Pogładził nerwowo brodę mokrą od deszczu i oprzytomniał.

– Co za głupstwo – szepnął niechętnie i obejrzał się dokoła, jakby z obawy, czy kto nie widział tej chwilowej słabości.

Nie było nikogo, ale już szarzało, ze słabego, przemglonego

świtu zaczynały powoli wychylać się kontury drzew, fabryk i domów.

Piotrkowską zaczynały ciągnąć od rogatek sznury chłopskich wozów, od miasta turkotały po wybojach olbrzymie wozy towarowe ładowane węglem i platformy naładowane przędzą, bawełną w belach, surowym towarem lub beczkami, a pomiędzy nimi przemykały pospiesznie małe bryczki lub powoziki fabrykantów spieszących do zajęć, lub tłukła się z hałasem dorożka wioząca zapóźnionego oficjalistę¹⁴.

Borowiecki przy końcu Piotrkowskiej skręcił na lewo, w małą, niebrukowaną uliczkę, oświetloną kilkoma latarniami na sznurach i olbrzymią fabryką, która już szła¹⁵. Długi czteropiętrowy budynek świecił wszystkimi oknami.

Przebrał się szybko w zafarbowaną, brudną bluzę i pobiegł do swojego oddziału.

¹⁴ *oficjalista* (z łac. *officium*: służba, urząd) – urzędnik. [przypis edytorski]

¹⁵ *szła* – tu: pracowała, funkcjonowała. [przypis edytorski]

II

– Murray dzień dobry! – krzyknął Borowiecki.

Murray okręcony w długi, niebieski fartuch, wysunął się spoza rzędów ruchomych kotłów, w których się gotowały i robiły farby. W mdłym świetle elektrycznym, przesyconym kolorowymi parami, jego długa, koścista twarz starannie wygolona i świecąca blado-niebieskimi, jakby wypełzłymi¹⁶ oczami, robiła wrażenie karykatury z Puncha¹⁷.

– A, Borowiecki! Chciałem widzieć pana, byłem u was wieczorem, zastałem Moryca, ale że ja go nie cierpię, nie czekałem.

– Dobry chłopak.

– Co mi do jego dobroci! Nie cierpię jego rasy.

– Drukują już pięćdziesiąty siódmy numer?

– Drukują. Wydałem farbę.

– Trzyma się?

– Pierwsze metry nieco lakowała. Przysłali z centrali zamówienie na pięćset sztuk tej pańskiej lamy¹⁸.

¹⁶ *wypetły* – wyblakły. [przypis edytorski]

¹⁷ *Punch* (ang. cios) – tygodnik satyryczny ukazujący się w Wielkiej Brytanii latach 1841–1992 i 1996–2002; czasopismo publikowało serie rysunków satyrycznych z rymowanym komentarzem (prototyp komiksu), współpracowali z nim sławni pisarze, m.in. autor *Pierścienia i Róży* William Makepeace Thackeray czy twórca *Kubusia Puchatka*, Alan Alexander Milne. [przypis edytorski]

¹⁸ *lama* – tkanina o osnowie jedwabnej; szyta z niej daw. wytworne stroje, szaty

– Aha, dwudziesty czwarty numer, seledynowa.

– I z filii Bech telefonował o to samo. Czy będziemy robić?

– Dzisiaj już nie. Mamy bojki pilne, mamy jeszcze pilniejsze do drukowania te letnie korty¹⁹.

– Telefonowali o barchan numer siódmy.

– W apreturze²⁰. – Muszę tam zaraz iść.

– Chciałem panu coś powiedzieć...

– Słucham, słucham! – szepnął grzecznie, ale z pewną niechęcią.

Murray ujął go pod rękę i odprowadził w kąt za wielkie beczki, z których co chwila czerpano farby.

Kuchnia, bo tak nazywano tę salę, tonęła w zmroku. Pod okapami wiszącymi nisko, niby pod stalowymi parasolami kręciły się wolno, automatycznie, szerokie miedziane mieszadła, przegarniające farby w wielkich kotłach, błyszczących miedzią polerowaną.

Budynek cały drżał od ruchu maszyn.

Długie transmisje, niby węże blado-żółte, nieskończonej długości, goniły się z szaloną szybkością pod sufitem, przewijały się nad podwójnym szeregiem kotłów, pełzały wzdłuż ścian, krzyżowały się wysoko, ledwie dojrzone w obłoku gryzących kolorowych par, co buchały ustawicznie z kotłów i przyciemniały

liturgiczne oraz używano do dekoracji wnętrz; złotogłów. [przypis edytorski]

¹⁹ kort – tkanina wełniana o skośnym splocie używana głównie na ubrania męskie. [przypis edytorski]

²⁰ apretura – wykańczanie, uszlachetnianie tkanin. [przypis edytorski]

światło i uciekały wśród murów, przez wszystkie otwory do innych sal.

Sylwetki robotników w koszulach umazanych farbami przemykały cicho i jak cienie ginęły w zmroku, wózki z łoskotem wjeżdżały i wyjeżdżały obładowane farbami gotowymi, które wiozły do drukarni i farbiarni.

Ostry straszliwie zapach siarki rozchodził się wszędzie.

– Kupiłem wczoraj meble – szeptał cicho do ucha Borowieckiemu. – Uważasz pan, do saloniku kupiłem żółte jedwabne w stylu empire. Do jadalnego obstalowałem dębowe w stylu Henryka IV, a do buduaru...

– A kiedyż się pan żeni? – przerwał mu dosyć niecierpliwie.

– No, nie wiem jeszcze. Chociaż ja chciałbym jak najprędzej.

– To już po oświadczynach? – spojrzał dosyć ironicznie na zgarbionego i dosyć śmiesznie wyglądającego Anglika; jego garb wydał mu się teraz potwornym, a on sam przypominał małpę tą długą, wystającą szczęką i szerokimi ustami, niezmiernie ruchliwymi.

– Tak jakby już. W niedzielę właśnie powiedziała mi, jak by chciała mieć urządzone mieszkanie. Wypytałem się szczegółowo, odpowiadała tak, jak odpowiadają kobiety, gdy idzie o ich przyszłe gospodarstwo.

– Ostatnim razem myślałeś pan tak samo.

– Tak, ale nie miałem takiej pewności ani w połowie! – zaręczał gorąco.

– No, kiedy tak, to wiesz panu szczerze, kiedyż poznam

narzeczoną?

– Na wszystko przyjdzie czas, na wszystko.

– Dlatego też wierzę, iż się pan w końcu ożeni – szepnął drwiąco.

– Może byś pan przyszedł jutro do mnie, dobrze? Chciałem koniecznie usłyszeć pańskie zdanie o tych meblach.

– Przyjdę.

– Ale kiedy?

– Po obiedzie.

Murray wrócił do farb i laboratorium, a Borowiecki pobiegł dalej do farbiarni przez korytarze i przejścia zapchane wózkami naładowanymi towarem ociekającym wodą, ludźmi i stosami towaru leżącego na ziemi w wielkich kupach, oczekującego swojej kolei.

Co chwila zastępowano mu drogę z najrozmaitszymi interesami.

Wydawał krótkie rozkazy, szybko decydował, pospiesznie informował, czasem obejrzał próbkę z farby, jaką mu przynosił robotnik, rzucał stanowczo:

– Dobre lub jeszcze – i leciał dalej wśród spojrzeń setek robotniczych i szumu fabryki, co niby piekło wrzała chaosem.

Wszystko się trzęsło; ściany, sufity, maszyny, podłogi, huczały motory, świszczwały przenikliwie pasy i transmisje, turkotały po asfaltowej podłodze wózki, szczękały czasem koła rozpędowe, zgrzytały tryby, leciały wskroś tego morza rozbitych drgań jakieś krzyki lub rozlegał się potężny, huczący oddech

maszyny głównej.

– Panie Borowiecki!

Wyteżył oczy, bo wśród par, jakie zalegały całą farbiarnię, nie było nic prawie widać, prócz słabych zarysów maszyn. Nie wiedział, kto woła.

– Panie Borowiecki!

Drgnął, bo go ujęto pod ramię.

– A, pan prezes – szepnął, poznawszy właściciela fabryki.

– Ja pana gonię, ale pan dobrze uciekasz.

– Robota, panie dyrektorze.

– Tak, lak, ja to rozumiem. Zmęczyłem się na śmierć – trzymał go silnie za ramię, zamilkł i dyszał ciężko ze zmęczenia.

– Idzie, co? – zapytał po chwili.

– Robi się – rzucił krótko i szedł naprzód.

Fabrykant uczepiony u jego ramienia włókł się ciężko, podpierał się grubą laską i zgarbiony prawie we dwoje, podnosił okrągłe czerwone oczy jastrzębie i twarz dużą, świecąca, okrągłą, ozdobioną małymi bączkami i wąsami przyciętymi równo.

– Cóż, te Watsony dobrze działają?

– Po piętnaście tysięcy metrów dziennie drukują.

– Mało – mruknął cicho, puścił jego ramię i przysiadł na wózku pełnym surowego perkalu, obciągnął gruby kaftan, w jaki był ubrany, podparł się laską i siedział.

Borowiecki pobiegł do wielkich kadzi farbiarskich, nad którymi, na wielkich wałach rozwinięte zwoje materiałów

kręcili się w kółko i kąpały w farbie, rozpryskując ją na twarze i koszule robotników, którzy stali nieruchomie, co chwila czerpiąc z kadzi wodę dłonią i patrząc, czy jest w niej jeszcze farba, którą wyciągał materiał.

Kilkadziesiąt tych wałów ustawionych rzędem, toczyło się wciąż w kółko, z męczącą jednostajnością, długie, poskręcane zwoje materiałów pławiły się w farbach i błyskały w mgłę matowymi plamami czerwieni, błękitu i ochry.

Z drugiej strony, za podwójnym rzędem żelaznych słupów, podtrzymujących wyższe piętra fabryki i rozrośniętych gęsto po olbrzymiej sali, stały płuczkarnie; długie skrzynie, pełne wrzącej wody pieniącej się sodą, praczek mechanicznych, wyżymaczek, mydła, przez które przesuwiał się surowy materiał; bryzgi rozbitej trzepaczkami wody rozsypywały się na salę i tworzyły nad praczkarniami tak gęsty tuman, że światła paliły się zaledwie jakby odbite w lustrze.

Mechaniczne odbieracze szczękały, odbierając wyprany już towar, na siebie, niby na rozkrzyżowane ręce i oddawały go robotnikom, którzy prętami układali go w wielkie fałdy na wózki, podsuwane co chwila.

– Panie Borowiecki! – zawołał fabrykant do jakiegoś cienia, co się wychylił z mgieł, ale to nie był Borowiecki.

Podniósł się i włókł swoje chore zreumatyzmowane nogi po sali, kąpał się z rozkoszą w tej rozpalonej atmosferze. Zatapiał swoje schorowane ciało w sali pełnej oparów, ostrych zapachów farb, wody przyskającej z płuczkarek i z kadzi, ściekającej

z wózków, chlupiącej pod nogami, lejącej się ze sufitów, z których skroplona para opadała prawie strumieniami.

Szalony, podobny do drgającego jęku, szcęk centryfugi²¹, wyciągającej wodę z materiałów, przenikał całe sale, wświdrowywał się w nerwy robotników pilnujących, wpatrzonych w robotę i pochłoniętych zupełnie czuwaniem nad maszynami i rozbijał się o kolorowe, powiewające niby sztandary, materiały na odbieraczach.

Borowiecki teraz był w sąsiedniej sali, gdzie na niskich angielskich maszynach starego systemu farbowano ordynarny²² czarny towar na męskie ubrania.

Dzień wlewał się setkami okien i kładł zielonawy ton na czarne opary i na robotników, co niby kolumny z bazaltu stali nieruchomi, z założonymi rękami, wpatrzeni w maszyny, przez które przesuwaly się dziesiątki tysięcy metrów gryzione przez spienione, bryzgające, czarne farby.

Mury drżały ciągle. Fabryka pracowała wszystkimi mięśniami.

Windy, osadzone w murach, łączyły dół fabryki z jej czterema piętrami wierzchu. Co chwila rozlegał się głuchy szcęk w innej stronie sali, to winda brała lub wyrzucała z siebie wózki, towary, ludzi...

Dzień i do wielkiej sali zaczął zaglądać, brudne światło

²¹ *centryfuga* – wirówka do rozdzielania mieszanin złożonych ze składników różnej gęstości. [przypis edytorski]

²² *ordynarny* (daw.) – zwykły. [przypis edytorski]

wciskało się przez małe zapocone szybki, zasnuwane brudem i parą, wyłaniając z nich zarysy pełniejsze maszyn i ludzi, ale w tym szaro-zielonawym świetle, po którym pływały długie smugi czerwonych oparów i gdzie pyliły się nimby gazowych świateł – i ludzie i maszyny wyglądali jak nieprzytomni, jak widziadła porwane straszną siłą ruchu; jak jakieś strzępy, pyły, drzazgi skłębione, splątane, rzucone w wir, który z hukiem się przewalał.

Herman Bucholc, właściciel fabryki, gdy obejrzał farbiarnię, powlókł się dalej.

Przechodził pawilony, podnosił się w górę windami, schodził schodami, sunął się długimi korytarzami, przyglądał się maszynom, oglądał towar, rzucał czasem posępnym okiem na ludzi, czasem rzekł jakieś krótkie słowo, które jak błyskawica oblatywało całą fabrykę, odpoczywał na stosach sztuk, czasem na progach; niknął, aby za chwilę pokazać się w innej stronie fabryki, przy składach węgla, pomiędzy wagonami, których rzędy stały z jednej strony olbrzymiego czworoboku dziedzińca, ogrodzonego niby parkanem, murami fabryki.

Był wszędzie, a chodził jak noc jesienna ponury i milczący; gdzie się tylko zjawił, gdzie przeszedł, rozmowy milkły, twarze się pochylały, oczy przestawały widzieć, postacie się zginały i kurczyły, jakby chcąc ująć spod promienia jego oczów.

Spotykał się kilkakrotnie z Borowieckim, biegającym ustawicznie po oddziale.

Spoglądali na siebie przyjaźnie.

Herman Bucholc lubił swojego dyrektora drukarni, więcej, on

go szacował na całe te 10 000 rubli, jakie mu płacił rocznie.

– To jest najlepsza moja maszyna w tym oddziale – myślał, patrząc na niego.

Sam już się nie zajmował niczym, zięć prowadził fabrykę, a on wskutek przyzwyczajenia całego życia co rano przychodził do niej razem z robotnikami.

W fabryce jadał śniadanie i przesiadywał do południa, a po obiedzie, jeśli nie jeździł do miasta, to łąził po kantorach, składach, magazynach bawełny.

Nie mógł żyć z dala od tego potężnego królestwa, które stworzył pracą własną całego życia i mocą swojego geniuszu przemysłowego, musiał czuć pod nogami, w sobie, te roztargane, trzęsące się mury; czuł się dopiero dobrze przedzierając się przez przedzę transmisji i pasów, rozwleczoną po całej fabryce, wśród ostrych zapachów farb, blichowni²³, surowego materiału i smarów rozgrzanych w tym upale strasznym.

Siedział teraz w drukarni i przysłoniętymi oczyma patrzył na salę, jasno oświetloną wielkimi oknami, na maszyny drukarskie w ruchu, na te piramidy żelazne pracujące pospiesznie i w jakiejś groźnej ciszy.

Przy każdej drukarce osobna maszyna parowa świstała swym kołem pociągowym, które niby srebrne, wypolerowane tarcze, migotały z taką szaloną szybkością, że nie można było pochwycić konturów, a tylko jakiś nimb²⁴ srebrny wirował dokoła swojej osi

²³ *blichownia* – maszyna do odłuszczenia i bielienia materiału. [przypis edytorski]

²⁴ *nimb* (z łac. *nimbus*: chmura) – świetlista aura, poświata, aureola. [przypis

i rozpyłał świetlany, roziskrzony tuman.

Maszyny działały z nieustającym ani na chwilę pośpiechem; długie nieskończenie pasy materiałów, co się przewijały pomiędzy walcami miedzianymi, odciskającymi na nich barwy deseni, ginęły w górze, na wyższym piętrze, w suszarni.

Ludzie z tyłu maszyn podkładający towar do drukowania, poruszali się sennie, a majstrowie stali przed maszynami, co chwila któryś się pochylał, przypatrywał walcom, dolewał farby z wielkich kadzi, patrzył na materiał, i znowu stał zapatrzony w te tysiące metrów, biegnących z szalonym pośpiechem.

Borowiecki wpadał do drukarni, aby śledzić działanie świeżo umontowanych²⁵ maszyn, porównywał próbki ze świeżo drukowanymi materiałami, wydawał polecenia, czasem na jego skinienie zatrzymano działający kolos, oglądał szczegółowo i szedł dalej znowu, bo ten potężny rytm fabryki, te setki maszyn, tysiące ludzi śledzących z najwyższą, prawie pobożną uwagą za ich działaniem, te góry towarów leżących, przewożonych wózkami, snujących się przez sale z pralni do farbiarni, z farbiarni do suszarni, stamtąd do apretury i w dziesięć jeszcze innych miejsc nim wyszły gotowe – porywał go.

Chwilami tylko siadał w swoim gabinecie, położonym przy „kuchni” i tam, w przerwie pomiędzy kombinowaniem nowych deseni, oglądaniem przysłanych z zagranicy próbek, których olbrzymie, naklejone w albumy, stosy leżały po stołach –

edytorski]

²⁵ *umontowany* – dziś: zamontowany. [przypis edytorski]

zamyślał się, a raczej próbował myśleć o sobie, o tym projekcie fabryki planowanej łącznie z przyjaciółmi – ale nie mógł zebrać myśli, nie mógł ani na chwilę zamknąć się w sobie, bo ta fabryka, której szum huczał w jego gabinecie, której ruch i pulsowanie czuł we własnych nerwach, w tętnie krwi nieomal, nie pozwalała się odosobnić, ciągnęła nieprzeparcie, zmuszała do służby i warowania każdego, który krążył w jej orbicie.

Zrywał się i biegł znowu, ale dzień mu się strasznie dłużył, tak, że około czwartej poszedł do kantoru, który był w innym oddziale, aby wypić herbaty i zatelefonować do Moryca, aby był dzisiaj w teatrze, gdzie dawano przedstawienie amatorskie na jakiś cel dobroczynny.

– Pan Welt dopiero z pół godziny jak od nas wyszedł.

– Tutaj był?

– Brał pięćdziesiąt sztuk białego towaru.

– Dla siebie?

– Nie, na zlecenie Amfiłowa, do Charkowa. Cygarem można służyć?

– Owszem, zapalę, bo jestem diabło zmęczony.

Zapalił i siadł na wysokim taburecie²⁶, przed pustym biurkiem.

Główny buchalter kantoru, który go z uniżonością traktował cygarem, stał przed nim, napychając sobie fajkę tytoniem, kilku młodych chłopaków, usadowionych na wysokich kobyłkach, pisało w wielkich, czerwono poliniowanych książkach.

²⁶ *taburet* – dziś: taboret. [przypis edytorski]

Cisza, jaka tutaj panowała, drażniący skrzyp piór, monotonne cykanie zegaru²⁷, denerwująco działały na Borowieckiego.

– Cóż słysząc, panie Szwarz? – zapytał.

– Rosenberg się załamał.

– Zupełnie?

– Nie wiadomo jeszcze, ale ja myślę, że się będzie układał, no, bo co za interes robić zwykłą klapę? – zaśmiał się cicho i przybijał palcem wilgotny tytoń w fajce.

– Firma traci?

– To zależy od tego, ile będzie płacił za sto.

– Bucholc wie?

– Nie był jeszcze dzisiaj u nas, ale jak się dowie, zabolą go odciski; jest czuły na straty.

– Jego szlag może trafić – szepnął któryś z pochylonych przy robocie.

– Byłaby szkoda!

– Bardzo wielka, niech Bóg broni!

– Niech żyje sto lat, niech ma sto pałaców, sto milionów, sto fabryk.

– I niech go razem sto choler ciśnie! – szepnął cicho któryś.

Cisza się zrobiła.

Szwarc patrzył groźnie na piszących, to na Borowieckiego, jakby chciał się usprawiedliwiać, że on nic nie winien, ale Borowiecki znudzonym wzrokiem patrzył w okno.

W kantorze panowała atmosfera przytłaczającej nudy.

²⁷ zegaru – dziś popr. forma D. lp: zegara. [przypis edytorski]

Ściany aż po sufit wyłożone drzewem malowanym na dąb, pełne półek i ksiąg, rozstawionych systematycznie, żółciły się smutnie.

Naprost²⁸ okien stał wielki, czteropiętrowy budynek, z nagiej, czerwonej cegły i rzucał szaro-rdzawy, przygnębiający refleks do kantoru.

Przez podwórko wylane asfaltem, po którym turkotały od czasu do czasu wózki i przechodzili ludzie, w kilku kierunkach biegły na wysokości pierwszego piętra grube, jak ramiona atlety, transmisje, warcząc głucho, od czego szyby w kantorze ustawicznie drżały.

Wysoko nad fabryką wisiało niebo ciężką, brudną płachtą, z której ściekał drobny deszcz i spływał po zabrudzonych murach smugami jeszcze brudniejszymi i sączył się po oknach kantoru, zakurzonych pyłem węglowym i bawełnianym, niby wstrętne płwociny.

W kącie kantoru, nad gazem, zaczął szumieć samowar.

– Panie Horn, może pan dać mi herbaty?

– A może pan dyrektor zechce butersznicik²⁹! – ofiarowywał uprzejmie Szwarz.

– Tylko trochę koszerny.

– To znaczy, że lepszy niżli pan jadasz, panie von Horn!

Horn przyniósł herbatę i zatrzymał się na chwilę.

²⁸ *naprost* – dziś: na wprost; naprzeciwno. [przypis edytorski]

²⁹ *butersznicik* (z niem.) – kromka chleba z masłem, kanapka; tu: zdrobn. [przypis edytorski]

– Co panu jest? – zapytał go Borowiecki, który z nim znał się bliżej.

– Nic – odparł krótko i powlókł niezawistnym³⁰ spojrzeniem po Szwarcu, który rozwijał butersznity z gazety i układał je przed Borowieckim.

– Wyglądasz pan bardzo źle.

– Panu Horn nie służy fabryka. Po salonach trudno mu się przyzwyczaić do kantoru i do roboty.

– Bydlę albo inny parszywiec może się łatwo przyzwyczaić do jarzma, ale człowiekowi trudniej – syknął ze złością, ale tak cicho, że Szwarc nie zrozumiał słów, spojrzał uważnie, uśmiechnął się tępo i szepnął:

– Panie von Horn! Panie von Horn! Może pan dyrektor spróbuje, jest tu kombinacja szynki z pulardą, bardzo dobra, moja żona jest sławna z tego.

Horn odszedł, usiadł przy biurku i błędził spojrzeniem po murach czerwonych, po oknach, za którymi bielity się stopy szarpanej do przędzenia bawełny.

– Daj mi pan jeszcze herbaty.

Borowiecki chciał go wybadać.

Horn herbatę przyniósł i nie podnosząc oczów zawrócił się do odejścia.

– Panie Horn, może pan za jakie pół godziny przyjdzie do mnie?

– Dobrze, panie dyrektorze. Ja nawet miałem interes i w tym

³⁰ *niezawistnym* – raczej powinno być tu: *nienawistnym*. [przypis edytorski]

celu jutro się wybierałem do pana. A może pan teraz zechcesz wysłuchać?

Chciał coś poufnie szepnąć, ale do kantoru weszła kobieta, czworo dzieci wpychając przed sobą.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – szepnęła cicho, ogarnęła wzrokiem te wszystkie głowy, co się podniosły znad pulpity, schyliła się pokornie do nóg Borowieckiego, bo stał najbliżej i miał najbardziej okazałą twarz.

– Wielmożny panie dziedzicu, a to z prośbą przyszłam, wedle tego, co mojemu mężowi głowę urwało w maszynie, co ja teraz sierota biedna z dziećmi, co my jesteśmy biedne. Tom przyszła dopraszać się sprawiedliwości, aby mi pan dziedzic dał wspomóżenie jako mojemu mężowi urwało głowę w maszynie. Wielmożny panie dziedzicu – i schyliła się znowu do kolan Borowieckiego, wybuchając płaczem.

– Za drzwi, wynosić się, tutaj takich spraw nie załatwia się! – krzyknął Szwarz.

– Cicho pan bądź! – zawołał na niego Borowiecki po niemiecku.

– Proszę pana, ona już od pół roku nachodzi wszystkie oddziały i kantory nasze, nie można się jej pozbyć niczym..

– A dlaczego niezadowolone?

– Pan się pyta? Ten cham umyślnie podłożył łeb pod koło, jemu się nie chciało pracować, a jemu się chciało okraść fabrykę! My teraz mamy płacić na jego babę i bękarty!

– A ty parchu jeden, to moje dzieci bękarty! – wykrzyknęła

kobieta, w pasji przyskakując do Szwarca, który cofnął się za stół.

– Cicho kobieto! Niech pani uspokoi się i coby te małe panowie nie płakali – zawołał przestraszony, wskazując na dzieci, które uczepliły się matki i krzyczały wniebogłosy.

– Wielmożny dziedzicu, jużci że prawda co od samych kopań chodzę i ciągiem mi obiecują, że zapłacą, ciągiem chodzę i proszę, to mnie cyganią ino i wyciepują³¹ kiej³² sukę za drzwi.

– Uspokójcie się, pomówię dzisiaj z właścicielem, przyjdźcie tutaj za tydzień, to wam zapłacą.

– Ażeby ci Pan Jezus i ta Częstochowska szczęściła na zdrowiu, na majątku, na honorze, o mój dziedzicu kochany! – wykrzykiwała, przypadając mu do nóg, całując go po rękach.

Wydarł się jej i wyszedł, ale przystanął w wielkiej sieni i gdy wychodziła, zapytał:

– Z których wy stron?

– Adyć panie, jaże³³ z pod Skierniewiec.

– Dawno w Łodzi?

– A będzie ze dwa roki jak my się tutaj przenieśli na swoje zatracenie.

– Chodźcie gdzie do roboty?

– A bo mnie to chcą gdzie przyjąć te poganiny, te heretyki

³¹ *wyciepywać* (gwar.) – wyrzucać. [przypis edytorski]

³² *kiej* (gwar.) – niby, niczym. [przypis edytorski]

³³ *jaże* (gwar.) – aż. [przypis edytorski]

zapowietrzzone, a po drugie kaj³⁴ ja ostawię swoje sieroty.

– Z czegoż żyjecie?

– Bidujem, wielmożny panie, bidujem. Mieszkam na Bałutach z jednym weberami i jaże całe trzy ruble płacę za pomieszkanie miesięcznie. Póki mój nieboszczyk żył, to choćby często gęsto było ze solą albo i z głodem, ale się ta żyło, a teraz kiej³⁵ jego nie stało, to chodzę na Stare Miasto do posługi, czasem kto zawoła do prania i tak jest – gadała prędko, okręcając dzieci w jakieś ohydnie brudne strzepy chustek.

– Czemu nie wróćcie na wieś do domu?

– Wrócę panie, kiej mi tylko zapłacą za chłopa, to juści, że wrócę, a niech tam to miasteczko Łódź mór³⁶ nie minie, niech ją ta ogień spali, niech ich tam Pan Jezus niczego nie żałuje, coby wszystkie wyzdychały, co do jednego.

– Cicho bądźcie, nie macie za co przeklinać – szepnął nieco podrażniony.

– Ni mam za co? – wykrzyknęła zdumiona, podnosząc na niego bladą, brzydką, przegryzioną przez nędzę twarz i zapłakane, wybladłe niebieskie oczy. – A to, wielmożny panie, my na wsi byli ino komorniki, bo mój miał trzy morgi gruntu, co mu przyszły w schedzie po ojcu, to że nie było za co postawić chałupy, tośwa mieszkali u stryjecznych swoich. Myśwa żyli z wyrobku ino, ale zawždy człowiek mieszkał po ludzku i kartofli

³⁴ kaj (gwar.) – gdzie. [przypis edytorski]

³⁵ kiej (gwar.) – kiedy, gdy. [przypis edytorski]

³⁶ mór (daw.) – epidemia śmiertelności choroby. [przypis edytorski]

gdzie przysądził na odrobek i gąskę się uchowało albo i świniaka i jajko miał swoje i krowę mieliśwa, a tutaj co? Harował nieborak od świtu do nocy i jeść nie było co, żyliśmy kiej te dziady ostatnie, a nie kiej krześcianie, kiej psy, a nie kiej gospodarze poczciwi³⁷.

– Pocóżeście tutaj przyjechali, trzeba było siedzieć na wsi.

– Po co? – zawołała boleśnie. – A bo ja wiem! Szły wszystkie, to i myśwa poszły. Na wiosnę poszedł Jadam, ostawił kobitę i poszedł. Przyjechał po żniwach taki wystrojony, co go nikt nie mógł poznać, cały w kortach i zegarek miał srybrny i piestrzonek i tyła piniędzy, coby na wsi i bez trzy roki nie zarobił. Ludzie się dziwowali, a ten zapowietrzony cyganił, bo mu za to zapłacili, żeby ludzi wiejskich sprowadził, obiecywał Bóg wie nie co. Tak zaraz poszło z nim dwóch parobków, Janków syn i Grzegorza spod lasu, a potem to już kto ino mógł, to leciał do tego miasteczka Łodzi. Kuźdymu się chciało kortów, zegarka i rozpusty! Ja mojego strzymywałam, bo po co nam było tutaj iść, do obcych w tyli świat, to me sprął kiej bydlaka i poszedł, a potem przyjechał i zabrał ze sobą. Mój Jezu kochany, mój Jezu! – szeptała chlipiąc boleśnie i rozcierając sobie nos i łzy brudnymi rękami i tak się zaczęła trząść w tym rozpaczliwym płaczu, że dzieci przytuliły się do niej i także zaczęły płakać cicho.

– Macie tutaj pięć rubli i zróbcie tak, jak wam mówiłem.

Miał tego już dosyć, odwrócił się spieszenie i wyszedł, nie

³⁷ *poczciwy* (daw.) – godny czci, szacunku. [przypis edytorski]

czekając podziękowań.

Nie cierpiał roztkliwień i czułości, a ta kobieta poruszyła w nim zamierającą z wolna, duszoną świadomie – uczuciowość.

Stał czas jakiś przy kotle „oksydacyjnym” Mather-Platta, przez który przechodził towar suchy i już drukowany i z pewnym roztargnieniem przyglądał się barwom świeżo wytworzonym, a raczej rozwiniętym w przesunięciu się towaru przez kocioł. Żółte, nałożone bejcem kwiatki, zmieniły się na pąsowe pod wpływem wysokiej temperatury i skomplikowanych roztworów soli anilinowej.

Fabryka po chwilowym odpoczynku podwieczorkowym, pracowała znowu z jednaką energią.

Borowiecki wyjrzał na świat z okien swojego gabinetu, bo poszarzało nagle i zaczął padać śnieg nadzwyczaj gęstymi płatami i pobielił ściany fabryk i dziedziniec. Spostrzegł Horna stojącego za domkiem szwajcara, przez który było jedyne wyjście z fabryki. Horn rozmawiał z tą samą kobietą, która mu za coś dziękowała z uniesieniem i chowała jakiś papier za stanik.

– Panie Horn! – krzyknął, wychylając przez lufcik głowę.

– Miałem przyjść właśnie do pana – ozwał się Horn, zjawiając się po chwili.

– Coś pan radził tej babie? – zapytał surowym dosyć głosem, patrząc w okno.

Horn zawahał się przez mgnienie, rumieniec powlókł jego dziewczęco piękną twarz, a w niebieskich, dobrych oczach zamigotał płomień.

– Kazałem jej iść do adwokata, niechaj wytoczy proces fabryce o odszkodowanie, bo wtedy prawo zmusi ich do zapłacenia.

– Co to pana obchodzi? – zaczął lekko bębnić po szybie i przygryzać usta.

– Co mnie obchodzi? – zamilkł na chwilę. – Bardzo mnie obchodzi wszelka nędza i wszelka niesprawiedliwość, bardzo...

– Czym pan tutaj jesteś? – przerwał mu ostro i usiadł przed długim stołem.

– No jestem praktykantem kantorowym, pan dyrektor przecież wie najlepiej – odpowiedział zdumiony.

– No, to panie Horn, pan nie skończysz tej praktyki, jak mi się zdaje.

– Wreszcie, to mi jest już wszystko – jedno szepnął dosyć twardo.

– Ale nam nie jest wszystko jedno, nam – fabryce, w której pan jesteś jednym z miliona kółek! Przyjęliśmy pana nie na to, żebyś tutaj produkował się ze swoją filantropią, a tylko, abyś robił. Pan wprowadzasz zamęt tutaj, gdzie wszystko polega na najdoskonalszym funkcjonowaniu, na prawidłowości³⁸ i zgodności.

– Nie jestem maszyną, jestem człowiekiem.

– W domu. W fabryce od pana nie wymaga się egzaminów na człowieczeństwo, ani egzaminów na humanitarność, w fabryce potrzebne są pańskie mięśnie i mózg pański i tylko za to płacimy panu – rozdrażniał się coraz bardziej. – Jesteś pan tutaj maszyną

³⁸ *prawidłność* – dziś: *prawidłowość*. [przypis edytorski]

taką samą jak my wszyscy, więc pan rób tylko to, co do pana należy. Tutaj nie miejsce do rozanieleń, tutaj...

– Panie Borowiecki! – przerwał mu szybko.

– Panie von Horn! Słuchaj pan, kiedy mówię do pana – zawołał groźnie, zrzucając gniewnie wielkie album³⁹ próbek na ziemię. – Bucholc przyjął pana na moje zaręczenie, znam pańską rodzinę, pragnę dla pana najlepiej, ale pan jesteś jak widzę chory na dziecinną demagogię.

– Jeżeli pan tak nazywasz współczucie zwykłe u ludzi.

– Pan mnie kompromitujesz takimi radami, dawanymi wszystkim mającym jakie bądź pretensje do fabryki. Trzeba było zostać panu adwokatem, byłbyś się wtedy mógł opiekować nieszczęśliwymi i pokrzywdzonymi, ma się rozumieć za dobrą zapłatą – dorzucił drwiąco, bo jego gniewny nastrój przepadł gdzieś, pod wpływem tych dobrych oczów Horna, wpatrzonych w niego. – Zresztą dajmy tej sprawie spokój. Będziesz pan dłużej w Łodzi, rozpatrzysz się w stosunkach, przyjrzyś się lepiej tym uciśnionym, to pan zrozumiesz, jak trzeba postępować. A weźmiesz pan interes po ojcu, to wtedy przyznasz mi zupełną rację.

– Nie, panie, ja w Łodzi dłużej nie wytrzymam, ani interesu po ojcu nie obejmę.

– Cóż pan chcesz zrobić? – wykrzyknął zdumiony.

– Jeszcze nie wiem. Przyznaję się panu szczerze, chociaż tak ostro, za ostro pan mówi do mnie, ale mniejsza z tym, bo wiem,

³⁹ *wielkie album* – dziś r.m.: wielki album. [przypis edytorski]

że pan, jako dyrektor takiej wielkiej drukarni, mówić inaczej nie może.

– Więc pan odchodzisz od nas? tyle zrozumiałem, ale nie wiem dlaczego?

– Dlatego, że już wytrzymać nie mogę w tym podłym chamstwie łódzkim. Pan jako człowiek pewnej sfery, rozumie mnie chyba. Dlatego, że ja całą duszą nienawidzę zarówno fabryk, jak i wszystkich Bucholców, Rozensztejnów, Entów, całej tej ohydnej, przemysłowej bandy – wybuchnął gwałtownie.

– Ha, ha, ha, pan jesteś wspaniały fioł, nieporównany! – śmiał się Borowiecki serdecznie.

– To już nic więcej nie powiem – rzekł mocno dotknięty.

– Jak pan chce, a zawsze lepiej głupstw mówić mniej.

– Do widzenia.

– Żegnam pana. Ha, ha, ha, pan masz zdolności aktorskie!

– Panie Borowiecki – zaczął prawie ze łzami w oczach Horn, zatrzymując się i chciał coś mówić.

– Co?

Horn skłonił głowę i wyszedł.

– Kapitalny mazgaj – szepnął za nim Borowiecki i także poszedł do suszarni.

Owionęło go suche, rozpalone powietrze.

Olbrzymie czworoboki z blachy, wypełnione straszliwie rozpalonym i suchym powietrzem brzęczały niby oddalone grzmoty, wymiotując niekończący się pas materiałów kolorowych, suchych i sztywnych.

Na niskich stołach, na ziemi, na wózkach, które suwały się cicho, leżały całe sterty materiałów i w tym suchym, jasnym powietrzu sali, której ściany były prawie ze szkła, paliły się przyćmionymi barwami złota przykopconego, purpury o fioletowym odcieniu, błękitu marynarskiego, starego szmaragdu – niby stosy blach metalowych o matowym, martwym blasku.

Robotnicy w koszulach tylko i boso, z szarymi twarzami, z oczami zagasłymi i jakby wypalonymi tą orgią barw, jaka się tutaj tłoczyła, poruszali się cicho i automatycznie, tworzyli tylko dopełnienie maszyn.

Czasem który patrzył przez szyby w świat, na Łódź, która z tej wysokości czwartego piętra majaczyła w mgłach i dymach poprzecinanych tysiącami kominów, dachów, domów, drzew ogołoconych z liści; to znów na drugą stronę, na pola, co szły w głąb horyzontu – na szaro białe, brudne, zalane wiosennymi roztopami przestrzenie, majaczące gdzieś czerwonymi gmachami fabryk, które z oddalenia czerwieniły się wskroś mgieł bolesnym tonem mięsa odartego ze skóry; na odległe linie wiosek małych, przywartych cicho do ziemi, na drogi, co się wywijają wskroś pól, czarną ciekącą błotem wstęgą, migającą pomiędzy rzędami nagich topoli.

Maszyny huczały bezustannie i bezustannie świstały transmisje uczezione pod sufitem i niosące siłę do innych sal, wszystko się poruszało w rytm tych olbrzymich pudeł metalowych suszarni, które odbierały towar mokry

z drukarni i wypluwały go suchym, i stały w tej olbrzymiej, czworokątnej sali pełnej smutnych barw i smutnego światła dnia marcowego, smutnych ludzi, niby kapliczki boga-siły, rządzącego wszechwładnie.

Borowiecki czuł się rozstrojonym i z roztargnieniem oglądał towar, czy nie jest zbyt przesuszony lub spalony.

– Głupi chłopak – myślał o Hornie i chwilami stawała mu w pamięci ta młoda, szlachetna twarz i te oczy niebieskie, patrzące na niego z jakimś niemym żalem zawodu i wyrzutu. Czuł w sobie jakieś ciemne zaniepokojenie. Niektóre słowa Horna przychodziły mu na myśl, gdy patrzył na te tłumy ludzi w milczeniu pracujących.

– Byłem takim – poleciał myślą do tamtych, dawnych czasów, ale nie dał się ująć wspomnieniom w swoje szarpiące szpony, drwiący uśmiech wił mu się po ustach, a oczy świeciły zimno i rozważnie.

– To przeszło! przeszło! – myślał z jakimś dziwnym uczuciem pustki, jakby mu żal było tamtych czasów, żal tych złudzeń niepowrotnych, porywów szlachetnych, zszarganych przez życie – ale to krótko trwało i znowu siebie odzyskiwał; był tym czym był, dyrektorem drukarni Hermana Bucholca, chemikiem, człowiekiem zimnym, mądrym, obojętnym, gotowym do wszystkiego, prawdziwym Lodzermenschem, jak go nazwał Moryc.

W takim był właśnie nastroju przechodząc przez apreturę, gdy mu jeden z robotników zastąpił drogę.

– Czego? – zapytał krótko, nie zatrzymując się.

– A to nasz majster pan Pufke powiedział, że od pierwszego kwietnia będzie nas piętnastu ludzi mniej robiło

– Tak. Ustawi się nowe maszyny, które tylu ludzi nie potrzebują do obsługi, co stare.

Robotnik miał czapkę w rękę, nie wiedząc co powiedzieć i nie śmiejąc, ale zachęcony spojrzeniami, które błyskały zza maszyn, zza sągów materiałów, zapytał idąc za nim.

– A cóż my będziemy robili?

– Poszukacie sobie roboty gdzie indziej. Pozostaną tylko ci, którzy dawniej u nas pracują.

– A i my robimy już po trzy roki.

– Cóż ja wam poradzę, kiedy maszyna was nie potrzebuje, bo zrobi sama. Zresztą, do pierwszego może się jeszcze co zmieni, jeśli będziemy powiększali blich⁴⁰ – odpowiedział spokojnie i wszedł na windę, która zaraz z nim zapadła się w głębi ściany.

Robotnicy spoglądali na siebie w milczeniu, niepokój świecił im w oczach, niepokój przed jutrem, bez roboty, przed nędzą.

– Ścierwy nie maszyny. Psy, psiakrew – szepnął robotnik i kopnął z całą nienawiścią w bok jakiejś maszyny.

– Towar idzie na ziemię! – krzyknął majster.

Chłop prędko nadział czapkę, przygiął się nieco i ze spokojem automatu odbierał barchan czerwony z maszyny.

⁴⁰ *blich* (a. *blech*) – miejsce, w którym bielono tkaniny. [przypis edytorski]

III

W restauracji hotelu Victoria było pełno.

Wielkie, niskie pokoje o ciemnych ścianach i żółtych, stiukowych sufitach, udających drzewo, napełniał hałaśliwy gwar.

Wejściowe drzwi z bramy co chwila brzęczały mosiężnymi prętami zabezpieczającymi szkło, co chwila ktoś wchodził i ginął w mgłę dymów i w tłumie ludzi zapełniających restaurację; elektryczne światła w sali bufetowej wciąż drgały spazmatycznie i przygasały, a gazowe bąki płonące równocześnie, rzucały mętne światło na zbitą około licznych stolików masę ludzi i na białe obrusy.

– Kelner, bitte, zahlen⁴¹!

– Piwa!

– Kelner, Bier⁴²!

Krzyżowały się wołania razem z głuchym stukiem kufli.

Garsoni⁴³ w zatłuszczonych frakach, z serwetami podobnymi do ścierek, przesuwali się we wszystkich kierunkach, błyskając brudnymi gorsami nad głowami pijących.

Wrzawa podnosiła się bezustannie napływającymi ludźmi

⁴¹ *kelner, bitte, zahlen* (niem.) – dosł. kelner, proszę, (chcę) płacić; kelner, rachunek proszę. [przypis edytorski]

⁴² *Bier* (niem.) – piwo. [przypis edytorski]

⁴³ *garson* (z fr.) – kelner. [przypis edytorski]

i wykrzykiwaniem:

– „Lodzer Zeitung⁴⁴”! „Kurier Codzienny”! – jakie rzucali chłopcy kręcący się pomiędzy stołami.

– Szczygieł, daj no Lodzerkę – zawołał Moryc, siedzący w pokoju bufetowym, pod oknem, w otoczeniu kilku aktorów, wiecznie przesiadających⁴⁵ w knajpie – uważacie, co zrobił wczoraj nasz „fioł” vel dyrektor.

– Mów arcyfioł – wtrącił szeptem jakiś zgarbiony, stary aktor.

– Głupiś – odpowiedział mu pierwszy tajemniczym szeptem do ucha. – Otóż nasz arcyfioł wczoraj w antrakcie drugim przyszedł za kulisy i skoro tylko Niusia zeszła ze sceny, powiada jej: „Tak pani grała wspaniale, że jak tylko kwiaty będą trochę tańsze, to kupię pani bukiet, chociażby za całe pięć rubli!”

– Co powiedział? – zapytał stary aktor, nachylając się do ucha sąsiada.

– Żebyś pan pocałował psa w nos.

Wybuchnęli śmiechem.

– Panie Welt, panie Maurycy, czy pan nie jesteś za cwaj-koniak⁴⁶ systemem, co?

– Panie Bum-Bum, ja jestem za systemem wyrzucenia pana za drzwi.

– Chciałem kazać dać...

⁴⁴ *Lodzer Zeitung* (niem.) – „Dziennik Łódzki”. [przypis edytorski]

⁴⁵ *wiecznie przesiadających* – dziś popr.: wiecznie przesiadujących. [przypis edytorski]

⁴⁶ *cwaj-koniak* – cwaj (z niem.): dwa. [przypis edytorski]

– Pan lepiej każ błagować za siebie.

– Cóż, kiedy pan mnie wyręczasz. Panno Ani, koniaczek – zawołał poprawiwszy binokle i uderzając w zaciśniętą pięść otwartą dłonią prawej ręki.

– Pański przodek, panie Maurycy, miał więcej wychowania – zaczął znowu Bum-bum, stojąc na środku pokoju z kawałkiem kiełbasy na widelcu.

– Ja o pańskim tego nie mogę powiedzieć.

– Warum⁴⁷? – rzucił ktoś od sąsiedniego stolika.

– Bo go wcale nie miał.

– Nie, nie dlatego, tylko że nie był grzecznym względem swoich pachciarzy⁴⁸. Welt to zna z tradycji domowych.

– Wysortowany dawno dowcip, pięćdziesiąt procent niżej kosztu. Bum-buma, panowie sprzedaje się przez publiczną licytację. Kto da co? – wykrzyknął złośliwie Moryc.

– Co on mówi? – zapytał znowu stary aktor szeptem, kiwając równocześnie na garsona.

– Żeś głupi! – odpowiedział mu tym samym tonem sąsiad.

– Kto co da za Bum-Buma? Panowie, Bum-Bum się sprzedaje. Stary jest, brzydki jest, głupi jest, zdezelowany jest, ale tanio się sprzedaje! – wykrzykiwał i zamilkł, bo Bum-Bum stanął i patrzył na niego, a po chwili rzekł krótko:

– Parch! Panno Ani, koniaczek!

⁴⁷ *warum* (niem.) – dlaczego. [przypis edytorski]

⁴⁸ *pachciarz* (daw.) – osoba dzierżawiąca coś od kogoś (np. karczmę); w daw. Polsce funkcję taką sprawowali zazwyczaj Żydzi. [przypis edytorski]

Moryc hałaśliwie stukał kuflem i śmiał się głośno ale nikt mu nie wtórował.

Bum-Bum wypił i z pochyloną kwadratową twarzą koloru szmalcu przekrwionego, z oczami wypukłymi, bladoniebieskimi, przykrytymi binoklami na bardzo szerokiej wstążce, z grzywką rzadkich włosów oblepiających mu wysokie kwadratowe czoło, o pomarszczonej, wymiętej, chropowatej skórze, z pochyloną naprzód figurą starego rozpustnika, chodził po całej knajpie, powłócząc drgającymi tabetycznie nogami, przyczepiał się do rozmaitych grup, gadał dowcipy, z których sam śmiał się najgłośniej, albo usłyszane kawały roznosił i powtarzał z lubością, poprawiał obu rękami binokle, witał się prawie ze wszystkimi wchodzącymi, a przynajmniej połową, podchodził do bufetu, słyhać było bardzo często jego chrapliwy, rozłażący się głos.

– Panno Ani, koniaczek – i trzaśnicie dłonią w pięść zaciśniętą.

Moryc przebiegł oczami „Zeitung”, niecierpliwie spoglądał na drzwi. Cekał na Borowieckiego. Wstał wreszcie, bo zobaczył w drugim pokoju znajomą twarz.

– Leon, kiedyś przyjechał?

– Dzisiaj rano.

– Jakże ci poszedł sezon? – pytał, siadając obok niego na zielonej kanapce.

– Świeeeeetnie! – wyciągnął nogi na krzeselku i rozpiął kamizelkę.

– Myślałem dzisiaj o tobie, a nawet wczoraj z Borowieckim mówiliśmy.

– Borowiecki! ten od Bucholca?

– Tak.

– On wciąż drukuje swoje bojki? Słyszałem, że ma założyć na siebie.

– Dlatego właśnie mówiliśmy o tobie.

– I co, wełna?

– Bawełna!

– Sama?

– Co to można dzisiaj wiedzieć.

– Pieniądze jest?

– Będą, a tymczasem jest coś więcej, kredyt...

– Do spółki z tobą?

– I z Baumem, znasz Maksa?

– Ojej! W tym wekslu jest feler, jeden żyrant niepewny!

Borowiecki – dodał po chwili.

– Dlaczego?

– Polaczok! – rzucił dosyć pogardliwie i wyciągnął się prawie na kanapce i na krześle.

Moryc roześmiał się wesoło.

– To ty go wcale nie znasz. O nim dużo się w Łodzi będzie mówić. Ja w niego, że zrobi gruby interes, tak wierzę jak w siebie.

– A Baum, cóż to?

– Baum jest wół, jemu trzeba dać się wyspać i wygadać,

a potem dać robotę, będzie robił jak wół, a zresztą on wcale nie jest głupi. Ty mógłbyś nam dużo pomóc i sam dużo byś zarobił. Nam już dawał oferty Krongold.

– Idźcie do Krongolda, to wielka osoba, on się zna ze wszystkimi bałaganami, które kupują długiego towaru za sto rubli rocznie; to jest wielki reisender⁴⁹ na Kutno, na Skierniawice. Zróbcie z nim interes, ja się nie narzucam! Ja mam co sprzedawać, ja mam list przy sobie Bucholca, on mi chce powierzyć agenturę swoich towarów na cały Wschód, a jakie warunki mi daje! – i zaczął gorączkowo rozpinać się i szukać po wszystkich kieszeniach tego listu.

– Wiem o tym, nie szukaj. Borowiecki mi wczoraj mówił, bo to on poradził cię Bucholcowi.

– Borowiecki! Naprawdę? Dlaczego?

– Bo on jest mądry i myśli o przyszłości.

– I tak sobie, przecież za taki interes mógłby grubo zarobić. Ja sam dałbym dwadzieścia tysięcy bares geld⁵⁰, jak tu siedzę. Co on w tym ma? i do tego my się prawie nie znamy.

– Co on w tym ma, to on ci sam powie, ale tylko tyle ci powiem, że gotówki nie weźmie.

– Szlachcic! – szepnął z pewnym drwiącym politowaniem Leon i splunął na środek pokoju.

– Nie, on tylko mądrzejszy od najmądrzejszych reiserów

⁴⁹ *reisender* (z niem. *Reisende*) – podróżujący, pasażer; tu: komiwojażer. [przypis edytorski]

⁵⁰ *bares geld* (z niem. *bares Geld*) – gotówka. [przypis edytorski]

i agentów na cały Wschód – odpowiedział Moryc, dzwoniąc nożem w kufel. – Dużoś sprzedał?

– Za kilkadziesiąt tysięcy, kilkanaście tysięcy gotówki, a reszta najlepsze weksle, bo na cztery miesiące z żyrem Safonowa! Jedwabny interes – uderzył Moryca w kolano z zadowolenia. – Mam i dla ciebie obstalunek. Widzisz, co to przyjaźń.

– Na ile?

– Razem ze trzy tysiące rubli.

– Długi czy krótki towar?

– Krótki.

– Weksel czy nachname⁵¹?

– Nachname? Zaraz ci dam zamówienie – zaczął przewracać w olbrzymim, zamykanym na klucz pugilaresie⁵².

– Co ci mam dać?

– Jeżeli gotówka, to wystarczy jeden procent, po przyjacielsku.

– Gotówki teraz potrzebuję na gwałt, mam wypłaty, ale w ciągu tygodnia zapłacę.

– Dobrze. Masz zamówienie. Wiesz, w Białymstoku spotkałem Łuszczewskiego, przyjechaliśmy razem do Łodzi.

– Gdzież ten hrabia jedzie?

– Przyjechał do Łodzi robić interes.

– On! Ma widać za dużo; trzeba się z nim zobaczyć.

⁵¹ *nachname* (z niem. *Nachnahme*) – pobranie (pocztowe). [przypis edytorski]

⁵² *pugilares* (daw.) – portfel. [przypis edytorski]

– Nic nie ma, przyjechał się dorobić czego.

– Jak to nic nie ma, przecież jeździliśmy całą bandą z Rygi jeszcze do jego majątków. Był pan na gruby sposób! I nic mu już nie zostało?

– Zostało! trochę gumy z powozów na kalosze! Ha, ha, ha, kapitalny witz⁵³ – uderzył go w kolano.

– Cóż zrobił z majątkiem? liczyli go lekko na dwieście tysięcy.

– A on teraz liczy sam, że ma ze sto tysięcy długów, a to skromny człowiek.

– Mniejsza z nim. Napijesz się?

– Warto by przed teatrem.

– Kelner, koniak, kawior, befszyk po tatarsku, porter oryginalny, gallopp!

– Bum-Bum, chodź-no pan do nas! – krzyknął Leon.

– Jak się pan ma, jakże zdróweczko, jakże interesiki! – wykrzykiwał, ściskając mu rękę.

– Dziękuję, bardzo dobrze. Przywiozłem dla pana umyślnie z Odessy coś – wyjął z pugilaresu rysunek pornograficzny i podał.

Bum-Bum poprawił obu rękami binokle, wziął rysunek i zanurzył się w nim cały z lubością. Twarz mu poczerwieniała, mlaskał językiem, oblizywał swoje sine, opadnięte wargi, trząsał się cały z zadowolenia.

– Cudowne, cudowne. Niebysza! – wykrzykiwał i powlókł się pokazywać wszystkim.

⁵³ witz (z niem. *Witz*) – żart, dowcip. [przypis edytorski]

– Świnia – mruknął Moryc niechętnie.

– Lubi dobre rzeczy, a że jest znawcą...

– Nie poznałeś znowu kogo? – zapytał nieco ironicznie.

– Czekaj!... – trząsał w palce, potem w kolano Moryca, uśmiechnął się i z pugilaresu, z pomiędzy rachunków i not wydobyl fotografię kobiety.

– Co? Ładna maszyna? – mówił z najwyższym zadowoleniem, przymrużając oczy.

– Tak.

– Prawda! Ja zaraz pomyślał, że będzie ci się podobać. To Francuzeczka, a!

– Wygląda na Holenderkę, ale krowę,

– Keine⁵⁴ gadanie. To droga sztuka, stówka za nic.

– Dałbym pięć za wyrzucenie jej za drzwi.

– Ty zawsze jesteś... no, już nie powiem.

– A ty masz reisenderowskie gusta, skąd takie bydlę, gdzieś poznał?

– W Niżnim ja sobie „pokutił niemnożeczko⁵⁵” z kupcami, to oni mówią w końcu: „Chodź pan Lew w café concert!” Poszli. Nu, wódka, koniak, szampańskie pili prawie z beczki, a potem słuchali śpiewu, ona śpiewaczka – że...

– Zaczekaj, w tej chwili przyjdę! – przerwał Moryc, zerwał się i podszedł do tęgiego Niemca, który wszedł do restauracji

⁵⁴ *keine* (z niem.) – zaprzeczenie: żadne. [przypis edytorski]

⁵⁵ *pokutił niemnożeczko* (z ros. *кытумь*: hulać, lumpować) – pohulałem troszeczkę. [przypis edytorski]

i rozglądał się po sali.

– Gut Morgen⁵⁶, panie Müller!

– Morgen! Jak się pan ma, panie... – odpowiedział niedbale i rozglądał się dalej.

– Pan szuka kogo? może ja będę mógł pana objaśnić – nastęrczał się natarczywie Moryc.

– Szukam pana Borowiecki, tylko po to wszedłem.

– Będzie zaraz, bo ja właśnie czekam na niego. Może pan pozwoli do stolika. To mój kolega, Leon Kohn! – rekomendował.

– Müller! – rzucił z pewną dumą i przysiadł się.

– Kto by nie wiedział o tym! każde dziecko w Łodzi wie takie nazwisko – mówił prędko Leon, śpiesznie się zapinając i robiąc miejsce na kanapie.

Müller uśmiechnął się pobłażliwie i patrzył ku drzwiom, bo wszedł Borowiecki w towarzystwie, ale zobaczywszy go, towarzyszy zostawił przy drzwiach i z kapeluszem w rękę szedł do tego królika bawełnianego, po którego wejściu przyciszyło się w knajpie i wszyscy śledzili go z nienawiścią, zazdrością i dumą.

– Prawie czekałem na pana – zaczął Müller. Mam do pana interes. – Skinął głową Morycowi i Leonowi, uśmiechnął się do pozostałych, objął ręką w pas Borowieckiego i wyprowadził z knajpy.

– Telefonowałem do fabryki, ale mi odpowiedziano, że pan dzisiaj wyszedł wcześniej.

– Żałuję teraz bardzo – rzekł uprzejmie.

⁵⁶ *Gut Morgen* (niem.) – popr. *guten Morgen*. [przypis edytorski]

– Pisałem nawet do pana, sam pisałem – dodał mocniej, z wielką pewnością, chociaż na pewno wiadano w mieście, że umiał za ledwie się podpisać.

– Nie odebrałem listu, bo zupełnie nie wstępowałem do mieszkania.

– Pisałem o tym, com już kiedyś wspominał. Ja jestem prosty człowiek, panie von Borowiecki, to ja powiem raz jeszcze i prosto: dam panu tysiąc rubli więcej, wstąp pan do mojego interesu.

– Bucholc dałby mi dwa tysiące więcej, abym tylko został – szepnął zimno.

– Dam panu trzy, no, dam panu cztery! słyszysz pan, cztery tysiące rubli więcej, to jest całe czternaście tysięcy rocznie, ładny grosz!

– Bardzo panu dziękuję, ale nie mogę przyjąć tak wspaniałej propozycji.

– Zostajesz pan u Bucholca? – zapytał prędko.

– Nie. Powiem otwarcie, dlaczego nie przyjmuję pańskiej oferty, ani nie zostaję w firmie – zakładam sam fabrykę.

Müller przystanął, odsunął się nieco, popatrzył i ciszej, z pewnym jakby szacunkiem zapytał:

– Bawełna?

– Nie powiem nic prócz tego, że żadnej konkurencji panu nie zrobię.

– Mnie jest ganz-pommade⁵⁷, wszystkie konkurencje –

⁵⁷ ganz-pommade (z niem.) – wszystko jedno. [przypis edytorski]

wykrzyknął, uderzając się po kieszeni. – Co mi pan może zrobić, co mi kto może zrobić? Kto co robi milionom?

Borowiecki nic się nie odezwał, tylko uśmiechał się, zapatrzony przed siebie.

– Co to będzie za towar? – zaczął Müller, znowu ujmując go niemieckim obyczajem w pól. Spacerowali tak po asfaltowym, powybijanym chodniku, prowadzącym przez podwórze hotelowe do gmachu teatralnego, stojącego w głębi, oświetlonego wielką latarnią elektryczną.

Tłumy ludzi szły do teatru.

Powóz za powozem zajeżdżał przed hotelową bramę i wyrzucał ciężkich i przeważnie opasłych mężczyzn i bardzo wystrojone kobiety, które pootulane szły pod parasolami tym chodnikiem, oślizgłym od wilgoci, bo chociaż deszcz ustał już, ale gęsta lepka mgła opadała na ziemię.

– Pan mi się podoba, panie von Borowiecki – mówił Müller, nie doczekawszy się odpowiedzi – tak mi się pan podoba, że jak tylko pan zrobi klapę, to zawsze znajdzie pan u mnie miejsce na jakie parę tysięcy rubli.

– Teraz dałby mi pan więcej?

– No, bo teraz pan jesteś dla mnie więcej wart.

– Dziękuję za szczerść – uśmiechnął się ironicznie.

– Ale ja pana nie chciałem obrazić, ja mówię tak, jak myślę – usprawiedliwiał się gorąco, dojrzawszy ten uśmiech.

– Wierzę. Skoro zrobię klapę raz, to tylko dlatego, żeby drugi raz jej nie zrobić.

– Pan jesteś głowa, panie Borowiecki, pan mi się ogromnie podoba. My razem moglibyśmy robić dobre interesy.

– Cóż, kiedy musimy je robić osobno – zaśmiał się, kłaniając nisko jakimś damom przechodzącym.

– Ładne kobiety te Polki, ale mają. Moda też ładna.

– Bardzo ładna – powiedział poważnie, podnosząc na niego oczy.

– Ja mam myśl! ja ją panu kiedy indziej powiem – zawołał tajemniczo. – Masz pan miejsce w teatrze?

– Mam krzesło, przysłali mi dwa tygodnie temu.

– Nas tylko troje będzie w łoży.

– Są i panie?

– One już w teatrze, a ja umyślnie zostałem, aby się widzieć z panem, no i na nic moje plany. Do widzenia, pan zajrzy do łoży?

– Z pewnością, będzie to dla mnie bardzo przyjemnym obowiązkiem.

Müller zniknął w drzwiach teatru, a on powrócił do restauracji. Nie zastał już Moryca, który przez garsona kazał powiedzieć, że czeka w teatrze.

W bufecie, gdzie poszedł napić się wódki, bo czuł się dziwnie zdenerwowanym, nie było prawie nikogo, prócz Bum-Buma, który przysłonięty gazetą drzemał w kącie.

– Bum, nie idziesz pan do teatru?

– Te, po co mi to. Bawełnę oglądać, przecież ich znam. Pan idzie?

– A zaraz.

Jakoż i wyszedł, odnalazł swoje miejsce w pierwszym rzędzie obok Moryca i Leona, który zawzięcie kłaniał się i lornetował jakieś blondynki, siedzące na pierwszym piętrze.

– Krasawica pierwszy sort, ta moja blondynka, patrz Moryc.

– Znasz ją bliżej?

– Czy ja ją znam bliżej? ha, ha, ha, ja ją znam bardzo bliżej!

Poznaj mnie z Borowieckim.

Moryc ich poznał zaraz.

Leon chciał coś mówić, już nawet klepnął w kolano Moryca, ale Borowiecki wstał i odwrócony twarzą do sali wypełnionej od góry do dołu najlepszą, na jaką tylko było stać Łódź publicznością, przyglądał się uważnie, co chwila kłaniając się to łozom, to krzesłom, niesłychanie dystygowanym ruchem głowy.

Stał spokojnie pod ogniem lornetek i spojrzeń, jakie w niego uderzały ze wszystkich stron teatru, który wrzał niby ul świeżo obsadzonym rojem.

Jego wysoka, rozrośnięta, bardzo zgrabna postać rysowała się wykwintną sylwetką.

Piękna twarz, o bardzo typowym, wydelikacjonym rysunku, ozdobiona prześlicznymi wąsami starannie utrzymywanymi i usta o spodniej wardze silnie wysuniętej i pewna niedbałość w ruchach i spojrzeniach, czyniły go typem dżentelmena.

Nikt nie mógłby być z jego powierzchowności wykwintnej poznać, że ma przed sobą człowieka, który jako chemik fabryczny, jako kolorysta, był niezrównanym w swojej

specjalności; człowieka, o którego toczyły się wojny pomiędzy fabrykami bawełnianymi, by go zdobyć dla siebie; był takim, który w tym dziale fabrykacji robił przewroty.

Szare, z niebieskawym odcieniem oczy, twarz sucha, brwi prawie ciemne, czoło twardo modelowane nadawały mu coś drapieżnego.

Czuć było w nim silną wolę i nieugiętość.

Patrzył dosyć wyniośle na teatr zalany światłem i na tę barwną, błyszczącą brylantami publiczność.

Łoże podobne były do żardinierek⁵⁸ wybitych wiśniowym aksamitem, na którego tle niby kwiaty siedziały strojne kobiety, skrzzące się drogimi kamieniami.

– Karol, ile może być dzisiaj milionów w teatrze? – zapytał cicho Moryc.

– Będzie ze dwieście – odpowiedział tak samo, z wolna ogarniając znane twarze milionerów.

– Tu rzeczywiście pachnie milionami – wtrącił Leon, wciągając w siebie powietrze przesycone zapachem perfum, kwiatów świeżych i błota przyniesionego z ulicy.

– Cebulą i kartoflami przede wszystkim – szepnął pogardliwie Borowiecki i kłaniał się z bardzo słodkim uśmiechem do jednej z łóż parterowych, przy samej scenie, wspaniale pięknej Żydówce w czarnej jedwabnej sukni *decolté*, z której wychylały się olśniewające białością, przepysznie uformowane ramiona

⁵⁸ *zardinierka* (z fr.) – półka lub stolik z wgłębieniem na rośliny doniczkowe. [przypis edytorski]

i szyja okręcona w sznur brylantów. Brylanty połyskiwały nad skroniami, w grzebykach upinających czarne puszyste włosy, zaczesane modą cesarstwa – na uszy, w których również skrzyły się brylanty zadziwiającej wielkości, brylanty lśniły się u gorsu, w agrafie spinającej stanik i połyskiwały w bransoletkach okręcających ręce obciążone w czarne rękawiczki. Wielkie, podłużne oczy fiołkowe niby najwspanialsze szafiry paliły się ostro. Twarz miała o gorącym tonie lekko oliwkowym, przesyconym nieco karminem krwi, czoło niskie, brwi silnie zarysowane, nos prosty i cienki i dosyć duże, pełne usta.

Spoglądała z pewnym uporem na Borowieckiego, nie zważając, że ją lornetowano ze wszystkich łóż, czasami rzuciła nieznaczne spojrzenia na siedzącego trochę w głębi łoży męża, starca o wybitnie semickim typie, który z opuszczoną głową na piersi, siedział zatopiony w rozmyślaniach, chwilami budził się, rzucał przenikliwe spojrzenia spod złotych okularów na salę, obciągał na wydatnym brzuchu kamizelkę i szeptał żonie:

– Lucy, czemu się ty tak wystawiasz?

Udawiała, że nie słyszy i przeglądała dalej łoże krzesła, zapchane publicznością o typach przeważnie semickich i germańskich, albo patrzyła w Borowieckiego, który chwilami odczuwał te spojrzenia, bo się odwracał do niej twarzą, ale stał zimny na pozór i obojętny.

– Ładny kawałek kobiety z tej Zukerowej – szepnął Leon do Borowieckiego, bo chciał zacząć rozmowę, aby się dowiedzieć bliższych szczegółów o swojej agenturze.

– Uważasz pan?... – odpowiedział chłodno tamten.

– Ja bo widzę. Patrz pan, jej biust, ja to najlepiej lubię w kobiecie, a ona ma biust frontowy, jak aksamit, ha, ha, ha.

– Z czego się śmiejesz? – pytał ciekawie Moryc.

– Zrobiłem pyszny witz – i powtarzał go Morycowi ze śmiechem.

Umilkli, bo kurtyna się podniosła, wszystkie oczy utonęły w scenie, tylko Zukerowa zza wachlarza patrzyła w Karola, który zdawał się tego nie spostrzegać, co ją tak widocznie irytowało, że po kilka razy składała wachlarz i uderzała nim w parapet jakby od niechcienia.

Uśmiechał się nieznacznie, rzucał na nią krótkie spojrzenia i patrzył dalej z uwagą wielką na scenę, gdzie amatorzy i amatorki parodiowali prawdziwych aktorów i sztukę.

Było to bowiem przedstawienie na cel dobroczynny, złożone z dwóch komedyjek, śpiewu solowego, gry na skrzypcach i fortepianie, i żywych obrazów na zakończenie.

W antrakcie⁵⁹ Borowiecki wstał, aby iść do łoża Müllarów, zatrzymał go Kohn.

– Panie Borowiecki, ja chciałem z panem pomówić.

– Może po teatrze, bo, jak pan widzi, teraz nie mam czasu – szepnął i poszedł.

– On jest wielki pan, teraz nie ma czasu.

– Ma rację, tutaj wcale nie miejsce do interesów.

– Moryc, tyś zgłupiał do reszty, co ty wygadujesz, dla

⁵⁹ *antrakt* – przerwa. [przypis edytorski]

interesów jest wszędzie miejsce, tylko ten von Borowiecki to wielki książe od Bucholca i Spółki, wielka osoba!

Borowiecki tymczasem wszedł do łoży Müllerów, stary wyszedł, aby mu zrobić miejsce, bo już tam na czwartego siedział jakiś niski, gruby Niemiec.

Przywitał się z matką, drzemającą w głębi łoży i z córką, która podniosła się niemal na jego wejście.

– Störch.

– Borowiecki.

Skrzyżowały się nazwiska i dłonie.

Karol usiadł.

– Jak się pani bawi? – zapytał, aby coś powiedzieć.

– Doskonale, wybornie! – wykrzyknęła i jej okrągła, różowa twarz, podobna do młodej rzodkiewki świeżo obmytej, rozblęła silniejszymi rumieńcami, co tym mocniej odbijały przy jasnozielonej sukni.

Podniosła chusteczkę do twarzy, aby przysłonić rumieńce, bo się ich wstydziła.

Matka zarzuciła jej na ramiona wspaniały, koronkowy szal, bo przeciąg od drzwi otwartych przewiewał po teatrze i drzemała dalej.

– A pan? – zapytała po chwili, podnosząc na niego niebieskie, zupełnie porcelanowe oczy, o jasnych złotawych obrzeżach rzęs i w tej chwili, z rozchylonymi nieco, bladymi ustami dziecka, z twarzą podniesioną, podobną była do świeżo upieczonej bułki.

– Powiem to samo: wybornie, doskonale albo: doskonale, wybornie.

– Dobrze grają, prawda?

– Tak, po amatorsku. Myślałem, że pani weźmie udział w przedstawieniu.

– Ja bardzo pragnęłam, ale kiedy mnie nikt nie zaprosił – mówiła szczerze, z wielką przykrością.

– Projekt ten istniał, ale nie miano odwagi, bano się odmowy, zresztą do domu państwa wstęp tak trudny, jakby na dwór królewski.

– Ja, ja to samo mówił panie Mada – wtrącił Störch.

– To pan winien, przecież pan bywa u nas, trzeba było mi powiedzieć.

– Nie miałem czasu i zapomniałem – tłumaczył się prosto.

Zapanowało milczenie.

Störch odkaśływał, nachylał się już, aby zacząć rozmowę, ale cofał się, widząc, że Borowiecki znudzonym wzrokiem włączy po teatrze, a Mada była jakaś pomieszana, bo chciała dużo mówić, a teraz, gdy ten Borowiecki siedzi obok niej, gdy łoże ze specjalnym zainteresowaniem lornetują ich, nie wie co mówić, wreszcie zaczęła.

– Pan będzie w naszej firmie?

– Niestety, musiałem ojcu pani odmówić.

– A papa tak liczył na pana.

– Ja sam bardzo żałuję.

– Myślałam, że we czwartek pan u nas będzie, bo mam pewną

prośbę.

– Mógł ją zaraz wysłuchać?

Pochylił głowę ku niej i spoglądał do łoża Zuckerów.

Lucy wachlowała się gwałtownie i widocznie poza wachlarzem klóciła się z mężem, który raz po raz obciągał kamizelkę na brzuchu i wyprostowywał się na krześle.

– Chciałam prosić, aby mi pan wskazał niektóre polskie książki do czytania. Mówiłam to już papie, ale powiedział mi, że jestem głupia i powinnam się zająć domem i gospodarstwem.

– Ja, ja⁶⁰. Fater tak powiedziała – szepnął znowu Störch, cofając się nieco w tył z krzesłem, bo go Borowiecki uderzył oczami.

– Dlaczego pani chce tego, po co to pani? – zapytał dosyć twardo.

– A bo chcę – odparła rezolutnie – chcę i proszę o informację.

– Brat musi mieć przecież w tym nowym pałacyku i bibliotekę.

Zaśmiała się bardzo serdecznie i bardzo cichutko.

– Co pani widzi śmiesznego w moim przypuszczeniu?

– Ale, bo Wilhelm tak nie lubi książek, że kiedyś pogniewał się na mnie i gdy byłam z mamą w mieście, spalił mi wszystkie moje książki.

– Ja, ja Wilhelm nie lubi książek, on jest dobry bursz⁶¹.

⁶⁰ *Ja, ja* (niem.) – tak, tak. [przypis edytorski]

⁶¹ *bursz* (z niem. *Bursche*) – chłopak, terminator w jakimś zawodzie. [przypis edytorski]

Borowiecki popatrzył zimno na Störcha i rzekł:

– Dobrze, przyślę pani jutro spis tytułów.

– A jeślibym ja pragnęła mieć ten spis zaraz, natychmiast.

– To natychmiast mogę kilka tytułów napisać, a resztę jutro.

– Pan jest dobry chłopak – powiedziała wesoło, ale ujrzawszy,

że usta mu drgnęły uśmiechem ironii, rozczzerwieniła się jak piwonia.

Napisał na bilecie wizytowym, opatrzonym w herby, pożegnał się i wyszedł.

W korytarzu spotkał się ze starym Szają Mendelsohnem, prawdziwym królem bawełnianym, którego nazywano krótko – Szaja.

Był to wysoki, chudy Żyd, o wielkiej białej, istic patriarchalnej brodzie, ubrany w długi, zwykły chałat, który mu się tłukł po piętach.

Szaja zawsze bywał tam, gdzie przypuszczał, iż będzie Bucholc, jego największy współzawodnik w królestwie bawełnianym, największy fabrykant łódzki i do tego osobisty nieprzyjaciel.

Zagroził drogę Borowieckiemu, który uchylając kapelusza chciał przejść dalej.

– Witam pana. Nie ma dzisiaj Hermana, dlaczego? – zapytał ohydną polszczyzną.

– Nie wiem – odparł krótko, bo nie cierpiał Szai, jak go nie cierpiała cała nieżydowska Łódź.

– Żegnam pana – rzucił sucho i pogardliwie Szaja.

Borowiecki nic nie odpowiedział i poszedł na pierwsze piętro, do jednej z łóż, w której był cały bukiet kobiet, pomiędzy nimi zastał Moryca i Horna.

W łóży było nadzwyczaj wesoło i bardzo ciasno.

– Nasza mała ślicznie gra, prawda panie Borowiecki?

– Tak i bardzo żałuję, że nie zaopatrzyłem się w bukiet.

– My go mamy, podadzą jej po drugiej sztuce.

– Że jest ciasno beze mnie i wesoło beze mnie, że panie mają już asystę – wychodzę.

– Zostań pan z nami, będzie jeszcze weselej – prosiła go jedna z kobiet, w liliowej sukni, z liliową twarzą i z liliowymi oczami.

– Weselej to pewnie nie, ale że ciaśniej, to z pewnością – zawołał Moryc.

– To wyjdź, będzie zaraz więcej miejsca.

– Żebym mógł iść do łóży Müllerów, tobym wyszedł.

– Mogę ci to ułatwić.

– Ja wychodzę i zaraz zrobi się więcej miejsca – zawołał Horn, ale pochwyciwszy proszące spojrzenie młodej dziewczyny, siedzącej na froncie łóży, pozostał.

– Wie pani, panno Mario, ile się taksuje panna Müller? Pięćdziesiąt tysięcy rubli rocznie!

– Mocna panna! Ja bym się puścił na ten interes – szepnęła Moryc.

– Przysuń się pan bliżej, to coś opowiem – szepnęła liliowa i pochyliła nisko głowę, tak, że jej ciemne, puszyste włosy, dotykały skroni nachylonego do niej Borowieckiego. Zasłoniła

się wachlarzem i szeptała mu długo do ucha.

– Nie spiskujcie! – zawołała najstarsza w łoży, zupełnie w stylu *barocco*, piękna, czterdziestokilkuletnia kobieta, o cerze olśniewającej, siwych zupełnie włosach, nadzwyczaj obfitych, czarnych oczach i brwiach, i o majestatycznej, imponującej postaci, która przewodniczyła całej łoży.

– Pani Stefania opowiadała mi ciekawe szczegóły o tej nowej baronowej.

– No, nie powtórzyłaby tego przy wszystkich – szepnęła barokowa.

– Panna Mada Müller raczy nas lornetować, o!

– Wygląda dzisiaj jak młoda, tłuściutka, oskubana z piórek gęś, okręcona w nać z pietruszki.

– Pani Stefania udaje dzisiaj złośliwą – szepnął Horn.

– Albo tamta, Szajówna, cały magazyn jubilerski ma na sobie.

– Przecież stać ją nawet na dwa sklepy jubilerskie – wtrącił Moryc, wpakował binokle na nos i patrzył na dół, w łożę Mendelsohnów, gdzie siedziała z ojcem jego najmłodsza córka ubrana z niesłychanym przepychem z jakąś drugą panną.

– Któraż kulawa?

– Róża, ta po lewej stronie, ruda.

– Wczoraj była u mnie w sklepie, przerzuciła wszystko, nic nie kupiła i poszła, ale miałam czas się jej przyjrzeć, jest zupełnie brzydka – mówiła pani Stefania.

– Ona jest prześliczną, ona jest anioł, co to anioł, ona jest cztery albo piętnaście aniołów – wykrzykiwał Moryc,

przedrzeźniając starego Szaję.

– Do widzenia paniom, chodź Moryc, pan Horn zostanie przy paniach.

– Może panowie przyjdą do nas na herbatę po teatrze? – prosiła wszystkich liliowa, patrząc na Borowieckiego.

– Dziękuję bardzo, ale przyjdę jutro, dzisiaj nie mogę.

– Czy jesteś pan zamówiony do Müllerów? – szepnęła trochę cierpko.

– Do Grand Hotelu. Dzisiaj sobota, przyjeżdża Kurowski, jak zwykle, a ja mam z nim do obgadania niesłychanie ważne rzeczy.

– To załatw się z nim pan w teatrze, musi przecież być.

– On przecież nie bywa w teatrze, nie zna go pani?

Uklonił się i wyszedł, przeprowadzony dziwnym spojrzeniem pani Stefanii.

Akt dosyć dawno się już ciągnął, więc przesuwał się do swojego miejsca i siadł, ale nie słuchał, bo naokoło szeptano coś nader tajemniczo.

Zdziwił wszystkich fakt, że w czasie sztuki wywołano z łoży Knolla, zięcia Bucholca, który siedział samotnie w łoży, na wprost Zukerów, a potem, że wyniósł się z teatru cichaczem Grosplik, największy bankier łódzki.

Przynieśli mu depeszę, z którą poleciał do Szai.

Szczegóły te, podawane sobie szeptem, obleciały niby błyskawica teatr i wzbudziły jakiś ciemny, niewytłumaczony niepokój w przedstawicielach różnych firm.

– Co się stało? – zapytywano, nie znajdując odpowiedzi na

razie.

Kobiety słuchały sztuki, ale większość mężczyzn z parteru i z łóż przypatrywała się z niepokojem królom i królikom łódzkim.

Mendelsohn siedział zgarbiony, z okularami na czole, gładził chwilami brodę wspaniałym ruchem i szczerze zdawał się być pochłonięty przedstawieniem.

Knoll, wszechpotężny Knoll, zięć i następca Bucholca także słuchał z uwagą.

Müller istotnie musiał nie wiedzieć o niczym, bo śmiał się na całe gardło z dowcipów mówionych na scenie, śmiał się tak szczerze, że chwilami Mada szeptała cicho:

– Papo, tak nie można.

– Zapłaciłem, to się bawię – rzucał jej w odpowiedzi i istotnie bawił się zupełnie.

Zuker zniknął, w łoży siedziała samotnie Lucy i znowu patrzyła na Borowieckiego.

Mniejsi potentaci i przedstawiciele takich firm jak: Ende-Griszpan, Wolkman, Bauvecel Fitze, Biberstein, Pinczowski, Prusak, Stojowsky, kręcili się na swoich miejscach coraz niespokojniej, szepty przelatywały z końca w koniec teatru, co chwila ktoś się wysuwał i nie powracał.

Oczy badały naokoło, na ustach tkwiły zapytania, niepokój wszystkimi owładął coraz silniejszy.

A nikt nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego, chociaż wszyscy byli pewni, że się coś stało ważnego.

Z wolna to zdenerwowanie udzielało się tym nawet, którzy nie obawiali się żadnych złych wieści.

Wszyscy poczuli to drżenie łódzkiego gruntu, tak często w ostatnich czasach nawiedzanego kataklizmem.

Tylko góra, tanie miejsca, nic nie odczuwała, bawiła się wciąż wybornie, wybuchała śmiechem, biła oklaski, wołała brawo.

Śmiech jakby falą buchał z drugiego piętra i rozpryskiwał się kaskadą dźwięków na parter i loże, na te wszystkie głowy i dusze tak nagle zaniepokojone, na te miliony, rozpostarte na aksamicie, ubrylantowane, pyszne swą władzą i wielkością.

Ze wszystkich łóż tylko łoża znajomych Borowieckiego pań, brała udział w zabawie i bawiła się doskonale.

Potworzyły się pewne rafy na tym ruchomym morzu, które siedziały spokojnie, wpatrzone w scenę; były to rodziny przeważnie polskie, których nic nie mogło zaniepokoić, bo nic nie miały do stracenia.

– To bawelna – szepnął Leon do Borowieckiego. – Patrz pan, welna i inni siedzą prawie spokojnie, są tylko ciekawi. Ja się na tym znam.

– Frumkin w Białymstoku, Lichaczew w Rostowie, Ałpasow w Odessie – kłapa! – szepnął Moryc, który skądś dowiedział się tego.

Wszyscy trzej byli to kupcy *en gros*⁶², jedni z największych odbiorców łódzkich.

– Na ile Łódź zaangażowana? – pytał Borowiecki.

⁶² *en gros* (fr.) – tu: na wielką skalę. [przypis edytorski]

Moryc znowu wyszedł i powrócił po kilku minutach, był znacznie bledszy, usta miał skrzywione, oczy świeciły dziwnie; nie mógł ze wzruszenia trafić z binoklami na nos.

– Jest jeszcze jeden. Rogopuło w Odessie. Murowane firmy, same murowane!

– Wysoko leżą?

– Łódź traci ze dwa miliony! – szepnął bardzo poważnie i usiłował włożyć binokle.

– Nie może być – wykrzyknął prawie głośno Borowiecki, zrywając się z miejsca, aż publiczność siedząca za nim, zaczęła stukać i sykać, żeby nie zasłaniał sceny sobą. – Kto ci powiedział?

– Landau, a jak Landau mówi, to Landau wie.

– Kto traci?

– Wszyscy po trochu, a Kessler, Bucholc, Müller najwięcej.

– Ale żeby ich nie podeprzeć, pozwolić na taką klapę.

– Rogopuło uciekł, Lichaczew umarł, zapił się z rozpacz.

– A Frumkin i Ałpasów?

– Nic nie wiem, mówiłem tyle, co było w depeszy.

Już teraz te wszystkie wieści rozlały się po teatrze, wszyscy wiedzieli o klęsce.

Co chwila widać było, jak ta wiadomość niby bomba wybucha w innej stronie teatru.

Twarze podnosiły się w górę, oczy błyskały, słowa jakies ostre dźwięczały w powietrzu, krzesła się podnosiły z trzaskiem, wybiegali z pośpiechem do telegrafu i telefonów.

Teatr bardzo opustoszał.

Borowiecki czuł się także zdenerwowanym tą wieścią, sam nic nie tracił, ale tracili wszyscy naokoło niego.

– Wy nic nie tracicie? – zapytał się Maksa Bauma, który znalazłszy miejsce wolne, przysiadł się bliżej niego.

– My nie mamy nic do stracenia prócz honoru, a przecież tym towarem w Łodzi się nie operuje – odpowiedział drwiąco.

– Ładnie Łódź trzeszczy.

– Nastanie ciepły sezon.

– Tak, tak. Straż ogniowa będzie mieć robotę.

– Zrobi się cieplej, to prędzej wiosna będzie.

– Warto by, węgle takie drogie.

– Pan się śmieć zdrów, bo to pana nic nie kosztuje, taka zabawa.

– Bywało tak, bywało. Połowa skręci kark, a druga połowa zarobi.

– Kto najlepiej leży?

– Bucholc, Kessler, Müller.

– Tym się nigdy nic nie stanie, co im kto zrobi.

– Niech ich wszystkich diabli wezmą, co mi to szkodzi, co ja na tym zarobię, że oni mają, albo nie mają.

Tak się krzyżowały uwagi, zapytania, cyfry, spojrzenia prawie wesołe i zadowolone z ruiny innych, przypuszczenia i drwiny.

– Mayer podobno na całe sto tysięcy rubli zaangażowany?

– To mu dobrze robi na brzuch, sprzeda konie, będzie chodził pieszo i zaraz schudnie, nie będzie potrzebował już jeździć do

Marienbadu.

- Będą tanio do sprzedania różne rodzinne brylanty.
- Wolkmana może to dobić, on już szedł na pół pary.
- Możesz Robert teraz prosić o rękę jego córki, już cię nie wyrzucą za drzwi.
- Niech jeszcze poczeka.

Tak wrzał parter, tłum.

Królowie siedzieli spokojnie.

Szaja nie spuszczał oczów ze śpiewaczki i jak skończyła, pierwszy zaczął bić brawo, a potem szeptał po cichu z Różą i nieznacznie, gładząc brodę, wskazywał na Knolla, który oparty łokciami o parapet łoży, skinął głową na Borowieckiego.

Karol zaraz w pierwszym antrakcie zjawił się u niego.

- Słyszałeś pan?
- Słyszałem – i zaczął wyliczać firmy.
- Głupstwo.
- Głupstwo, dwa miliony rubli na samą Łódź?
- Nie my tracimy; przed chwilą był Bauer i mówił, że jakies kilkanaście tysięcy.

– W teatrze mówią, że z pół miliona.

– To Szaja tak rozpusza pogłoskę, bo on tyle traci. Głupi Żyd.

– W każdym razie odbije się to na Łodzi porządnie, firmy będą lecieć jak muchy.

– Niech zdechną wszyscy, co to nam szkodzi – szeptał zimno i przyglądał się swoim rękoma starannie utrzymanym i gonił

bezwiednie przymrużonymi oczyma za połyskiem brylantów osadzonych w pierścionku lewej ręki.

– Ja do pana mówię nie jak do naszego człowieka, a jak do przyjaciela. Pan wie, kto musi paść z powodu tego krachu?

– Na pewno nie wymieniają nikogo prawie.

– Mniejsza z tym, zawsze padnie dosyć, a ilu, to zobaczymy jutro, będzie wesoła niedziela.

– Prawdziwe nieszczęście.

– Dla naszej firmy nie, bo pomyśl pan, kto pada – bawełna. Kto pozostaje – my, Szaja i paru innych. Ta parszywa, żydowska, tandetna konkurencja zdechła w połowie, albo zaraz zdechnie, struli się sami. Na jakiś czas będzie nam luźniej. Będziemy robili parę nowych gatunków, które oni robili, no, i będziemy o tyle więcej sprzedawali. Ale to jest bagatelka, kręcą karki, niech kręcą; palą się, niech się palą; oszukują, niech oszukują; my zawsze zostaniemy. To zresztą mało ważne rzeczy, są znacznie ważniejsze, zobaczysz pan niedługo, że połowa fabryk bawełnianych stanie, niedługo, niedługo.

Borowiecki patrzył się na niego i słuchał z pewną niecierpliwością, nie lubił Knolla i jego dumy szalonej, płynącej z poczucia swoich milionów.

Był największym po teściu dorobkiewiczem, w tym świecie dorobkiewiczów najwykształceńszym⁶³, dobrze wychowanym, przyjemnym w obcowaniu, ale i najbardziej nieubłaganym i najbardziej wyzyskującym pracę, ludzi i wpływy, jakie miał

⁶³ *najwykształceńszym* – dziś popr.: najbardziej wykształconym. [przypis edytorski]

wszędzie.

– Przyjdź pan jutro do nas na obiad, proszę pana w ojca imieniu. A teraz będzie pan łaskaw zobaczyć, która godzina, ja tego nie mogę zrobić aby nie myślano, że mi się gdzie spieszy.

– Za kilka minut jedenasta.

– O której odchodzi kurierski do Warszawy?

– Wpół do pierwszej.

– Mam jeszcze czas. Muszę panu powiedzieć, dlaczego dla mnie te wiadomości o bankructwach, o tym, że Łódź traci dwa miliony, są mało ważne; przysły bowiem wiadomości znacznie ważniejsze... – urwał nagle. – Ja mówię do szlachcica?

– Zdaje mi się, ale nie rozumiem związku...

– Zaraz pan zrozumiesz. Pan jest naszym przyjacielem, my panu nigdy nie zapomnimy tego, że pan podniósł naszą drukarnię. – Widzi pan przed godziną donieśli depeszą z Petersburga o bardzo ważnej sprawie, o tym, że... że ja muszę tam jechać zaraz, ale w zupełnej tajemnicy.

Dokończył spiesznie i nie powiedział tego, co chciał powiedzieć, powstrzymał go wzrok Borowieckiego zimny i podejrzliwy, który go przewiercał tak na wskroś, że Knoll poruszył się niespokojnie, poprawił szpilkę w krawacie i popatrzył na łożę naprzeciwko.

– Ta Zukerowa to śliczna kobieta.

– Ma ładne brylanty.

– Więc pan jutro przyjdzie do starego?

– Ależ z pewnością.

– Ma on tam jakiś specjalny interes. Pan już wychodzi, to poproszę o jedno, może pan zechce powiedzieć mojemu stangretowi, żeby czekał na mnie na Przejazd. No, do widzenia, za kilka dni będę. Więc tajemnica, panie Borowiecki.

– Najzupełniejsza.

Borowiecki wyszedł z uczuciem zawodu. Czuł, że Knoll nie powiedział mu wszystkiego.

– Co to za wiadomość? po co on jedzie? dlaczego mi nie powiedział? – myślał, ale na próżno, gubił się w domysłach i przypuszczeniach.

Nie czekał zapadnięcia kurtyny i wyszedł, ale już z ulicy powrócił do teatru i poszedł do loży Zukerowej.

– Myślałam, że pan o mnie zapomniał – powiedziała z wyrzutem, utkwivszy w nim swoje ogromne, cudne oczy.

– Czy to możebne?

– Dla pana jest wszystko możebnym.

– Potępia mnie pani, na wiarę przyjaciół i nieprzyjaciół.

– Co mnie to obchodzi, widziałam tylko, że pan wyszedł.

– Ale powróciłem, musiałem powrócić – szepnął ciszej.

– Do teatru, zapomniał pan czego.

– Do pani.

– Tak?! – szepnęła długo i oczy jej zamigotały blaskiem radości.

– Pan tak do mnie nigdy nie mówił.

– Ale dawno tego pragnąłem.

Ogarnęła spojrzeniem caującym jego twarz, aż poczuł coś

jakby powiew ciepły na ustach.

– Pan mówił o mnie tam w krzesłach z panem Weltem, czułam to.

– Mówiliśmy o pani brylantach.

– Prawda, że tak pięknych żadna nie ma w Łodzi?

– Prócz Knollowej i Baronowej – powiedział złośliwie, uśmiechając się.

– I o czym jeszcze mówiliście?

– O pani piękności!

– Pan ze mnie żartuje.

– Nie mogę żartować z tego, co kocham – powiedział przytłumionym głosem, ujmując zwieszoną rękę, wyrwała mu ją szybko i patrzyła rozszerzonymi oczami, oglądając się dokoła, jakby te słowa powiedziano na sali.

– Żegnaj panią – mówił powstając, był zły na siebie, czuł, że popełnił głupstwo, że jej to tak prosto bez przygotowań wielkich powiedział, ale działała na niego narkotycznie.

– Wyjdziemy razem, zaraz – powiedziała prędko, pozbierała szal, cukierki z pudełkiem, wachlarz i wyszła.

Ubierała się w milczeniu.

Borowiecki nie wiedział, co mówić, patrzył tylko na nią, na jej oczy zmieniające co chwila wyraz, na cudnie zarysowane ramiona, na usta, które ustawicznie oblizywała, na wspaniałą, doskonale rozwiniętą figurę.

Gdy włożyła kapelusz, podał jej rotundę⁶⁴. Pochyliła się nieco

⁶⁴ *rotunda* – obszerny płaszcz damski, skrojony w kształt koła. [przypis edytorski]

w tył, aby ją wziąć na ramiona i w tym ruchu dotknęła włosami jego ust, odsunął się nieco w tył, jakby sparzony, a ona nie znajdując oparcia, upadła mu plecami na piersi.

Pochwycił ją szybko w ramiona i wpił się ustami w jej kark, który się napreżył i skurczył pod pożerającym pocałunkiem.

Krzyknęła cicho i wparła się w niego całą siłą na mgnienie, aż się zachwiała pod jej ciężarem.

Wyrwała mu się szybko z objęć.

Była bladą jak marmur, dyszała ciężko, a spod przymkniętych powiek buchały płomienie.

– Odprowadzi mnie pan do powozu – powiedziała, nie patrząc na niego.

– Chociażby na koniec świata.

– Zapnij mi pan rękawiczki.

Zapinał, ale nie mógł znaleźć ani dziurek, ani guziczków, tak jak nie mógł znaleźć jej spojrzenia, bo nie patrzyła na niego; oparła się jednym ramieniem o ścianę, odwróciła nieco głowę i tak stała z ręką w jego ręku, z dziwnym uśmiechem na ustach, które promieniowały karminem; czasem wstrząsnął nią dreszcz, wtedy silniej przycisnęła się do ściany i jakiś cień jakby przerażenia migotał po jej twarzy i taił się w kątach ust.

– Chodźmy – szepnął, skończywszy zapinanie.

Doprowadził ją do powozu, wsadził, a ujmując jej rękę i całując gorąco, szepnął:

– Niech mi pani przebaczy, błagam na wszystko.

Nic nie odpowiedziała, tylko tak silnie pociągnęła go do

wnętrza, że wskoczył bez namysłu, zatrzasnął drzwi za sobą.

Konie ruszyły z kopyta.

Borowiecki czuł się zdenerwowanym do najwyższego stopnia tym, co się stało. Nie miał jeszcze czasu zdać sobie sprawy dokładnie, nie umiał zresztą teraz w tej chwili myśleć, wiedział tylko, że ona jest przy nim, siedziała wciśnięta w kąt powozu, daleko od niego. Słyszał jej nierówny, szybki oddech, a chwilami w świetle latarni ulicznych, błyskała mu jej twarz i oczy ogromne, wpatrzone w jakąś próżnię.

Chciał zapanować nad sobą, chciał już zastukać na stangreta, szukał już bezwiednie antaby⁶⁵, aby drzwi otworzyć i wprost uciec, ale nie miał sił już, ani woli.

– Pani mi przebaczy, to co się stało? – zaczął wolno i szukał jej rąk, schowała je głęboko pod rotundę.

Nie odpowiedziała nic, obcisnęła się szczelnie w rotundę, jakby chcąc zamknąć w sobie, przytrzymać tę szaloną chęć rzucenia mu się w ramiona.

– Pani mi przebaczy, – powtórzył ciszej, przysuwając się do niej.

Drżał cały, nie mógł więcej mówić i nie otrzymując odpowiedzi, szepnął bardzo cicho i bardzo głęboko.

– Lucy! Lucy!

Wstrząsnęła się, puściła rotundę, która zsuwała się z jej

⁶⁵ *antaba* (z niem. *Handhabe*: rękojeść) – dzierzak; metalowy uchwyt na kufrze, drzwiach, bramie, złożony z dwóch części, jednej stanowiącej umocowanie i drugiej (często ruchomej) służącej do chwytania; antaby na drzwiach stanowiły zarazem kołatkę. [przypis edytorski]

ramion i z jakimś głębokim, przejmującym okrzykiem rzuciła mu się na piersi.

– Kocham cię, kocham! – szeptała, obejmując go namiętnie.

Usta się ich zbiegły w długim, śmiertelnie mocnym pocałunku.

– Kocham cię, kocham! – powtarzała z lubością ten dźwięk słodki, całując jego twarz z porywającą siłą.

Czuła głód pocałunków, pieszczot i miłości tak dawno, więc teraz, kiedy się już tak stało, nie myślała o niczym, nie pamiętała na nic, tylko całowała.

– Nie, nie mów teraz nic, nie mów. Chcę mówić sama, chcę wołać wciąż. Kocham cię! Mogę to powtarzać wobec całego świata, wszystko mi już jedno. Ja wiem, że cię inne kochają, wiem, że masz narzeczoną, ale co mnie to obchodzi! Kocham cię! Kocham nie dlatego, żebyś i ty mnie kochał, żebym chciała przez to szczęścia, nie dla tego – ja cię kocham, kocham i nic więcej. Potrzebowałam kochać, jak każdy człowiek potrzebuje miłości. Pan jesteś dla mnie wszystkim. Chcesz, uklęknę przed tobą i będę ci to mówić tak długo, tak szczerze, aż uwierzysz i sam kochać mnie zaczniesz. Już nie mogę udawać, już nie mogę żyć bez ciebie i bez miłości. Kocham cię, mój jedyny, mój panie.

Mówiła bezładnie, prędko, nieprzytomnie. Okryła się w rotundę, to znowu ją opuszczała, odsuwała się od niego, to bez słów, promieniejąca, obejmowała go, cisnęła się do niego, całowała.

Borowiecki porwany tym szalonym wybuchem namiętności,

oczarowany miłością tak wielką i tak ognistą, głosem, co przenikał ogniem i pocałunkami, które go – bo onieprzytomniały prawie, dał się unieść temperamentowi swojemu i szalał jak i ona.

Oddawał jej tak pocałunki, że mu chwilami zwiśla na rękach jak martwa.

– Kocham cię, Lucy, kocham! – powtarzał, nie wiedząc sam, co mówi.

– Nie mów nic, całuj mnie!

– Nie mów nic, całuj mnie – wołała w najwyższym uniesieniu.

Głos jej rwał się i wybuchał burzą, to znowu łkał, jakby całą miłością wschodu, jakby całą ognistą pieśń nad pieśniami wyśpiewywał.

– Ja tak marzyłam o tej chwili, tyle miesięcy pragnęłam cię, tyle lat czekałam na to, tyle cierpiałam przez to. Całuj mnie! mocniej... mocniej... mocniej... A! teraz umarłabym chętnie – wykrzyknęła dziko.

Powóz toczył się wolno po jednej ze strasznie błotnistych i niebrukowanych ulic, gdzie nie było nawet latarni, tylko powozowe światła rozkręcały złoty blask na ruchomą, płynną, a głęboką warstwę błota, rozpryskującą się aż na szyby.

Nikt nie przechodził, ani nie przejeżdżał tą ulicą, obwiedzioną z obu stron wysokimi parkanami, spoza których wznosiły się sterty drzewa budulcowego ułożone w wielkie czworoboki, albo wystrzelał komin fabryczki jakiejś, których w tej stronie miasta było dosyć.

Wielkie psy, pilnujące składów, czekały ponuro na powóz i słycać było jak się rzucały na bramy i drapały pazurami deski z wściekłości, nie mogąc się wydobyć na ulicę.

Nie wiedzieli nic i nic nie słyszeli, zatopieni w fali tej miłości nagłej i oślepiającej, jaka ich porwała.

– Lucy!

– Pocałuj mnie.

– Kochasz?

– Pocałuj mnie.

Rwały się im tylko takie słowa z piersi przepełnionych przerażającym ogniem.

– Weź mnie Karol, weź mnie całą i na zawsze.

Nie wiedzieli nawet, kiedy stanęli na miejscu.

Zajechali przed pałacyk Zukerów, stojący w okolicy miejskiego lasku.

– Chodź do mnie – szepnęła, trzymając go silnie za rękę.

Bezwiednie, z przyzwyczajenia wsunął drugą rękę do kieszeni, gdzie miał rewolwer.

– Niech August zaczeka na pana – zawołała grzmiąco do stangreta.

– Chodź, nie ma nikogo, on – mówiła z naciskiem – pojechał.

Nikogo prócz służby nie ma w domu.

Puściła jego rękę, bo służba otwierała drzwi.

– Zapalić światło w saloniku wschodnim. Podawać zaraz herbatę.

Rzuciła mu się na szyję, skoro lokaj oddalił się, ucałowała

go namiętnie i popchnęła w jakiś korytarzyk wysłany dywanem i wybity czerwono.

– Zaraz przyjdę, Kocham cię! – zawołała za nim i zniknęła.

Rozebrał się wolno, rewolwer przełożył do kieszeni surduta i wszedł w jakieś drzwi, które się przed nim otworzyły do słabo oświetlonego saloniku.

Białe dywan ze skór baranów, nadzwyczaj puszysty, tłumiał zupełnie kroki.

– Ależ to zupełnie romantyczna awantura! – szepnął, padając na jakiś zydelski perski bez poręczy, inkrustowany w hebanie złotem i srebrem, bo czuł się strasznie znużonym.

– Ciekawa kobieta, ciekawa scena – myślał i zaczął się rozglądać po pokoju.

Buduar był urządzone z takim przepychem, że nawet w mieście pełnym najwspanialszych mieszkań, takim jak Łódź, mógł jeszcze wyrwać okrzyk zdziwienia.

Ściany były obciążone w żółty, o gorącym tonie jedwab, po którym rozrzucone bardzo artystycznie gałęzie bzu czerwono-fioletowych, nakładanych grubym haftem.

Przez całą długość jednej ściany stała wielka i szeroka sofa, pod baldachimem żółtym w zielone pasy, udrapowanym w formie namiotu i podtrzymywanym przez złote halabardy.

U szczytu, pod namiotem, lampa ze szkła żółtych, rubinowych i zielonych rozrzucała dziwnie omdlewające światło.

– Handełesy – szepnął z jakąś zawistną nieomal pogardą, zirytowany tym przepychem, ale pomimo to rozglądał się

ciekawie; dziwaczne, kosztowne sprzęty o formach wschodnio-japońskich były bezładnie nagromadzone i stosunkowo do wielkości pokoju w nadmiernej ilości.

Stosy poduszek jedwabnych o jaskrawych barwach chińskich leżały porozrzucane po sofie i białym dywanie odcinały się ostrymi plamami jakby farb porozlewanych.

Zapach ambry i *violettes de Perse*, pomieszany z różami, rozwłóczył się po pokoju.

Na jednej ze ścian błyszcząca masa broni wschodnich, bardzo kosztownych, ułożona dookoła wielkiej, okrągłej tarczy saraceńskiej, stalowej, nabijanej złotem i tak wypolerowanej, że w tym świetle przyćmionym skrzyła się i promieniowała złotymi ozdobami i rzędami rubinów i bladych ametystów, jakimi obrzeże jej było wysadzone.

W jednym rogu, na tle olbrzymiego wachlarza z pawich piór, stał cały wyzłocony posązek Buddy, z podwiniętymi nogami, w postawie kontemplacyjnej.

W drugim roku stała wielka żardinierka japońska z brązu, podtrzymywana przez złote smoki, pełna kwitnących, białych jak śnieg azalii.

– Pocięjów milionerski – myślał znowu Borowiecki, który posiadał nadzwyczaj wyrobiony smak artystyczny i poczucie piękna, rozwinięte jeszcze do stopnia doskonałości specjalnymi studiami nad harmonią barw.

– Jaśnie pani prosi pana dyrektora – szepnął z ukłonem stary, wygolony lokaj, odsłaniając ciężką portierę z żółtego aksamitu,

pokrytą malowanymi chryzantemami.

– A Józef jest tutaj? – zapytał Borowiecki idąc, bo znał go z innego domu.

– Puściłem w licytację tamtych Żydów – szepnął cicho, zginając się przed nim.

Karol uśmiechnął się tylko i poszedł do jadalnego.

Lucy nie było jeszcze.

Usłyszał tylko przytłumiony murami krzykliwy jakiś głos z dalszych pokoiów.

– Co to? – zapytał bezwiednie Borowiecki, nasłuchując.

– Jaśnie pani rozmawia z pokojówką – objaśniał Józef, ale z takim zimno-pogardliwym wyrazem twarzy, że Borowiecki zwrócił na to uwagę i nic już nie pytał więcej.

Lokaj wyszedł, a on rzucił po jadalni oczami: była umeblowana z banalnym łódzkim przepychem; boazerie z dębu do połowy ścian, kredensy w bretońskim stylu z ciemnego orzecha, z masą sreber i porcelany na półkach, staroniemieckie dębowe i wspaniale rzeźbione zydle dokoła olbrzymiego stołu, oświetlonego żyrandolem w formie bukietu tulipanów, w którym jaśniała elektryczność.

Część jedna stołu była przygotowaną do herbaty.

Usiadł, bo go zaczęło niecierpliwie oczekiwanie i zobaczył, że przy stole na ziemi leży jakiś papier, podniósł go, aby położyć i prawie machinalnie rzucił na niego okiem.

Był to telegram, pisany kluczem firmy Bucholca, który się używał w razach nadzwyczajnej ważności.

Borowiecki znał ten klucz i zdziwił się niepomiernie.

– Co tu robi ten telegram?

Odwrócił blankiet, adres był: „Bucholc – Łódź”.

Więc się już dalej nie krępował tylko czytał:

Dzisiaj zapadło postanowienie na radzie. Cło od bawełny amerykańskiej sprowadzanej na Hamburg i Triest – podniesiono do 25 kopiejek w złocie od puda. Wprowadzenie za dwa tygodnie. Taryfy kolejowe przewóz bawełny od granic zachodnich do 20 kop. od puda i wiorsty. Wykonanie za miesiąc. Za tydzień będzie ogłoszone.

Borowiecki depeszę schował do kieszeni i zerwał się z krzesła poruszony nadzwyczaj.

– Straszna wiadomość. Pół Łodzi padnie – szeptał, teraz zrozumiał, że o tej wiadomości nic mu nie powiedział Knoll, bał się mu zaufać. – Pojechał do Hamburga kupować zapasy bawełny. Wykupi, co będzie mógł zdążyć i weźmie mniejszych fabrykantów za łeb. Co za interes, co za interes! Teraz mieć pieniądze i jechać kupować. Aaa! – myślał i wszystko w nim zaczęło kipieć jakąś szaloną niecierpliwością, żądzą niepowstrzymaną zrobienia na tej wypadkiem otrzymanej wieści, majątku – Pieniędzy! Pieniędzy! – wołał w myśli, zrywając się z krzesła.

Oczy mu gorączkowo świeciły, wszystko się w nim trzęsło ze wzruszenia nadmiernego, pierwszym jego ruchem było uciekać stąd, do miasta, znaleźć Moryca i obgadać ten interes i byłby może dał się porwać uniesieniu, ale weszła, a raczej wpadła do

jadalni Lucy i rzuciła mu się prosto na szyję.

– Czekaleś, daruj mi, musiałam się przebrać zupełnie.

Ucałowała go i usiadła, wskazując mu miejsce obok siebie, bardzo spokojnym ruchem, bo wszedł lokaj i nalewał herbatę.

Nie mogła jednak usiedzieć spokojnie, co chwila wstawiała do kredensów i przynosiła całe masy najrozmaitszych przysmaków i stawiała przed nim.

Miała na sobie bladożółty jedwabny szlafrok z bardzo szerokimi rękawami, obszytymi kremowymi koronkami, naszytymi rzędem turkusów, ściągnięty w pasie złotym sznurem.

Olbrzymie włosy zwinięte były na tyle głowy w wielki grecki węzeł, przepięty brylantowymi grzebykami.

Ten sam naszyjnik brylantowy, jaki miała w teatrze, skrzył się i teraz na odsłoniętej szyi, wszystkimi barwami tęczy. Wspaniałe ręce wysuwały się co chwila z rękawów aż po ramiona.

Była szalenie pociągającą, ale Borowiecki nie odczuwał tego już ani w połowie; odpowiadał prawie monosylabami, pił śpiesznie herbatę, chciał wynieść się jak najprędzej.

Wiadomość ta paliła go jak ogień.

Lucy drżała z niecierpliwości, goniła wzrokiem nienawiści lokaja, który łąził jak senny i nie mogąc rzucić się na szyję Karola, przycisnęła mu z taką siłą rękę, że omal nie krzyknął z bólu.

– Co panu jest? – spytała, spostrzegłszy jego pomieszanie.

– Jestem szczęśliwy! – szepnął jej po francusku.

Zaczęli rozmawiać, ale rozmowa nie szła, rwała się co chwila

jak stare strzępy, gdy je kto chce silniej przytrzymać.

Jej przeszkadzał lokaj, a jemu niecierpliwość i przymus, jaki sobie zadawał, żeby tutaj siedzieć teraz, kiedy był panem takiej wielkiej tajemnicy, w takiej chwili, gdy cło podnosiło się z 8 kopiejek do 25.

– Może przejdziemy do buduaru – szepnęła cicho, gdy się herbata skończyła.

I tak patrzyła na niego rozbłyśniętymi cudownie oczami, takim dziwnym blaskiem płonęły jej purpurowe usta, że Borowiecki, który wstał na to, aby się z nią pożegnać, skłonił głowę i poszedł za nią.

Nie mógł się oprzeć jej urokowi.

Skoro się tylko znaleźli sami, porwała go znowu swoim ogniem i gwałtownością, ale na chwilę tylko, bo gdy ona całowała go z uniesieniem nieopowiedzianym, padała przed nim na kolana, obejmowała go, krzyczała słowa bez związku, którymi wybuchała jej namiętność i szalała porwana własną siłą – on myślał o bawelnie, myślał, gdzie może być Moryc, skąd wziąć pieniędzy na zakupy bawełny.

Oddawał pocałunki i pieszczoty, rzucał jej chwilami słowa gorące miłości, ale robił to prawie odruchowo, więcej siłą nawyknienia do podobnych sytuacji, niżli sercem, które było w tej chwili zajęte zupełnie czym innym.

A ona pomimo rozszalenia, odczuwała intuicją zmysłów ludzi bardzo namiętnych, że coś stoi pomiędzy nimi – więc potęgowała w sobie uczucie, jakby za siebie i za niego, roztaczała całą potęgę

czaru kobiety zakochanej, kobiety niewolnicy, która nawet kopnięcie swego pana i władcy przyjmuje z okrzykiem szczęścia i kobiety, dla której szczęściem jest najwyższym zdobyć sobie kochanka przez siłę, gwałtem, mocą swego temperamentu.

Wreszcie zwyciężyła.

Borowiecki zapomniał o fabryce, o bawelnie, o cłach, o świecie całym, oddawał się tej miłości z całą zapamiętałością ludzi na pozór zimnych i umiejących w drobnych okolicznościach życia panować nad sobą zupełnie.

Poddawał się huraganowi i z rozkoszą pełną denerwującej ciekawości, pozwolił mu się nieść.

– Kocham cię – wołała co chwila.

– Kocham cię – odpowiadał i czuł, że w tej chwili mówi pierwszy raz w życiu szczerze zupełnie to słowo, najwięcej może ze słownika ludzkiego kłamliwe i kłamane.

– Napisz mi to, mój najdroższy, napisz – prosiła z dziecinnym uporem.

Wyjął bilet wizytowy i całując co chwila jej cudne fiołkowe oczy i te usta palące, napisał:

„Kocham cię, Lucy”.

Wyrwała mu bilet z rąk, przeczytała, ucałowała kilkakrotnie i schowała za gors, ale wyjęła po chwili, aby znowu czytać i całować na przemian bilet i jego.

Wreszcie przypatrując się herbowi, zapytała:

– Co to jest?

– Mój herb.

– Co to znaczy?

Wytłumaczył jej jak mógł, ale nic nie rozumiała.

– Nic nie rozumiem, zresztą nic mnie to nie obchodzi.

– A co cię obchodzi.

– Kocham cię.

Zamknęła mu usta pocałunkiem.

– Widzisz, ja nic nie wiem, ja cię kocham, to mój rozum, po co mi więcej?

Siedzieli tak długo w tej wielkiej ciszy nocy i buduaru, przez którego mury i obicia nie przedzierał się najmniejszy szmer ze świata, zatopieni w sobie, w miłości, otoczeni jakby obłokiem zachwyty nad sobą; w tej obezwładniającej atmosferze, przesyconej zapachami, odgłosem pocałunków, szeptem rozdrzanych⁶⁶, palących słów, szelestem jedwabiu, rubino-szmaragdowym światłem, co się mżyło coraz słabiej, barwami przyćmionymi, które z obić na ścianie, z mebli połyskiwały tajemniczo, drgały w żywszym na chwilę świetle i jakby pełzały wskroś pokoju, a potem rozlewały się i martwiały w zmroku coraz gęstszym, w którym tylko świecił się jakoś dziwnie Budda, a nad nim patrzyły z pawich piór oczy coraz smętniej i coraz tajemniczej.

⁶⁶ *rozdrzanych* – dziś: *rozedrzanych*. [przypis edytorski]

IV

Czwarta dochodziła, gdy Borowiecki znalazł się na ulicy.

Stangret nie doczekawszy się, odjechał do stajni.

Wiatr huczał głęboko i zamiatał kałuże z taką siłą, że błoto bryzgało na parkany i na wąską ścieżkę służącą za chodnik.

Borowiecki wzdrygnął się, przejęty tym zimnym, wilgotnym wiatrem.

Stał chwilę przed domem, nic nie widząc przed sobą, prócz połyskującego błota i czarnych, spiętrzonych gmachów w oddali i kominów fabrycznych, słabo rysujących się na szarym, zmaconym tle nieba, po którym chmury, niby porozrywane bele zabrudzonej bawełny, biegały z szalonym pośpiechem.

Był jeszcze oszołomiony, przystawał i oparty o parkan zbierał rozbitą świadomość. Wstrząsał się cały co chwila, bo czuł jeszcze uściski jej, usta paliły go, przymykał oczy i musiał parasolem wyszukiwać przed sobą twardszego gruntu i czuł się pijanym zupełnie, dopiero szczekania gwałtowne psów za parkanami, orzeźwiły go zupełnie i wyrwały z tej dziwnej ciszy, jaka ogarnia po przejściu bardzo silnych wzruszeń.

– Kurowski musi już spać – szepnął kwaśno przypominając sobie, że miał iść do niego do Grand-Hotelu zaraz po teatrze.

– Żebym czasem za tę zabawę nie zapłacił fabryką – szepnął i zaczął biec prędko, już nie zważając na błoto i na wyboje.

Dopiero na Piotrkowskiej złapał dorożkę i kazał się wieźć co

koń wyskoczy do hotelu.

– A telegram – wykrzyknął, przypominając sobie nagle i przy świetle latarni przeczytał go raz jeszcze. – Zawracaj i jedź prosto Piotrkowską. Może już jest w domu – myślał o Morycu i gorączka znowu zaczęła go brać.

Kazał dorożkarzowi zaczekać na wszelki wypadek przed domem i z pośpiechem dzwonił do mieszkania.

Nikt nie otwierał, co go tak zirytowało, że oberwał dzwonek i trząśnął całą siłą drzwiami, wreszcie, po długim oczekiwaniu Mateusz otworzył.

– Pan Moryc w domu?

– Jak poszedł na siabas, to pewnie Żydy nie puścili, a tak, pan Moryc, niby?

– Pan Moryc w domu, odpowiadaj? – krzyknął rozwścieczony, bo Mateusz był zupełnie pijany, szedł za nim ze świecą w rękę, rozebrany, z oczami zamkniętymi i z twarzą pełną poprzysychanej krwi i sińców.

– Pan Moryc, niby ja rozumiem, pan Moryc, aha!

– Bydle! – krzyknął i uderzył go w twarz z całej siły.

Chłop się potoczył i utkwiał twarzą w drzwi, którymi wszedł do mieszkania Borowiecki.

Moryca nie było, Baum tylko spał nierozebrany, z papierosem w zaciśniętych zębach, na wielkiej otomanie w jadalnym pokoju.

Na stole, na ziemi, na kredensie stało mnóstwo pustych butelek i talerzy, a kominek samowara obwinięty był w zieloną, długą woalkę.

– Oho, Antka była, bawił się wesoło. Maks! Maks! – zawołał mocno, potrząsając śpiącym.

Maks ani drgnął, spał najspokojniej i chrapał potężnie.

Wreszcie Borowiecki zniecierpliwiony daremnymi usiłowaniami obudzenia go, bo chciał od niego dowiedzieć się, gdzie jest Moryc, porwał go za ramiona i postawił na podłodze.

Maks zirytowany, że go budzą, potoczył się na krzesło, schwycił je i z całej siły rzucił przed siebie, na stół.

– Masz ty, mała zielona, nie budź – i położył się najspokojniej na otomanie, ściągnął surduty, okręcił nim głowę i spał dalej.

– Mateusz! – krzyknął z rozpaczy prawie Karol, widząc, że Maksa nic nie obudzi.

– Mateusz! – krzyknął po raz drugi, podchodząc do przedpokoju.

– Zaraz idę, lecę panie dyrektorze, świeca mi się gdzieś podziała i szukam i szukam, idę – wołał przez sen, roztrzęsionym pijanym głosem, na próżno starając się podnieść z podłogi, gdzie upadłszy po ciosie Borowieckiego zasnął.

Podniósł się na kolana i padł z powrotem twarzą na ziemię, machając dokoła rękami, jakby pływał.

Borowiecki podniósł go, przyprowadził do jadalni, postawił pod piecem i pytał:

– Gdzieś się upił? Tyle razy ci zapowiadałem że jak się upijesz, wyrzucę cię do diabła, słyszysz co mówię?

– Słyszę, panie dyrektorze, słyszę, aha, niby pan Moryc –

bełkotał, na próżno starając się znaleźć równowagę.

– Kto ci zbił pysk? Wyglądasz jak świnia.

– Mnie kto zbił pysk? mnie, prze... pana dyrektora, nikt zbił pysk, mnie nikt nie może zbić pysk, bo ja bym prze... pana dyrektora gnaty połamał, mordę zbiuł i byłoby fertig⁶⁷, na glanc... cholera.

Borowiecki widząc, że z pijanym się nie dogada, przyniósł karafkę z wodą, przytrzymał go jedną ręką i wszystką wodę wylał mu na głowę.

Mateusz się kręcił i wyrywał, ale otrzeźwiał nieco i obcierając rękami twarz posinioną, zalaną krwią, patrzył ogłupiałymi oczyma.

– Był pan Moryc? – pytał cierpliwie dalej.

– Był.

– Gdzie pojechał?

– Odwiózł niby tę małą, czarną i miał być w Grandzie. To znaczyło w Grand Hotelu.

– Kto tutaj był?

– Różne państwo było, był pan Bein, pan Hertz i inne jeszcze Żydy. Ja z Agatą od pana inżyniera gotowaliśmy kolację.

– I upiłeś się jak świnia ostatnia; któż cię tak pobił?

– Nikt mnie nie bił.

Pomacał się bezwiednie po twarzy i głowie i syknął z bólu.

– A skądże masz te dziury we łbie, co?

– A to, abo... był i pan Moryc, i ta czarna małpa, i ten garbaty,

⁶⁷ *fertig* (niem.) – gotowe, gotowy. [przypis edytorski]

i te Żydy.

– Gadaj natychmiast, gdzieś się upił i kto cię pobił? – krzyknął z wściekłością.

– Ja nie pijany, ani mnie kto pobił. Poszedłem po piwo dla panów, a w szynku były kolegi od Francuzów i postawiły *bier*. – Dobra nasza! Postawiłem i ja. Jak ony postawiły raz, to i ja raz. Potem przyszły ludzie z blichu naszego, dobre Polaki, z moich stron, postawiły i one *bier* – dobra nasza; postawiłem i ja. Ony dobre Polaki, to i ja dobry Polak, ony stawiały dobra nasza, to i ja stawiał. Alem nie pijany prze... pana dyrektora, jak Pana Boga kocham takim trzeźwy, co jak pan dyrektor chce – to chuchnę, niech pan dyrektor sprawdzi.

Nachylił się i z zamkniętymi oczami, przylegając mocno grzbietem do pieca, chuchał na pokój.

Borowiecki przebierał się w swoim pokoju i nie słuchał, ale Mateusz gadał wciąż.

– Potem przyszły webery od starego pana Bauma i foluszniki. Piły z nami – myśma stawiali, a że zaś Niemcy podły naród, to stawiać nie chciały. To ja jednego ino tak ździebko palcem tknąłem, to un na ziemię, a drugi me kuflem w łeb. To ja i tego tak ździebko palcem tknąłem, to on tyż na ziemię, a Niemcy me zaś za orzydle. Ja się nie biłem, bo wiem, że pan dyrektor tego nie lubi. A że ja słucham swojego pana, to ja się nie biłem, ale kiej mie jeden ucapił za włosy, a inne za orzydle, a jeszcze któryś lunął me bez pysk, to myślę, szkoda mi tego tużurka, co go mam od pana dyrektora i mówię po dobremu: puść me,

a un me nożem pod żebro. To ja go łbem o ścianę, to un został. Kolegi pomogły i było fertig, na glanc. Ja się nie biłem, tknąłem ino ździebełko palcem, toby i kurczę ustało, a taka świnia już leży. Miętki w nogach naród, panie dyrektorze, bardzo miętki te Niemcy. Ja ino tak ździebko palcem tknąłem, to już forbeit, na ziemi!

Mruczał coraz senniejsze i z wyciągniętą ręką przed siebie, wskazującym palcem pokazywał, jak on ździebko tylko tykał.

– Idź spać – zawołał Borowiecki, pogasił światła, zaprowadził go do kuchni i pojechał szukać Moryca.

W Victorii było zamknięte, w Grand Hotelu także.

– Pan Kurowski już śpi? – zapytał numerowego.

– Wcale nie był dzisiaj, był przygotowany salon i nie przyjechał.

– Pan Welt był u was wieczorem?

– Był z paniami i z panem Cohnem, pojechali do Arkadii.

Pojechał do Arkadii na Konstantynowską i tam już nie było nikogo.

Objechał kilka jeszcze knajp, gdzie zwykłe młodzież łódzka się bawiła, ale nigdzie go nie znalazł.

– Gdzie ta mała się schowała – myślał zirytowany i raptownie krzyknął dorożkarzowi: – Jedź na miód, wiesz, gdzie? Jeśli tam nie będzie, to go już nigdzie nie znajdę.

– Zaraz tam będziemy, panie!

I podciął konia ze wszystkich sił, bo włókł się strasznie powoli, utykając po dziurach i dołach; dorożka skakała i kołysała się po

bruku pełnym najstraszliwszych wybojów, niby łódka po falach morskich.

Borowiecki kłął i zacinał zęby i żeby zapanować nad rozdenerwowaniem, które tak nim trzęsło, że nie mógł zapalić papierosa, bo mu się łamał w rękach, zaczął usilnie myśleć nad tą sprawą bawełnianą.

– Bauer sprzedał dobrze ten telegram Zukerowi. Go za dziwna kobieta – przerzucił się do wspomnień Lucy i utonął w nich.

Znał ją od lat dwóch, ale nie zwrócił szczególniejszej uwagi, ponieważ był zajęty Likertową, a potem⁶⁸ opowiadali o niej, że jest niepomernie głupia, tak prawie jak piękną była.

– Co za temperament – szeptał, wstrząsając się na przypomnienie.

Od dosyć dawna wiedział, że zwrócił jej uwagę, dawała mu poznać spojrzeniami, zapraszaniem usilnym do siebie, z którego jakoś nigdy nie korzystał. Bywała tam wszędzie, gdzie wiedziała, że i jego spotka.

Plotka łódzka, którą tam z całą pasją i z wielką maestrią uprawiają przeważnie mężczyźni, którą są przepełnione kantory i fabryki, zaczynała już coś kombinować i przebąkiwać, ale szybko ustała, ponieważ Borowiecki trzymał się z daleka, pochłonięty w ostatnich miesiącach planami założenia fabryki.

Znał osobiście Zukera, starego chałaciarza, przedzierzgniętego w ostatnich dziesięciu latach w milionera-fabrykanta, który zaczynał swoją karierę w Łodzi od skupowania

⁶⁸ *potem* – tu w znaczeniu: poza tym. [przypis edytorski]

zużytych, do niczego fabrykom już nie służących szmat bawełnianych, strzępów papieru, pyłu bawełnianego, jakiego zawsze bywało dosyć po tkalniach i postrzygalniach.

Nie cierpiał go za tandetne wyroby, naśladowujące powierzchownie w deseniach i kolorach wyroby firmy Bucholca, a w istocie materiały w najgorszym gatunku, sprzedawane tanio, które uniemożliwiały wszelką konkurencję.

Wiedział, że Zukerowa nie ma kochanka, bo raz, że była Żydówką, a po drugie, w mieście, gdzie wszyscy, poczynając od milionerów, a skończywszy na ostatnim gwoździu, w tej olbrzymiej maszynie wytwórczej, muszą robić, muszą się cali oddawać tej pracy, jest niezmiernie mało zawodowych donżuanów, nieśłychanie mało sposobności do zdobywania i obalamucania kobiet.

A zresztą, gdyby tak było, już by o tym ktoś wiedział i mówił z pewnością.

– Czy ona ma i duszę jaką? – myślał teraz rozpatrując jej dziką, niepohamowaną namiętność. Ale po co ja tam wlażłem, jeszcze teraz! Do diabła z miłością, mieć teraz taką kulę u nogi, kiedy się zakłada fabrykę na kredyt. A jednak...

I zastanowił się, szukał w sobie miłości do niej, wmawiał w siebie zupełnie szczerze, że ją kocha, że to miłość go porwała, a nie zwykła, zmysłowa burza zdrowego i niewyczerpanego organizmu.

– Bądź co bądź, gra warta świeczki – pomyślał.

Dorożkarz zakręcił i stanął zaraz przy rogu Spacerowej, przed

synagoga.

V

Restauracja, do której przyjechał Borowiecki, poszukując Moryca, znajdowała się zaraz za synagogą, w głębi podwórza, obstawionego niby kamiennymi pudłami, czteropiętrowymi oficynami z trzech stron, bo czwartą zakończył mały ogródek, odgradzony zielonymi sztachetkami i przyparty do tyłów olbrzymich, nagich czerwonych murów jakiejś fabryki.

Mała oficynka parterowa stała w głębi, pod samym murem i buchała oświetlonymi oknami i wrzaskliwą, podobną do ryczenia osłów wrzawą.

– Oho, jest cała banda – pomyślał, wchodząc do długiej, niskiej sali, tak zaciemnionej dymami cygar, że w pierwszej chwili, w tym sinawym obłoku, popstrzonym złotymi kulami gazowych świateł, nie odróżnił nikogo.

Kilkadziesiąt osób tłoczyło się dookoła długiego stołu, krzyczało, gadało głośno, śmiało się i śpiewało, co połączone z brzękiem talerzy i przenikliwym szczękiem tłuczonego szkła, tworzyło taką splątana, zgiefkliwą wrzawę, że ściany się trzęsły i nic usłyszeć nie było można.

Naraz przycichło nieco i jakiś ochrypnięty, pijany głos zaintonował z końca stołu:

Agato! Ty interes fajny masz – Agato!

Agato! Ja całuję ciebie w twarz – Agato!

Agato! To mi za to piwa dasz – Agato!

„Agato!” ryczał tłum wszystkimi możliwymi i niemożliwymi głosami, które tak pokryły głos Bum-Buma, który był tej piosnki przedziwnie głupiej kompozytorem i solistą, że na próżno krzyczał dalsze zwrotki, nikt go nie słuchał, bo wszyscy wyli:

– Agato! Agato!

Bum-Bum la la la! Agato! Tra la la la! Agato! Cip, cip, cip Agato!

Tak ten śpiew podniecał, że zaczęli do taktu bić laskami w stół, kufle leciały na ściany lub rozpryskiwały się o piec, niektórym i to nie wystarczało, bo krzesłami bili o ziemię i jak zapamiętali, oślepli, z zamkniętymi oczami śpiewali:

– Agato! Agato!

– Panowie, na miłość boską, bo mi sprowadzicie tymi krzykami policję – zaczął błagać wystraszony gospodarz.

– Pan potrzebujesz być cicho, my płacim! Panienko, proszę jedno piwo!

– Hej Bum-Bum, zaśpiewaj no pan – krzyczano do Buma, który poprawiał binokle obu rękami i stał w drugim pokoju, przed bufetem.

– Kwicz Bum-Bum, ja i tak nie słyszę – szeptał jeden pół sennie, leżąc na stole, który cały był pokryty butelkami wina i koniaków, maszynkami od kawy, kamionkami od porteru, kuflami i szkłem potłuczonym.

– Agato! Agato! – wrzeszczał półgłosem jakiś kantorowicz,

senny, z przymkniętymi oczami, pijany, bił laską w stół.

– No, bawią się echt⁶⁹ po łódzku – szepnął Karol, szukając oczami Moryca.

– Dyrektor! Panowie, jest i firma Bucholc Herman i Spółka! Jesteśmy zatem w komplecie. Panienko, kółko koniaków! – krzyczał jakiś wysoki i gruby Niemiec łamaną polszczyzną.

Zatoczył się szerokim gestem dokoła, chciał jeszcze coś mówić, ale nogi mu się zwinęły i upadł na kanapę stojącą za nim.

– Ależ to widzę cała banda wesola.

– Cały nasz komplet burszów.

– My tak zawsze, jak pić to solidarnie, jak co robić – zdechł pies.

– O tak, solidarnie, jak mówi ten, no, jakże się nazywa, no ten, co to mówił: „Hej ramię do ramienia, wspólnymi łańcuchy!”⁷⁰

– Opaszmy brzuchy albo inną galanterię – wtrącił ktoś z boku.

– Cicho pan. Włóczęgom, psom i ludziom od Szai – wstęp wzbroniony! Zapisz pan to, panie redaktorze – wołał któryś, zwracając się do wysokiego chudego blondyna, melancholijnie siedzącego na środku pokoju, który błędził dużymi, jakby pożyczonymi oczami, po ścianach pokrytych oleodrukami.

– Moryc, mam do ciebie bardzo pilny interes – szepnął Karol, przysiadając się do Welta i do Leona Cohna, bo obaj pili tylko

⁶⁹ *echt* (niem.) – prawdziwy; prawdziwie. [przypis edytorski]

⁷⁰ *Hej ramię do ramienia (...) opaszmy* – fragment *Ody do młodości* Adama Mickiewicza: „Hej! ramię do ramienia! spólnymi łańcuchy / Opaszmy ziemskie kolisko! / Zestrzelmy myśli w jedno ognisko, / I w jedno ognisko duchy! / Dalej, bryło, z posad świata! / Nowymi cię pchniemy tory”. [przypis edytorski]

ze sobą.

– Pieniędzy chcesz, masz pugilares – szepnął nadstawiając kieszeń spodnią surduta – albo zaczekaj, chodźmy do bufetu. U diabła, jestem pijany – mruknął, na próżno usiłując się trzymać prosto.

– Może dyrektor usiądzie. Napijem się, a! wódeczka jest, koniaczek jest, a!

– Kaźcie mi dać jeść, bo głodnym jak wilk.

Kelnerka przyniosła gorących serdelków, bo już nic więcej nie było w bufecie.

Borowiecki zaczął jeść, nie zważając na towarzystwo całe, które porozdzielane na grupy, piło i gadało.

Była to sama prawie młodzież łódzka, typowa młodzież z kantorów i składów, z małą domieszką techników fabrycznych i specjalistów innych zajęć.

Bum-Bum, pomimo, że był zupełnie pijanym, chodził po sali, w pięść się trząsał, binokle poprawiał, pił ze wszystkimi, a chwilami podchodził do młodego chłopaka, który wciśnięty w głęboki fotel, obwiązany serwetką spał i krzyczał mu do ucha:

– Kuzyn, nie śpij!

– Zeit ist Geld⁷¹! Czyje *conto*? – odpowiadał, nie otwierając oczów, stukał automatycznie kuflem w stół i spał dalej.

– Kobieta! Daj pan pokój, to kein geszeft⁷² być kobietą, to szkoda czasu – wołał ze śmiechem znany powszechnie w Łodzi

⁷¹ *Zeit ist Geld* (niem.) – czas to pieniądz. [przypis edytorski]

⁷² *kein geszeft* (z niem.) – to nie jest interes; żaden interes. [przypis edytorski]

Feluś Fiszbin.

– Ja jestem człowiek, panie, najautentyczniejszy człowiek – krzyczano przy drugim rogu.

– Pan się nie chwal! Pan jesteś gruba symulacja człowieka – drwił Feluś.

– Panie Fiszbin, pan może jesteś Fiszbin, ale pański interes nie jest nawet słoma.

– Panie Weinberg, pan jesteś... no już pan wiesz i my wiemy, co pan jesteś, ha, ha, ha.

– Bum-Bum, zaśpiewaj majufes, bo się Żydy kłóca.

– König, ty jesteś mój przyjaciel, ale ja ze smutkiem widzę, żeś ty coraz głupszy. Tobie już w brzuch głowa wlała. Ja się o ciebie bardzo boję. Panowie on się tak pasie, że jemu niedługo własna skóra nie wystarczy, on się w nią nie zmieści, ho, ho.

Śmiech gruchnął ogólny, ale König nie odezwał się, popijał piwo i wpatrywał się w światła nieprzytomnymi oczami, siedział bez surduta, z rozpiętym kołnierzykiem u koszuli.

– Wróćmy doktorze do kobiet – zaczął Feluś do sąsiada, który z opuszczoną na piersi brodą siedział i wykręcał ustawicznie i niezmordowanie wąsiki blond i co chwila nerwowym ruchem otrzepywał klapy surduta i wpychał w rękawy dosyć brudne mankiety.

– Dobrze, to jest ważna kwestia, choćby z punktu socjalno-psychologicznego.

– To jest żadna kwestia. Znasz pan chociażby jedną porządną kobietę?

– Panie Feliksie, pan jesteś pijany, co pan wygadujesz! Ja panu tutaj w Łodzi pokażę setki najlepszych, najzacniejszych, najrozumniejszych kobiet – krzyczał wyrwany z apatii, podskakując na krześle i z błyskawiczną szybkością otrzepując sobie klapy.

– To pewno pańskie pacjentki, pan je powinieneś chwalić.

– Z punktu socjalno-psychologicznego biorąc, to co pan mówisz, jest...

– Z każdego boku jest to prawda, jest to cztery razy prawda. Pan mi dowiedź, że jest inaczej.

– Mówię przecież panu.

– To jest gadanie, tylko gadanie, mnie potrzeba faktów! Ja jestem człowiek realny, panie Wysocki, ja jestem pozytywista. Panienko, maszynka kawy, chartrezy!

– Dobrze, dobrze! Zaraz panu dam fakty: Borowska, Amzelowa, Bibrychowa, bo co?

– Ha, ha, ha, wyliczaj pan więcej, to dla mnie śliczny kawałek zabawy.

– Pan się nie śmieje, to są porządne kobiety – krzyczał zaperzony.

– Skąd pan to wiesz, miałeś je pan w komis? – rzucił cynicznie Feluś.

– Nie wymieniłem jeszcze najpierwszych, takich jak Zukerowa i Wolkmanowa.

– To się nie liczy. Jedną mąż trzyma w zamknięciu, a druga nie ma czasu wyjrzeć na świat, bo ma na trzy lata czworo dzieci.

– Keszterowa to co, to perkal? a Groszlikowa, to wata? Cóż pan na to powie?

– Ja nie powiem nic.

– A widzisz pan – wołał doktor rozpromieniony, podkreślając wąsiki.

– Ja jestem człowiek realny i dlatego nie powiem nic, bo co tu brać w rachubę kobiety brzydkie? to jest taki brzydki towar, żeby go w komis nie wziął nawet Leon Cohn, a on wszystko bierze.

– Ja je biorę w rachubę i stawiam w pierwszym rzędzie. One mają prócz zwykłej, organicznej uczciwości, jeszcze etykę.

– Etykę, co to jest za towar? Kto w tym robi? – wołał, zanosząc się od śmiechu.

– Feluś, powiedziałaś witz na sto procent – krzyknął przez stół Leon Cohn, klaszcząc w dłonie.

Doktor nie odezwał się, pił gorącą kawę, którą mu Feluś nalał, podkreślał wąsiki, strzepywał klapy, wpychał mankiety i zwrócił się do sąsiada obok, który wciąż pił, milczał i co chwila przecierał czerwonym fularem okulary.

– Mecenas masz to samo zdanie o kobietach co i pan Feliks?

– Phi, to jest... uważ pan dobrodziej... jakby to wyłuszczyć... hm – machnął ręką, napił się piwa, zapalił ciągle gasnącego papierosa i przypatrywał się płonącej zapałce.

– Pytam się, co mecenas myślisz o kobietach? – szturmował doktor i nastawiać zaczynał twarz do nowej walki o cześć kobiet.

– Uważa pan dobrodziej, ja nic nie myślę, ja piję piwo – machnął pogardliwie ręką i umoczył całą twarz w kuflu świeżym,

jaki postawiła przed nim kelnerka.

Pił długo, a potem palcami wyciskał białą pianę z wąsów rzadkich, które mu niby rudawą strzechą wisiały nad ustami.

– Pan mi pokaż uczciwą kobietę, ja jej pošlę jedwab od Szmidt i Fitze, kapelusz od Madame Gustawe i mały papierek na który z banków z podpisem Groszlika, to panu później opowiem o niej ciekawe rzeczy – zaczął się znowu śmiać.

– Pan to gadaj na Bałutach, tam może panu uwierzą i będą cenili pańskie zdanie, ale my trochę pana znamy, panie Feliksie.

– Co to redaktor swoją szpulkę wstawia?

– Bo pan blagujesz, aż się krochmal sypie – odpowiedział ktoś za nazwanego redaktora, który zirytowany wyniósł się do bufetu.

– Kuzyn, nie śpij – krzyknął Bum.

– Zeit ist Geld! Czyje conto? – szepnął, stukając kuflem w stół i chciał go podnieść do ust, ale nie doniósł, ręka mu opadła, piwo z kuflem poleciało na ziemię, nie wiedział o tym, tylko się bokiem przekręcił w fotelu, serwetą przysłonił twarz i spał.

– Co osoba chce? Niech ładna osoba powie? – szeptał Leon Cohn, usiłując pocałować wydzierającą mu się kelnerkę.

– Niech mi pan da spokój, niech mnie pan puści – i szarpnęła się energicznie.

– Co osoba się rzuca, ja płacę, to ja się rzucę, ja jestem Cohn, Leon Cohn!

– Co mi tam pańskie nazwisko, niech mnie pan puści – zawołała gwałtownie.

– Niech osoba idzie do diabła! Szmelc! – rzucił pogardliwie

za odchodzącą i zaczął ściągać porozpinany surdut i kamizelkę.

– Moryc! Masz już dosyć pijaństwa, chodźmy do domu, jest ważny interes – szeptał Karol w najwyższym zniecierpliwieniu, bo Moryc pijany, z twarzą w dłoniach, siedział nieprzytomny i na wszystko, co słyszał, odpowiadał w kółko:

– Ja jestem Moryc Welt, Piotrkowska 75, pierwsze piętro. Idź pan do diabła!

– Panie Cohn, ja miałem do pana mały interes – szepnął Borowiecki.

– Ile pan potrzebuje?

Młasnął językiem, trzasnął w palce i już wyciągnął pugilares.

– Pan się prędko orientuje – uśmiechnął się Borowiecki.

– Ja jestem Leon Cohn! Ile?

– Jutro powie panu Moryc, ja chciałem się tylko zapewnić.

Dziękuję panu.

– Cała moja kasa, cały mój kredyt na pańskie rozporządzenie.

– Bardzo dziękuję. Termin nie dłuższy jak trzymiesięczny.

– Kto mówi o terminie? Pomiędzy przyjaciółmi taka bagatelka, co stoi?...

– Daj mi sodowej – mruknął Moryc.

Gdy mu przyniósł, pił wprost z syfonu.

– Schube, powiedz prawdę, ile cię kosztuje ta twoja Józia? – szeptano za Karolem.

– Drogi towar, jeśli chcesz kupić teraz.

– Poczekam do licytacji, poczekam. Ale powiedz, co cię to kosztuje, bo w Łodzi mówią, że z tysiąc rubli miesięcznie.

– Może tysiąc, może pięć, nie wiem.

– Nie płacisz?

– Płacę, grubo płacę – weksłami. Mieszkanie zapłaciłem weksłem, meble weksłem, modniarkę weksłem, wszystko weksłem. Skąd ja mogę wiedzieć, co mnie to razem kosztuje, będę wiedział dopiero, jak się położę, ile zechcą wziąć za sto. Teraz nic nie wiem.

– Wiesz, to jest genialne!

– Słyszysz pan, panie Cohn, co mówią za nami?

– Słyszę, słyszę. To jest grube łajdactwo, ale mądre, a, a, jakie mądre!

– Chcesz, żebym jechał do domu? – pytał Moryc.

– I to natychmiast, bardzo pilny interes.

– Nasz interes?

– Nasz, niesłuchanie ważna rzecz, niesłuchanie.

– Jak interes, to ja jestem prawie trzeźwy. Chodźmy.

Karol wyszedł, prowadząc pod ramię Moryca, który się chwiał na nogach i nie mógł utrzymać równowagi; a za nimi przez otwarte drzwi buchnął potok śpiewów i krzyków i rozlał się po cichym, ciemnym podwórzu i zginął w przestrzeniach, w nocy.

Świt się już rodził nad Łodzią, bo czarne kominy zaczęły majaczyć coraz jaśniejszymi barwami, dachy błyszcząły w świetle tych bladych zórz, co niby róż najdelikatniejszy, zmieszany z perłami, roztrząsały swą światłość nad ziemią.

Mróz pościął błoto, pokrył miejscami kałuże warstwą lodu, pobielił mostki nad rynsztokami i okrył bujną osędzieliną

drzewa.

Dzień zapowiadał się pogodny.

Moryc wdychał całą pierśią to chłodne, zimne powietrze i przychodził coraz bardziej do siebie.

– Wiesz, nie pamiętam nigdy, abym się tak upił. Nie mogę sobie darować, szumi mi w głowie, jak w samowarze.

– Zrobię ci herbaty z cytryną, wytrzeźwiejesz, przygotowuję⁷³ ci taką niespodziankę, że zechcesz się upić z radości po raz drugi.

– No, ciekaw jestem, co to może być.

I zaraz po przyjeździe, nie budząc już Mateusza, który spał, klęcząc przed kominem z głową na blasze, Karol nalał wody do samowara i zapalił pod nim gaz.

Moryc się trzeźwił bardzo radykalnie, bo zlał głowę zimną wodą, umył się i wypiwszy kilka szklanek herbaty, poczuł się zupełnie przytomnym.

– No, jestem już fertig. Do diabła, zimno mi obrzydliwie.

– Maks! – wołał tymczasem Karol, trzęsąc z całej siły Bauma, ale Maks nie odezwał się i obcisnął silniej surduta na głowę.

– Na nic wszystko, śpi jak zabity. Tak mi zresztą pilno, że nie będę czekał.

– Przeczytaj Moryc uważnie depezę, tylko nie oglądaj adresu – zastrzegł, podając telegram.

– Ba, kiedy nic nie rozumiem – cyfrowana!

– Prawda. Zaraz ci przeczytam.

⁷³ *przygotowuję* – dziś: przygotowuję. [przypis edytorski]

I czytał mu wolno, bardzo dobitnie, podkreślając cyfry i daty.

Moryc wytrzeźwiał zupełnie, na pierwsze słowa zerwał się on z krzesła i pochłaniał oczami, całym sobą, treść tego telegramu. Gdy Karol skończył i podniósł tryumfujący wzrok na niego, Moryc stał nieruchomy, zapatrzony w ten interes, po kilka razy wciskał binokle na nos, które mu zupełnie nie chciały się utrzymać, uśmiechał się tak słodko, jak do ukochanej, szarpał nerwowo swoją piękną brodę, wreszcie rzekł uroczyście:

– Wiesz Karol, my mamy już przyszłość, my mamy grube pieniądze. Ten telegram wart jest sto tysięcy rubli, no, pięćdziesiąt, co najmniej. My się możemy na tej uroczystości pocałować! Co to za interes, co to za interes! – I posuwał się do Borowieckiego, chcąc go istotnie w tym radosnym podnieceniu ucałować serdecznie.

– Daj spokój Moryc. Nam potrzeba teraz gotówki, nie pocałunków.

– Prawda, masz rację, trzeba teraz pieniędzy i pieniędzy.

– Czym więcej kupimy, tym więcej zarobimy.

– Co się to w Łodzi będzie dziać. Aj! aj! Jeśli o tym wie Szaja, albo Bucholc, jeśli zdąży wykupić, to wszyscy dopiero będą śpiewać. Skądżeś to wyrwał!

– Moryc to moja tajemnica, to moja nagroda. – Uśmiechnął się do siebie, bo przyszła mu na myśl Lucy.

– Twoja tajemnica, to twój kapitał. Mnie jednak dziwi jedno.

– Co takiego?

– Ja się tego, Karol, nie spodziewałem po tobie Mówię

zupełnie szczerze. Nie spodziewałem się, żebyś był zdolny mieć taki interes w rękę i chciał się dzielić, z nami.

– Toś mnie nie znał.

– Wiesz, że po tym fakcie jeszcze cię mniej znam.

I patrzył na niego tak, jakby podejrzywał jaką zasadzkę, bo nie mógł pojąć jak można chcieć się dobrowolnie dzielić zyskami.

– Jestem aryjczyk, a ty jesteś semita, w tym leży wytłumaczenie.

– Ja go nie widzę, nie rozumiem, co chcesz powiedzieć przez to.

– Tylko to, że ja chcę zrobić pieniądze, ale dla mnie świat się nie kończy na milionach nawet, a ty widzisz cały swój cel życia w zrobieniu pieniędzy. Kochasz pieniądze dla pieniędzy i zdobywasz je bezwzględnością, nie oglądając się na środki.

– Bo każdy jest dobry, który pomaga.

– To właśnie jest semicką filozofią.

– Z czymże ja się potrzebuję liczyć. Właśnie taka filozofia nie jest ani aryjska ani semicka, jest filozofia kupiecka.

– No mniejsza. Pomówimy o tym kiedy indziej obszerniej. Dlatego dzielę się z wami, że jesteście moimi współnikami i dawnymi przyjaciółmi. Zresztą, tak mi każe ambicja nawet, zrobić przysługę przyjaciołom.

– Droga ambicja.

– Liczysz?

– Bo wszystko się oblicza.

– Ileż liczysz naszą dawną zażyłość?

– Karol, ty się nie śmiejesz, ale ja ci powiem, iż twoją przyjaźń mógłbym obliczyć na ruble, bo ja przez nią, przez to, że razem mieszkamy, mam więcej kredytu o jakie dwadzieścia tysięcy rubli. Mówię ci szczerze.

Borowiecki śmiał się serdecznie, zadowolony głęboko ze słów Moryca.

– To, co ja robię, zrobiłbyś i ty, zrobiłby i Baum.

– Ja się boję, Karol, ja się bardzo boję, że Maks jest mądry człowiek, że on jest kupiec... Ale co ja, to zrobiłbym z całą przyjemnością.

Zaczął gładzić brodę i nasadzać binokle, żeby pokryć wyraz oczu i ust, które mówiły zupełnie co innego.

– Ty jesteś szlachcic, ty jesteś naprawdę von Borowiecki.

– Maks! Wstawaj, śpiochu! – krzyczał do ucha Baumowi.

– Nie budź mnie! – ryczał wściekły, wymachując nogami.

– Nie wierzgaj, tylko wstawaj, bo jest pilny interes.

– Karol, po co go budzisz – szepnął cicho Moryc.

– We trzech przecież musimy się naradzić...

– Dlaczego nie mamy zrobić tego interesu we dwóch?

– Bo zrobimy go we trzech – powiedział zimno Borowiecki.

– Czy ja mówię inaczej! Moglibyśmy tylko ułożyć bez niego, a jak wstanie, jak się wyśpi, to mu się powie! My w Łodzi stanowimy brylantową spółkę.

I biegał po pokoju coraz prędzej. Opowiadał o przyszłych zarobkach, rzucał cyfry, siadał na chwilę przy stole, brał w obie ręce szklanekę z herbatą i pił; był tak zdenerwowany, że binokle

wciąż mu wpadały do szklanki; kłął, wycierał je o poły surduta i znowu biegał, albo pochylał się nad stołem i na ceracie kreślił kolumny cyfr, które zmyzywał natychmiast poślinionym palcem.

Tymczasem Baum wstał, wysapał się, wyklął w kilku językach, wypił olbrzymią ilość herbaty, zjadł wszystkie resztki z kolacji, jakie jeszcze były na talerzach, zapalił krótką angielską fajeczkę i przyglądając swoją małą łysinę, jaką miał nad czołem, mruknął:

– Czego chcecie? Gadać prędko, bo mi się chce spać.

– Nie pójdziesz spać, jeno się dowiesz.

– Nie pyskuj.

Karol przeczytał mu telegram.

Moryc wyłożył plan, który był bardzo prosty: mieć pieniądze, dużo pieniędzy, jechać natychmiast do Hamburga, kupić, co się da, surowej bawełny i sprowadzić ją do Łodzi, zanim prawo o podwyższonym ciele i taryfie zacznie obowiązywać. A potem sprzedawać, ma się rozumieć, z jak największym zyskiem.

Baum myślał długo, zapisywał coś w notesie, fajkę wypalił, wytrząsnął popiół na spodek, przeciągnął swoje olbrzymie kości i rzekł:

– Zapiszcie mnie na dziesięć tysięcy rubli, więcej nie mogę. Dobranoc!

Podniósł się z krzesła, aby iść z powrotem spać.

– Zaczekajże! Musimy się przecież porozumieć. Wyśpisz się jeszcze.

– Niech was diabli wezmą z tymi porozumiewaniami się. Ach

te Polaki! W Rydze przez całe trzy lata mało co spałem, bo wszyscy się całe noce u mnie porozumiewali... i w Łodzi to samo.

Usiadł niechętnie i zaczął nabijać fajkę.

– Moryc, ile dajesz?

– Tak samo dziesięć tysięcy. Nie wydobędę na razie więcej.

– Więc i ja tak samo.

– Zyski i straty będą równe.

– Ale który z nas pojedzie? – zapytał Baum.

– Może jechać Moryc tylko, bo on się zna dobrze i to jego specjalność.

– Dobrze, pojedę. Co dacie gotówki zaraz?

– Ja mam piętnaście rubli, mogę dołożyć mój pierścień brylantowy, zastawisz go u ciotki, da ci więcej niż mnie – mówił ironicznie Maks.

– Mam wszystkiego przy sobie, zaraz... 400 rubli, mogę dać 300 zaraz.

– Kto twoje weksle będzie żyrował, Baum?

– Dam gotówkę.

– Ja jeśli na czas nie wyrwę gotówki, to dam weksle z dobrym żyrem.

Zaległa cisza. Maks położył głowę na stole i patrzył na Moryca, który szybko coś pisał i obliczał. Karol chodził wolno po pokoju i wąchał dla orzeźwienia jakieś perfumy w kosztownym flakoniku.

Dzień był już wielki i przez okna pozastłaniane gipiurami

zastłonami wlewał białe, ostre światło poranku i mącił blask lampy i świec płonących w wielkich brązowych kandelabrach.

Cisza ogromna, cisza Łodzi w niedzielę, rozlewała się po mieście i przenikała do wnętrza mieszkania. Jakiś daleki turkot dorożki huczał niby grzmot po stwardniałym błocie i w pustej, jakby wymarłej ulicy.

Karol otworzył lufcik, aby wpuścić trochę świeżego powietrza i wyjrzał na ulicę.

Szron pokrywał bruk i dachy i skrzył się jak brylanty w słońcu, co wstało gdzieś daleko za Łodzią, za fabrykami, których kominy, niby las gęsty i ponury, rozciągały się wprost okien i odcinały swoje potężne, surowe profile na tle złotobłękitnego nieba.

– A jak się ten interes nie uda – szepnęła, cofając się z okna.

– A no to stracimy, psiakrew, i nic więcej – mruknął Maks obojętnie.

– Możemy stracić trzy razy, bo kapitał, zarobek, a może i fabrykę.

– Nie może tak być – wykrzyknął Maks, bijąc ze złością w stół. – Fabrykę musimy mieć. Ja już z ojcem nie wytrzymam dłużej, a zresztą, czy mój fater długo pociągnie? Jeszcze rok, jeszcze dwa, a zjedzą go zięciowie, dogryzie go Zuker, on przecież zaczął już nas jeść, bo naśladuje nasze kapy na łóżka i nasze kołdry kolorowe i sprzedaje o 50% taniej; on nas żywcem zjada. A ja nie urodziłem się na parobka w cudzym interesie. Mam już trzydzieści lat, potrzebuję zacząć na siebie.

– I ja mówię, nie może być. Fabrykę, tak czy owak, mieć musimy. Ja także dłużej nie wytrzymam u Bucholca.

– Boicie się? – szepnął Moryc.

– To naturalna obawa, gdy się może stracić wszystko.

– Ty, Karol, nie możesz zginąć w żadnym razie; ty ze swoją uznaną specjalnością, ze swoim nazwiskiem, ze swoim von, ze swoją twarzą, zawsze możesz dostać milion, chociażby z Müllerówną w dodatku.

– Nie gadaj, mam narzeczoną, którą kocham.

– Co to przeszkadza, można mieć dwie naraz narzeczone i w obu się kochać, a ożenić z trzecią, która będzie miała pieniądze.

Karol się nie odezwał, bo mu się przypomniała panna Mada i jej naiwny szczebiot; chodził po pokoju, a Maks usiadł na stole, ćmił fajkę i bujał długimi nogami i nadstawiał twarz na pocałunek słońca, co się przedarło wskroś okien domu naprzeciwko i kładło długą złotą smugę, pełną drgającego pyłu na jego twarz rozespaną i na czarną głowę Moryca, siedzącego z drugiej strony stołu.

– Jeśli się boicie ryzyka, to ja wam dam radę, a raczej powiem, że istotnie to jest ryzyko. A jeżeli o tym interesie wie cała bawełna łódzka? Jeżeli ja ich w Hamburgu zastanę wszystkich? A jeżeli przez wielkie i gwałtowne zapotrzebowanie bawełna pójdzie w górę za bardzo. A w Łodzi nie będziemy mieli komu jej sprzedać, to co?

– Przerobimy ją w swojej fabryce i zarobimy jeszcze więcej

– szepnął Maks, nadstawiając pod działanie słońca ucho jedno i część głowy.

– Ale jest wyjście. Zarobicie również i bez ryzyka.

– W jaki sposób? – zapytał Karol, przystając.

– Odstąpcie mi cały ten interes. Ja wam dam po pięć, no po dziesięć tysięcy odstępnego, niech stracę i to gotówką, baresgeld⁷⁴, za parę godzin.

– Świnia – mruknął Maks.

– Daj pokój Maks, on to robi z przyjaźni.

– A właśnie, że z przyjaźni, bo jak ja stracę, wy i tak możecie mieć fabrykę, a gdy zarobicie, również wam to nie przeszkodzi.

– Nie traćmy czasu na próżne gadaniny, trzeba iść spać. Kupujemy razem na wspólne ryzyko, a ty Moryc jedziesz dzisiaj do Hamburga.

– Niech da pokrycie. Kupi za nasze pieniądze, a potem powie, że kupił dla siebie, jego stać na to!

– To nasza przyjaźń i moje słowo jest pies, co ty gadasz Maks – wykrzyknął oburzony.

– Twoje słowo złote, twoja przyjaźń to dobry weksel, ale ewikcję daj, to handel.

– Załatwimy to w ten sposób, że Moryc będzie kupować i wysyłać zaraz pospiesznymi frachtami, na nachname. My wykupimy.

– A gdzie moja pewność, że mnie nie wyeliminujecie ze spółki, co?

⁷⁴ baresgeld (z niem.) – gotówką. [przypis edytorski]

– Świnia – zawołał głęboko dotknięty Maks, uderzając pięścią w stół.

– Cicho Maks, on ma rację. Zrobimy zaraz piśmienną umowę, którą się później dla upoważnienia urzędowego przeciągnie przez regenta.

Napisali zaraz upunktowaną wielokrotnie umowę, rodzaj aktu spółki, zawierającej się pomiędzy nimi trzema, na prowadzenie handlu surową bawełną.

Było w niej wszystko przewidziane.

– No, teraz stoimy na gruncie realnym. Ile mi wyznaczacie za zajęcie się tym interesem?

– Teraz zwykłe komisowe za kupno, a później porozumiemy się.

– Zaliczcie mi z góry, co możecie. Ja wam rachunek dokładny przedstawię strat, jakie poniosę przez czas pobytu w Hamburgu, strat na agenturze swojej, której przez ten czas nie będę mógł prowadzić.

– Świnia – powiedział po raz trzeci Maks i wykręcił drugą stronę twarzy na słońce.

– Maks, tyś mi powiedział trzy razy świnia, ja ci tylko raz odpowiem: głupi! Ty pamiętaj, że my mamy prowadzić nie romans, nie małżeństwo, tylko interes. Sam okpiłbyś Pana Boga, żeby się tylko udało, a mnie mówisz świnia, kiedy ja chcę tylko tego, co mi się należy prawnie. No niech Karol powie.

– Idź do diabła, stergnij.

– No, zgoda, nie kłóćcie się ciągle. Jedziesz kurierem w nocy?

– Tak.

– Tylko moi drodzy, pamiętajcie, ani dziś, ani później nikt nie ma wiedzieć, skąd wzięliśmy tę wiadomość o bawełnie.

– Alboż my wiemy, co?

– Taka tajemnica w trzech nie jest już tajemnicą.

– Idźcie spać. Karol, tylko mnie już nie budź. Moryc, choć pocałuję cię na drogę, bo cię nie zobaczę przed wyjazdem, wstanę dopiero jutro. No, bądź zdrow, chłopie, a nie okpij nas – mówił żartobliwie, całując się z Morycem serdecznie, bo, pomimo ciągłych kłótni i wymyślań, lubili się bardzo ze sobą.

– Ciebie kto by oszukał! – mruzczał Moryc jakby z żalem.

– Ty jesteś dobry chłop, Moryc, ale czuć cię na milę szachrajem.

*

Było już po dwunastej, gdy Karol się obudził.

Słońce świeciło prosto w okna i zalewało blaskami cały pokój, umeblowany z najwyszukańszymi wykwintem.

Mateusz umyty, wystrojony po niedzielnemu, wsunął się na palcach.

– Jest co? – zapytał Karol, bo często w nocy Bucholc przysyłał różne rozporządzenia.

– Z fabryki nie ma nic, są tylko ludzie z Kurowa, z listem. Czekają od rana.

– Niech zaczekają, przynieś list, a im daj herbaty.

Wyrzeźwiałeś już?

– Jestem już na glanc, proszę pana dyrektora.

– Opatrzyłeś sobie już twarz, jak widzę.

Mateusz spuścił oczy i zaczął przestępywać⁷⁵ z nogi na nogę.

– Raz jeszcze się upijesz, to możesz więcej nie pokazywać się.

– Już tak nie będzie.

Uderzył się w piersi, aż się rozległo.

– Nie boli cię głowa?

– Nie, ale mnie krzywda moja boli. Poproszę bardzo pana, a pan mi, mój pan najdroższy pozwoli, a to już jak pies służyć będę za to.

– Na cóż mam ci pozwolić? – pytał ciekawie, ubierając się.

– Żebym ja mógł trochę porachować zebra tym Szwabom, co mnie tak uszlachciły.

– Takiś to mściwy?...

– Nie, nie mściwym, ale sponiewierania, ale swojej utoczonej krwi katolickiej – nie daruję.

– A rób co ci się podoba, byleby ci tylko lepiej jeszcze nie przefasonowali twarzy.

– Już ja im dam taki bejcz, co go im nikt nie spierze – szepnął mściwie i aż zaciął zęby od nagłej złości, jaka mu zalała serce.

Sine plamy i siniaki zrobiły mu się pąsowe od wzruszenia.

Karol ubrał się i poszedł budzić przyjaciół.

Nie było już nikogo.

– Mateusz, panowie dawno wyszli?

⁷⁵ *przestępywać* – dziś: *przestępować*. [przypis edytorski]

– Pan Baum wstał o dziewiątej, telefonował o konie do domu i jak przyszły, zaraz pojechał.

– No, no, cuda się dzieją.

– A pan Moryc wyszedł o jedenastej. Kazał mi walizkę podróżną naszykować i zanieść na kurier nocny.

– Zawołaj tych ludzi. Coś mi jest, ale co? – myślał, rozcierając sobie skronie, bo głowa mu ciążyła, czuł się niezdrów.

Wstrząsał nim jakiś dreszcz zdenerwowania. Nie chciało mu się siedzieć, a czuł wstręt do poruszenia się z miejsca.

Wypadki dzisiejszej nocy: teatr, łoże, Lucy, knajpa, telegram, Moryc i Baum: przewijały mu się przez mózg w poszarpanych mgławicach i przechodziły, pozostawiając po sobie nudę i znużenie.

Zapatrzył się na wysmukły, kryształowy wazonik, pokryty bardzo pięknym rysunkiem złotym; złote lilie francuskie na tle mocnej purpury kryształu, którym przeświecało słońce i kładło krwawo-pomarańczowy cień na jedwabne, kremowe okrycie stołu.

– Ładna kombinacja – myślał, ale nie chciało mu się dalej patrzeć.

– Niech będzie pochwalony.

Odwrócił się do wchodzących.

– A, to wy z Kurowa. Macie list od panienki?

Wyciągnął rękę i zauważył, że mu pożółkła.

– Jest pismo. Daj matka wielmożnemu panu – powiedział poważnie chłop w białej kapocie, wyszywanej na szwach

czarnymi tasiemkami, w portkach w poprzeczne czerwone, białe i zielone pasy, w kamizelce granatowej z mosiężnymi guziczkami, koszulę miał zawiązaną na czerwoną wstążeczkę; stanął przy drzwiach wyprostowany, baranicę zawiesił na własnych pięściach przyciśniętych do piersi i patrzył niebieskimi, surowymi oczami w Borowieckiego, od czasu do czasu odrzucając ruchem głowy grzywę płowych, niby konopie wymiędlone, włosów, co mu wciąż opadały na twarz starannie wygoloną.

Kobieta list wydobyła z dziesięciu co najmniej obwiązań i podejmując Karola za nogi, podała.

Przeleciał szybko oczami list i pytał:

– Wy się nazywacie Socha?

– Tak, rychtyk Socha, rzeknij no matka – szepnęła, szturchnąwszy łokciem żonę.

– Juści prawda, Socha on jest, a ja jego żona i przyśliwa prosić wielmożnego pana niziniera o robotę na fabryce, o... – zatrzymała się chwilę, spoglądając na męża.

– Juścić o robotę, rzeknij no matka od początku.

– Właśnie pisze mi tu ojciec i panienka o waszym nieszczęściu. Spaliliście się, co?

– Juścić, że spalili, opowiedzże, jak było, matka.

– A to było tak, wielmożny panie, powiem rzetelnie, jak na spowiedzi. Mieliśwa chałupę zaraz za dworem, pierwszą ode wsi. Grontu to mój kupił ino dwie morgi i prętów dwadzieścia i pięć, co nam starszy pan, niby ociec wielmożnego pana niziniera,

sprzedał, a za cośmy zapłacili całe trzysta złotych. Używiłby się z tego nie używił. Kartofle były swoje, krowę się uchowało, świniak zawsze galantny kwicał w chlewie, kuń był, bo stary mój jeździł na furmanki do miasteczka i woził różnych ludzi do kolei, albo i Żydów na ten przykład, za rubla, jak się dało. A mnie ta paninka ciągiem wołała do dworu na posługi, a to do prania, a to do robienia płótna, a to kiej się krowa ocielić miała. Święta panienka, a to naszego Walka to tak wyuczyła, co chłopak zna i drukowane i pisane, a na złotym untarzyku to cytać poredzi z kuźdej strony; mistranturę tyż zna galancie, bo do mszy świętej księdzu Szymonowi służy. A chłopak ma dopiro na dziesiąty rok – zatrzymała się, aby wytrzeć nos w fartuch i obetrzeć zażawione rozczuleniem oczy.

– Prawda, mój syn Walek ma na dziesiąty rok, mów matka dokumentnie – szepnął poważnie chłop.

– Juści na dziesiąty, albo od Zielnej, albo na samą Siewną.

– Mówcie prędzej, bo widzicie, ja nie mam czasu – prosił Borowiecki, który chociaż się nudził podczas tego bezładnego opowiadania i mało słyszał, siedział cierpliwie, bo wiedział, że chłopci lubią się przede wszystkim wygadać i wyżalić po ludzku, a robił to głównie dla tego, że pochodzili z Kurowa.

– Rzeknij matka co ostało, bo wielmożnemu panu spieszno.

– To z łaski Boski i z łaski panienki i bez to co stary miał kunia i zarabiał i bez to co się czasem przedało, a to kuraków, a to prosiaka jakiego, a to gąskę, a to czasem jaką kapkę mleka albo i półkwaterek masła i jajków, tośwa się miały niezgorzy.

Cała wieś nam zazdrościła, że to my pierwsze były przy dworze, że to nas panienska uważała, że to w izbie i obrazy święte były pikne, we złotych ramach, że to i odzienie zawżdy było jak się patrzy, żeśwa się to nie bijały, bo panienska ciągiem mówiła, że to grzych i obraza boska największa; że to mój u księdza Szymona często był i woził go do kolei, to bez to pomstowały na nas. A już najgorsza to była ta Pietrkowa, co to siedzi ino bez miedzę. Kłótnica taka, że ją i ksiądz Szymon już nieraz z ambony napominał. Nic nie pomogło, ciągiem tylko bij zabij na mnie. A taka niepoczciwa, co szczekała po całej wsi, że to ze dworu wynoszę kaszę, że mój kradnie siano z dworskich stogów. Widzieliście wy ludzie! Ażeby nam tak kulasy poupadały, jak jej ozór ten przekłety odleci za szczekanie, jeśliśwa co wzięły. Ale żeby to ino to!

– Cóż ona więcej zrobiła, mówcie – szepnął prawie z rozpaczą, bo kobieta gadała coraz szczegółowiej, ośmielona jego życzliwym wzrokiem.

– A to bez nią myśwa się spaliły. Bo było tak, że zawżdy, jak to po somszedzku się przytrafia, gąsiaki moje, już takie w knotach, co bym nijak nie mogła sprzedać po pięćdziesiąt kopiejek, przeszły na jej pole, ale nie było i pacierza, ino co dziopami chwyciły chila tyła trawkę, a ta suka zapowietrzona poszczuła je. Ażebyś Boga przy skonaniu nie oglądała, ażebyś! Zaraz mi zdechnęło pięcioro tych gąsków, bo je tak pies pogryz. Com się wyplakała, to jaże trudno wypowiedzieć. Stary przyjechał, ja mu mówię, a on mi rzekł: inszej rady nima na taką, ino sprać tak,

coby gnaty poczuła.

– Prawda, rzekłem tak, mów dalej matka.

– Sprąłem ją rzetelnie, zdarłem za te kudły, co ma kiej czarownica, utytłałem w gnojówce, skopałem kiej sukę. A to mi potem wieprzaka przetrąciła. Poszliśwa na sądy. Niech ta sprawiedliwość sędzi kto winowaty – wykrzyknęła, rozkrzyżowując ręce.

– A kiedyż was spaliła?

– Ja nie mówię, co ona, ino że bez nią, bo jakieśmy siedzieli w sądzie, przylata woźny i pedo: Chałupa się wam, Sochowa, pali! Jezus Maria, jakby mi kto łysty poprzetrącał, ruszyć się z miejsca nie mogłam.

– No, dosyć, rozumiem. A teraz chcecie znaleźć robotę w fabryce?

– Juści tak, wielmożny panie. Bośwa zeszyły na dziady, bo się spaliło wszystko i chałupa, i obora, i całki lewentarz, nic, ino teraz iść po proszonym.

Zaczęła płakać spazmatycznie, a chłop stał wciąż poważnie, zapatrzony w Borowieckiego, odgarniając jednakim ruchem głowy grzywę, co mu co chwila spadała na oczy i twarz.

– Znacie tu kogo w Łodzi?

– Są tutaj ludzie z naszych stron, jest Antek Michałów, jest, powiedz dokumentnie matka.

– Juści, że są, ino niewiada, kaj ich szukać.

– Przyjdźcie do mnie Socha we wtorek o pierwszej godzinie. Robotę wam znajdę. Mateusz – krzyknął na lokaja – poszukaj im

mieszkania i zaopiekuj się nimi. Mateusz krzywił się niechętnie i pogardliwie patrzył na nich.

– No, idźcie z Bogiem, a we wtorek przyjdźcie.

– Przyjdziwa, mów no matka.

Ale kobieta schyliła się do nóg Karolowi i obejmując je, prosiła:

– A tom po tej ostatniej kurze, co się nie spaliła, uzbierała mendel jajków, to niech to wielmożnemu panu będą na zdrowie, bo ze szczyrego serca dajem – i położyła mu u nóg węzełek.

– Prawda, niechta będą na zdrowie – i pochylił się także do nóg.

– No, dobrze, dziękuję wam, przyjdźcie we wtorek.

Zostawił ich i poszedł do drugiego pokoju.

– Co za kopalniani ludzie! przeżytki – mrucał, chodząc poruszony nieco, siadł i czytał list od narzeczonej.

Mój drogi panie Karolu!

Dziękuję serdecznie za list ostatni, sprawił on dziadkowi wielką przyjemność, a mnie wprost rozrzewnił i porwał. Jaki pan dobry! przez umyślnego aż przysyłać kwiaty.

Uśmiechnął się drwiąco, bo kwiaty owe dostał od kochanki, w takiej ilości, że nie wiedział, co z nimi zrobić, więc posłał je narzeczonej.

Jakie to śliczne te róże! chyba nie łódzkie! a może mój drogi pan sprowadzał umyślnie z Nizzy⁷⁶, jak to kiedyś? Toby mnie bardzo ciesząc, bardzo smuciło jednak, bo nie

⁷⁶ Nizza – Nicea. [przypis edytorski]

mam czym również pięknym się odwdziżyć. Wie pan, te kwiaty są dzisiaj jeszcze, po dwóch tygodniach, prawie niezmienione – to zadziwiające. Wprawdzie pielęgnuję je bardzo, bo nie ma listeczka, któremu bym nie powiedziała, dotykając każdego ustami: kocham. Ale... dziadek się ze mnie śmieje i powiedział, że napisze o tym do pana, więc ja się już sama przyznaję, a pan się o to przecież nie pogiewa, prawda?...

– Anka moja droga – szepnął porwany uczuciem i rozjaśnionymi oczami czytał dalej:

Z pieniędzmi już załatwione, są w Banku Handlowym do pańskiego rozporządzenia, bo kazałam je zapisać na pana nazwisko, na nasze nazwisko...

– Złota dziewczyna!

Kiedyż będzie ta fabryka? Ja tak niecierpliwie czekam, bo takam ciekawa zobaczyć ją i mojego drogiego pana, jako fabrykanta! A dziadek zrobił sobie nawet świstawkę i nią budzi nas i zwołuje na śniadania i obiady.

Wczoraj był u nas pan Adam Stawski, pamięta go pan? bo podobno byliście panowie razem w gimnazjum? Opowiadał bardzo ciekawe i wesołe szczegóły z waszego życia. Od niego dopiero dowiedziałam się, że mój kochany pan Karol, to był taki łobuz i takie miał powodzenie u kobiet jeszcze w gimnazjum. Ale dziadek przeczy temu stanowczo i mówi, że pan Adam łgarz zawołany. Komu pan każe wierzyć?

Pan Adam stracił wszystko, bo majątek sprzedało mu

Towarzystwo, ma wkrótce jechać do Łodzi, będzie i u pana.

– Jeszcze jeden niedołęga! – szepnął niechętnie.

Ma jakiś projekt wielkiego wynalazku i obiecuje sobie, że na nim w Łodzi zrobi majątek.

– Idiota! nie pierwszy i nie ostatni.

Trzeba mi kończyć, bo mi się tak oczy kleją i dziadek ciągle woła, żebym poszła spać. Dobranoc, mój królu złoty, dobranoc! Napiszę jutro obszerniej. Dobranoc.

Anka.

W przypisku było jeszcze gorące polecenie oddawców listu.

– Pieniądze są, to dobrze, to bardzo dobrze, dwadzieścia tysięcy rubli. Złota dziewczyna. Bez namysłu oddaje swój posag.

Przeczytał raz jeszcze list i schował go do biurka.

– Złota, dobra, poświęcająca się dziewczyna, ale... Dlaczego jest to ale! U diabła! – uderzył nogą w dywan i zaczął bezmyślnie przerzucać stosy papierów na stole.

– Tak, dobra, może najlepsza z tych, jakie znam, ale, ale, co ona mnie obchodzi?... Czy ja ją kocham? Czy ja ją kiedy kochałem? Postawmy kwestię szczerze – myślał, przypominając sobie dokładnie.

– Konie pana Bucholca po pana dyrektora – meldował Mateusz. Wsiadł do powozu i pojechał do Bucholca.

Bucholc mieszkał na samym końcu miasta, za fabrykami swoimi. W dużym parku, graniczącym jedną stroną z murami fabryk, które nad nim panowały, stał jednopiętrowy dom,

nazywany pałacem, zbudowany w tym łódzko-berlińskorenasansowym stylu, z wieżami baniastymi po rogach, z szeregiem facjat ozdobnych, z tarasem na dachu, obwiedzionym żelazną balustradą.

Grupa wielkich, smutnych brzoź bielita się w gazonie głównym przed podjazdem pałacowym. Ścieżki były wysypane miałem węglowym i bieły niby pasy czarnej croisy, wpośród poobwiązywanych słomą róż i drzewek południowych, co niby szyldwachy, wyciągniętą i załamującą się pod prostym kątem linią obiegały wielki czworoboczny trawnik, na którego rogach stały cztery posągi, okręcone na zimę w kawały barchanowych podkładek, zrudziałych na deszczach i mrozach.

W jednym końcu parku, pod czerwonymi murami fabryki, przez niskie krzewy i drzewa błyszcząły w słońcu okna oranżerii.

Park był smutny i niedbale utrzymywany.

Lokaj w czarnej liberii otworzył przed Borowieckim wielkie drzwi do przedpokoju, wyłożonego dywanem i obwieszonego fotografiami fabryk, grupami robotników i mapami majątków ziemskich, jakie posiadał Bucholc.

Czworo drzwi prowadziło w głąb domu, a wąskie żelazne schody na piętro.

Wielka, żelazna latarnia w stylu gotyckim, wisząca u sufitu, rozrzucała łagodne światło, co kolorowymi, jakby wypłowiałymi płamami mżyło na ciemnym dywanie i drzewem wyłożonych ścianach.

– Gdzie pan prezes?

– Na górze w swoim gabinecie.

Lokaj szedł naprzód i uchylał portier, otwierał drzwi, a Borowiecki szedł wolno przez wspaniałe pokoje, bardzo poważnie i ciężko umeblowane, zaciemnione prawie zupełnie storami opuszczonymi. Cisza go otaczała zupełnie, bo odgłos kroków tłumiły dywany. Uroczysta, zimna powaga panowała w mieszkaniu; meble stały w pokrowcach ciemnych, zwierciadła, wielkie żyrandole, kandelabry, obrazy nawet na ścianach pokryte były zasłonami i tonęły w zmroku, w którym tylko błyszcząły brązowe ozdoby majolikowych pieców i złocenia stiukowych sufitów.

– Herr von Borowiecki! – meldował poważnie lokaj w jednym z pokojów, gdzie pod oknem, w głębokim fotelu, z pończochą w rękę, siedziała Bucholcowa.

– Gut morgen Herr Borowiecki! – odezwała się pierwsza, wyjęła drut i wyciągnęła do niego rękę jakimś automatycznym ruchem.

– Gut morgen Madam – pocałował ją w rękę i poszedł dalej.

– Kundell! Kundell! – zakrzyczała za nim papuga, uczepiona nogami u parapetu. Bucholcowa pogłaskała ją, uśmiechnęła się przyjaźnie do bandy wróbli, co pod oknami na drzewach się biły, popatrzyła w świat pełen słońca i znowu robiła pończochę.

Bucholca znalazł Borowiecki w narożnym gabinecie.

Siedział przed wielkim piecem, z zielonych gdańskich kafli, cudownie ornamentowanych, w którym palił się ogień, grzebał w nim ustawicznie swoim nieodstępnym kijem.

– Dzień dobry! Kundel, krzesło dla pana – zawołał silnym głosem na lokaja, który stał przy drzwiach gotowy na najmniejsze skinienie.

Karol usiadł tuż obok niego, plecami do ściany.

Bucholc podniósł swoje jastrzębie, czerwone oczy i dosyć długo świdrował twarz jego.

– Chory jestem – szepnął, wskazując na nogi pookręcane w białą flanelę i leżące na taburecie, wprost ognia, niby dwa wały materiału surowego.

– Ciągłe to samo? reumatyzm?

– Tak, tak – szeptał i jakiś bolesny skurcz skrzywił mu szarozółtawą, okrągłą twarz.

– Szkoda, że pan prezes nie wyjechał na zimę do San Remo lub gdziekolwiek na południe.

– Co to pomoże, a ucieszyłbym tylko Szaję i tych wszystkich, coby chcieli, abym zdechł jak najprędzej. Kundel, popraw – krzyknął na lokaja, wskazując na nogę swoją, zsuwającą się z taburetu. – Ostrożnie! ostrożnie! – krzyknął.

– Myślę, że tych, coby chcieli pańskiej śmierci jest bardzo mało, a może i nie ma ich zupełnie w Łodzi, jestem nawet pewny, że ich nie ma.

– Co mi pan gadasz, wszyscy chcą, abym umarł, wszyscy – i dlatego właśnie na złość będę jeszcze żył długo, pan myślisz, że nie mam zazdrosnych, co?

– Kto by ich nie miał.

– Ile by dał Szaja za moją śmierć, jak pan myślisz?

– Przypuszczam tylko, że za ruinę pańską, gdyby ta była możebną, to dałby bardzo wiele, bardzo wiele, pomimo swojego skąpstwa.

– Pan myślisz? – szepnął i oczy mu strzeliły płomieniem nienawiści.

– Cała Łódź wie o tym.

– Jeszcze i wtedy kogo by oszukał, bo zapłaciłby fałszywymi pieniędzmi albo weksłami bez wartości. Kundel... – opuścił głowę na piersi, na stary watowany szlafrok z łatami na łokciach i zapatrzył się w ogień.

Borowiecki, zaprawiony już dobrze w tej serwilistycznej subordynacji wobec milionerów, nie śmiał nic mówić, czekał cierpliwie, aż on pierwszy zacznie.

Rozglądał się po ścianach wybitych bardzo ciemnym wiśniowym adamaszkiem jedwabnym, obwiedzionych szeroką złotą lamperią. Kilka ordynarnych oleodruków niemieckich wisiało na ścianach. Olbrzymie mahoniowe biurko stało w rogu pomiędzy dwoma oknami, przysłoniętymi ekranami z kolorowych szkieł. Linoleum, naśladowujące posadzkę, pokrywało podłogę gabinetu i było nader mocno powydeptywane.

– Słucham pana – mruknął szorstko.

– Mówiliśmy o Szai.

– Dajmy spokój temu. Kundel! Niech tutaj przyjdzie Hamer. Co to, za pięć minut mam brać pigułki, a tego błazna nie ma jeszcze. Pan znasz wczorajsze nowiny?

– Słyszałem, pan Knoll mówił mi w teatrze.

– Pan bywasz w teatrze?

Oczy mu zaświeciły urągliwą złośliwością.

– Nie rozumiem nawet pytania prezesa.

– Prawda, że pan Polak, prawda, że pan von – zaczął się krzywić jakby do śmiechu.

– Przecież i pan prezes bywa w teatrze.

– Ja jestem Bucholc, panie von Borowiecki. Ja mogę być wszędzie, gdzie mi się podoba – podniósł głowę i dumnie, miażdżąc patrzył.

– Winne są teatry, że zamiast być dla niektórych ludzi tylko, stoją otworem dla wszystkich, mających za co kupić sobie miejsce – szepnął Borowiecki i nie mógł powstrzymać złośliwego uśmiechu.

– Nie słucham pańskie gadanie – stuknął ze złością kijem w główne, że aż się iskry posypały na pokój.

– Daruje pan prezes, że go pożegnam – mówił Borowiecki, podnosząc się z krzesła, zirytowany ostatnimi słowami.

– Siedź pan, zaraz będzie obiad. Tu się nie ma o co obrażać, zresztą pan wiesz, jak pana cenię, pan jesteś wyjątkowym Polakiem. Knoll mówił panu o wszystkim?

– O bankructwach ostatnich.

– Tak, tak... Wyjechał za pilnym interesem i właśnie proszę pana o zastąpienie go na cały czas nieobecności. Morrys zastąpi pana w drukarni.

– Dobrze, a co do Morrysa, to bardzo zdolny człowiek.

– I głupi. Siadajże pan. Ja lubię Polaków, ale z wami wcale gadać nie można, zaraz się byle słówkiem obrazi i bądź zdrów. Langsam⁷⁷ panie Borowiecki, langsam, pan nie zapominaj, że jesteś moim człowiekiem.

– Pan prezes za często mi przypomina, abym o tym chociaż na chwilę zapomnieć mógł.

– Uważasz pan to za niepotrzebne? – pytał, patrząc na niego z uśmiechem dobrotliwym.

– Jak komu i jak gdzie.

– Ja bym panu dał konie, tylko niech pan nimi powozi bez bata i bez cugli.

– Porównanie, jako porównanie nie jest złe, tylko nie bardzo można je zastosować do nas wszystkich, pracujących u pana.

– Ja go nie stosuję do pana, ani do pańskich niektórych, uważasz pan, mówię, niektórych kolegów, tylko do tej czarnej, roboczej masy...

– I ta robocza masa to ludzie.

– Bydło, bydło – wykrzyknął, bijąc kijem w taburet z całych sił. – Pan się tak nie patrz na mnie, ja tak mówić mogę, bo ja ich wszystkich żywię.

– Tak, ale oni pracują dosyć dobrze na to żywienie, zarabiają.

– U mnie zarabiają, ja im daję zarobek, oni mnie powinni całować po nogach, bo jakbym im nie dał roboty, to co?

– Toby sobie znaleźli gdzie indziej – szepnął, bo złość nim miotać poczyniała.

⁷⁷ *langsam* (niem.) – powoli, pomału. [przypis edytorski]

– Zdechliby z głodu, panie Borowiecki, jak psy.

Borowiecki nic już się nie odzywał, był zirytowany tą pychą głupią Bucholca. który przecież pomiędzy łódzkimi fabrykantami był unikatem z wielkiego rozumu i wykształcenia, a tak prostej kwestii nie rozumiał.

– Panie prezesie, szedłem właśnie z pigułkami, kiedy przyszedł August.

– Cicho! Jeszcze całe dwie minuty. Zaczekaj! – rzucił ostro do swego nadwornego doktora, który się nieco zmieszał takim przyjęciem, ale stanął pokornie o kilka kroków przy drzwiach i czekał, biegając zalęknionym, niespokojnym wzrokiem po twarzy Bucholca, który wpatrzony w stary srebrny zegarek, nachmurzony siedział w milczeniu.

– Ty się, Hamer, pilnuj, ja ci płacę za to, dobrze płacę – rzekł po chwili, nie odrywając wzroku.

– Panie prezesie!

– Bucholc mówi, cicho! – rzekł z naciskiem i uderzył go oczami. – Ja jestem punktualny, jak mi raz powiedzieli, że brać pigułki co godzina, to biorę co godzina. – Pan musisz być bardzo zdrowym, panie Borowiecki, widać to po panu.

– Tak bardzo jestem zdrowy, że jakbym posiedział w fabryce, w drukarni, jeszcze dwa lata, to mam pewne suchoty. Już mnie doktorzy ostrzegali.

– Dwa lata! można jeszcze dużo wydrukować towaru przez dwa lata. Hamer dawaj!

Hamer z namaszczaniem odliczał piętnaście pigułek

homeopatycznych na wyciągniętą rękę Bucholca.

– Prędej! ty kosztujesz tyle, co dobra maszyna, a ruszasz się tak powoli – syknął i połknął pigułki.

Lokaj podał mu na srebrnej tacy szklanę z wodą do picia po lekarstwie.

– On mi każe połykać arszenik, to jakaś nowa metoda leczenia, zobaczmy, zobaczmy...

– Ja już widzę duże polepszenie w zdrowiu pana prezesa.

– Cicho, Hamer, nikt cię o to wcale nie pyta.

– Dawno pan prezes prowadzi tę arszenikową kurację? – zapytał Borowiecki.

– Trzeci miesiąc mnie już zatruwa. Możesz iść Hamer! – rzucił wyniośle.

Doktor ukłonił się i wyszedł.

– Łagodny człowiek z tego doktora, ma obwatowane nerwy! – zaśmiał się Borowiecki.

– Ja jemu je watuję pieniędzmi. Ja mu dobrze płacę.

– Telefon się pyta, czy jest pan Borowiecki? co mam powiedzieć? – meldował w drzwiach dyżurny, przyboczny urzędnik Bucholca.

– Pozwoli pan prezes?

Bucholc kiwnął niedbale głową.

Karol zeszedł na dół, do przybocznego kantoru Bucholca, gdzie był telefon.

– Borowiecki, kto woła? – pytał, przykładając ucho do muszli.

– Lucy. Kocham cię! – drgały mu roztrzęsione odległością

wyraży w uchu.

– Wariatka! – szepnął, uśmiechając się ironicznie na stronie.

– Dzień dobry.

– Przyjdź wieczorem o ósmej. Nikogo nie będzie. Przyjdź.

Czekam. Kocham cię! Słuchaj, całuję cię, do widzenia.

Istotnie, odczuł rozprysnięte mlaśnięcie, jakby odgłos pocałunku.

Telefon zamilkł.

– Wariatka! Będzie z nią ciężko, nie zadowolni się byle czym – myślał, powracając na górę i był więcej zniecierpliwionym niż uradowanym tym oryginalnym dowodem miłości.

Bucholc, wciśnięty w fotel, położył kij na kolanach i przerzucił jakąś grubą, przepelnioną cyframi broszurę, która tak go pochłoneła, że co chwila łapał spodnią wargą przycięte krótko wąsy, co się nazywało w języku fabrycznym: ssie nos, a co było oznaką głębokiego zaabsorbowania.

Stos cały listów i rozmaitych papierów leżał przy nim na niskim stoliku, cała świeżo nadeszła poczta dzisiejsza, którą zwykle sam odbierał.

– Pomoże mi pan rozsegregować listy, panie Borowiecki, zastąpi pan Knolla od razu, zresztą, chcę pana nieco zabawić.

Borowiecki spojrzał pytająco.

– Listami. Zobaczysz pan, jakie i o co listy pisują do mnie.

Odłożył za siebie broszurę.

– Kundel, dawaj!

Lokaj wszystkie papiery ze stolika zsywał mu na kolana.

Bucholc z szybkością nieporównaną przeglądał koperty i rzucał za siebie razem z objaśnieniem:

– Kantor!

Lokaj w powietrzu chwycił wielkie koperty, opatrzone firmami.

– Knoll! – Listy z adresem zięcia.

– Fabryka!

Na tych był adres firmy dla doręczenia pracującym w fabrykach.

– Centrala! – Faktury kolejowe, zapotrzebowania, rachunki, trasy.

– Drukarnia! – Cenniki farb, próbki kolorów na cienkich kartonach i malowane wzory deseni.

– Szpital! – Listy do szpitala fabrycznego i do doktorów.

– Merienhof! – Do zarządu majątków ziemskich, który był przy głównym zarządzie fabryki.

– Osobno!

Te były niezdecydowane i szły na biurko Bucholca, albo zabierał je Knoll.

– Uważaj, Kundlu! – krzyknął, uderzając kijem za siebie, bo usłyszał list, padający na ziemię i znowu rzucał i komenderował ostro i krótko.

Lokaj zaledwie zdążył chwycić i wrzucać w otwory szafki z odpowiednimi napisami, którymi wpadały przez rury na dół, do przybocznego kantoru, skąd je rozwożono natychmiast i roznoszono.

– A teraz będziemy się bawić! – szepnął, skończywszy rzucać, zostało mu na kolanach tylko z dziesięć listów różnych formatów i kolorów. – Bierz pan i czytaj!

Karol rozdarł kopertę pierwszego listu, równą, opatrzoną monogramem i wyjął list, pachnący fiołkami, pisany wykwintnym kobiecym charakterem.

– Czytaj pan, czytaj – szepnął, widząc, że Borowiecki przez dyskrecję się ociąga.

Jaśnie wielmożny panie prezesie!

Ośmielona rozgłosem i czcią, z jaką wszystko, co nieszczęśliwe, wymawia imię pana prezesa, udaję się do niego z błagalną prośbą o pomoc, udaję się tym śmielej, iż wiem, że czcigodny pan nie zostawi prośby mojej bez odpowiedzi, jak nigdy nie zostawia niedoli ludzkiej, łez sierocych, cierpień i nieszczęść bez wsparcia i opieki. Znane jest twoje dobre serce w całym kraju, znane!

Bóg wie, komu dawać miliony!

– Ha, ha, ha! – śmiał się cicho i tak serdecznie, iż mu oczy na wierzch wychodziły.

Nieszczęścia nas prześladowały, grady, pomór, susze, ogień i doprowadziły do ostatecznej ruiny i takiej, że dzisiaj mąż mój sparaliżowany dogorywa.

– Niech zdechnie! – rzucił twardo.

A ja z czworgiem dzieci umieram z głodu. Zrozumie pan prezes okropność mego położenia, okropność tego kroku, jaki robię ja, wychowana w innej sferze, jako kobieta

z towarzystwa, muszę się poniżyć i nie dla siebie, bo raczej umarłabym z głodu, ale to czworo niewinnych dzieciak!

– Daj pan spokój, to nudne. W końcu, czego ona chce?

– Pożyczki na założenie sklepu, w ilości tysiąca rubli – rzekł Karol, przeczytawszy spiesznie resztę listu pisanego wciąż w tym płaczliwie sztucznym stylu.

– W ogień! – zakomenderował krótko. – Czytaj pan dalej.

Teraz był list mozolnie wykaligrafowany jakiejś wdowy po urzędniku, która miała sześcioro dzieci i sto pięćdziesiąt rubli emerytury i prosiła o danie jej w komis sprzedaży resztek fabrycznych, aby mogła wychować dzieci na dobrych obywateli kraju.

– W ogień! Ja na tym dużo stracę, jak z nich będą złodzieje.

Potem następował list jakiegoś szlachcica, pisany nie bardzo ortograficznie, na papierze pachnącym śledziami i piwem, widocznie pisany w jakiejś restauracji małomiasteczkowej, w którym ten przypominał, że przed laty miał przyjemność znać Bucholca i jako mu wtedy sprzedawał parę koni.

– Ślepych!... Znam go, on pisuje co rok, jak się rata kwietniowa zbliża, nie czytaj go pan dalej, ja wiem co tam jest, prośba o pieniądze i zaklinanie, że szlachcic szlachcica bronić powinien! Głupiec! W ogień.

I tak dalej szły listy: od wdów z dziećmi, bez dzieci, z mężami chorymi lub matkami, od sierot, od okaleczonych w fabryce, od ludzi poszukujących posad, od techników, inżynierów, od rozmaitych wynalazców, którzy obiecywali zrobić przewrót

w przemyśle bawełnianym, a tymczasem żądali pożyczki na dokończenie studiów i modeli; był nawet jeden list miłosny, wyznanie jakiejś znanej dawniej, która nigdy zapomnieć nie mogła w obecnej niedoli szczęścia dawnego.

– W ogień! W ogień! – zakrzyczał, trzęsąc się ze śmiechu i nie chciał słuchać szumnych, patetycznych tyrad, zaklęć, błagań, zakończonych prośbą o pożyczkę.

– Uważasz pan, jak ludzie mnie cenią! jak kochają moje ruble! Były listy i wymyślające najohydniej. Karol się powstrzymał, nie wiedząc, czy czytać.

– Czytaj pan, wymyślają mi, ja to lubię, to przynajmniej szczerze, a często zabawniejsze niż tamte.

Karol czytał list, zaczynający się od słów: „Herszcie złodziejów łódzkich” – przechodził całą skalę klątw i wymyślań, z których najłagodniejsze brzmiały: „Świnio niemiecka, łotrze, zbrodniarzu, pijawko, psie podły, kartoflarzu” – a kończył się takim frazesem: „Jeśli cię pomsta boska minie, to cię kara ludzka nie minie, ty podły psie i dręczycielu”. List był bez podpisu.

– On ma humor. Ha, ha, ha, wesołe bydłę.

– Wie pan prezes, że ja już mam dosyć, już mi obrzydło.

– Czytaj pan, napij się pan szaflikiem całym tych zgrzeź ludzkich, to dobrze robi na otrzeźwienie. To należy do psychologii Łodzi i waszego niedołęstwa.

– Nie wszystkie listy są od Polaków, są i po niemiecku, nawet większa część jest w tym języku.

– To właśnie dowodzi, że są wszystkie od Polaków. Wy macie

zdolność do języków i do żebrania, wy to dobrze robicie – mówił z naciskiem.

Karol popatrzył na niego oczami, w których zaczęły błyskać zielone skry gniewu i nienawiści, ale czytał dalej jakąś denuncjację na głównego magazyniera, że kradnie towary.

– Daj pan, o tym trzeba się przekonać.

Schował list do kieszeni.

Były jeszcze skargi na majstrów, były pogrożki odprawionych z roboty, były i takie denuncjacje, że któryś powiedział na Bucholca: „Świnia z wypalonymi oczami”, „Stary złodziej”, pisane ołówkiem na kawałkach papieru opakunkowego.

– Daj pan ten list, to ważny, drogi dokument, co o mnie mówią moi ludzie – i uśmiechał się pogardliwie.

– Pan myślisz, że ja codziennie czytam takie listy? Ha, ha, ha. August nimi podpala w piecu, cała korzyść z tego naciągania.

– A swoją drogą pan prezes rocznie daje kilka tysięcy rubli na różne cele publiczne.

– Daję, daję, bo mi je z gardła wydzierają, bo muszę dla świętego spokoju rzucić jaką kość dla hołoty.

– Dawniejsza zasada: szlachectwo obowiązuje, zmieniła się dzisiaj na: miliony obowiązuja.

– Głupia, nihilistyczna zasada. Co mnie obchodzi, że zdychają z głodu, niech zdychają. Zawsze jakaś część ludzi musi nic nie mieć. Mnie nikt nie dał ani grosza, wszystko musiałem sobie wyrwać, wyrobić, więc dla czego ja mam dawać drugim, za co? Niech mi kto udowodni, że powinienem. Komu ja mam dawać?

Panom, którzy przebulali majątki, niech ich diabeł weźmie. Tu u was wszyscy chcą brać, a nikt robić nie chce. Mógł który z was tak, jak ja, przyjść do Łodzi, zabrać się do roboty, zrobiłby tak samo, jak ja, majątek. A dlaczego tak nie było? bo wyście w tym czasie robili u nas rewolucję... Ho! ho! Donkiszoci! – splunął z pogardą na własne nogi i śmiał się długo, rozbawiony niesłuchanie.

Karol chodził po pokoju, nie chcąc nic mówić i chociaż zaczynało się w nim wszystko trząść z gniewu, milczał i udawał obojętnego, wiedział, że Bucholca nie przekona, a nie chciał mu się narażać.

Bucholc zauważył to pewne udręczenie, jakie sprawiał Borowieckiemu i dlatego właśnie gadał coraz boleśniejsze dla niego rzeczy, torturował go z rozmysłem; lubił, sprawiało mu to niezwykłą przyjemność, jeśli mógł męczyć kogoś i pluć w ludzkie dusze.

Leżał nieomal w fotelu, z nogami, które się prawie przypiekały przy ogniu, ustawicznie podsycanym, a w którym co chwila grzebał kijem: z twarzą szaro-żółtą, niby trupa rozkładającego się, w której świeciły krwawo oczy złością i urąganiem. Okrągła czaszka, pokryta resztkami siwych włosów, odrzynała się jaśniej od ciemnego tła fotelu.

Nie zamykał prawie ust, tylko z coraz większą pasją pluł na wszystko i kopał wszystko. Wyglądał niby bożek pookręcany w łachmany i szmaty, który w głębi swej świątyni złotej leży na milionach i nimi potężny, urąga wszystkiemu, drwi ze

słabości, szydzi z uczuć i samo człowieczeństwo, nie podniesione milionami, ma w pogardzie.

Przerwał mu wreszcie lokaj, meldujący obiad.

Dwóch ludzi wzięło z nim fotel i niosło do jadalni, położonej na drugim końcu domu.

– Pan umiesz słuchać, pan jesteś mądry człowiek! – szepnął do Karola, idącego tuż obok.

– To było wszystko bardzo ciekawe, co pan mówił, zajmowało mnie to bardzo, jako materiały do patologii milionerów – rzekł poważnie, patrząc mu się w oczy.

– Panie!... Nie przechylaj! – ryknął na lokaja, niosącego z lewej strony, uderzając go kijem w głowę. – Panie Borowiecki, ja pana szanuję bardzo, daj pan rękę. My się rozumiemy, my możemy dobrze żyć ze sobą, licz pan zawsze na mnie.

W jadalni była już Bucholcowa i gdy męża ustawili przy stole, pocałowała go w głowę, podając w zamian swoją rękę do ucałowania, usiadła naprzeciwko.

Doktor był także, przystąpił pierwszy do Borowieckiego i przedstawił się.

– Hamerstein, dr Juliusz Gustaw Hamerstein powtórzył z naciskiem, gładząc wielką konopiastą brodę, spływającą mu aż do pól piersi.

– Doktor homeopatii i wegetarianizmu. Kundel, kosztuje mnie cztery tysiące rubli rocznie, wypala moje drogie cygara i obiecuje, że albo mnie wyleczy, albo umrę...

Doktor chciał coś oponować, ale stara bardzo cichutkim

głosikiem zapraszała do obiadu, który zaraz lokaje zaczęli roznosić.

Rozmowa toczyła się po niemiecku.

– Pan nie wegetarianin? – pytał Hamerstein, wyciągając brodę spod serwety, w jaką był obwiązany.

– Nie, panie. Jestem zupełnym panem wszystkich swoich władz – odparł dość cierpko, bo mu się niesmaczną wydała ta figura, jakby rozlana, z wielkim brzuchem, z wielką twarzą, z olbrzymią łysą czaszką, świecąca jak rondel świeżo wyczyszczony.

Hamerstein poruszył się niecierpliwie, rzucił pogardliwe spojrzenie spod wypukłych, niebieskich okularów i rzekł sucho.

– Każda prawda bywa zawsze z początku wyśmiewana.

– Pan ma dużo zwolenników w Łodzi?

– Siebie i moje psy, chore na parchy, bo im weterynarz nie kazał dawać mięsa – drwił Bucholc, który siedział przy stole, ale nie jadł nic, prócz kaszy owsianej z mlekiem.

– Co Łódź, co cała Polska, barbarzyństwo!

– Dlatego pan przyjechał. Dobre pole do apostołstwa.

– Ja napisałem książkę o wegetarianizmie pod tytułem: *Naturalne pożywienie*, mogę ją panu przysłać.

– Dziękuję, przeczytam z ciekawością, ale wątpię, czy pan zyska we mnie adepta.

– Pan prezes to samo mówił z początku, a teraz...

– A teraz jesteś głupi, mój Hamer, bo tego nie rozumiesz, że jak się jest chorym, a cała głupia medycyna nie

pomaga, to człowiek gotów jeździć do owczarzy, do księdza Kneippa, wreszcie nawet do twojej elektryczno-homeopatyczno-vegetariańsko-arszenikowej metody.

– Bo ona jedynie pomaga, bo zasada homeopatii: *similia similibus curantur*, jest zasadą, naturze ludzkiej najbardziej odpowiednią, jest jedynie prawdziwa. Pan prezes stwierdza ją na sobie najlepiej.

– Dotychczas tak, ale jak się zmieni na gorsze, to możesz być doktor pewnym, że cię obiję kijem i każę razem z całą twoją błagą zrzucić ze schodów.

– Kto daje nowe prawdy, bierze w nagrodę męczeństwo – szepnął sentencjonalnie, dmuchając w mleko.

– Daj spokój z męczeństwem, ty bierzesz w nagrodę cztery tysiące rubli i twarz ci się świeci sadłem jak latarnia.

Doktor podniósł w górę okulary, jakby powoływał sufit na świadka, ile cierpi, i jadł dalej kaszę z mlekiem.

Półmisek sałaty z oliwą i drugi z kartoflami stał przed nim.
Umilkli.

Lokaje, niby cienie, przemykali się bez szelestu, śledząc, co mógł kto potrzebować. Jeden stał za Bucholcem i podawał natychmiast to, na czym wzrok jego zatrzymywał się.

– Kundel! – mruczał czasami Bucholc, gdy się opóźnił lub źle podał.

Bucholcowa z drugiej strony stołu siedziała, nie biorąc zupełnie udziału w rozmowie.

Jadła bardzo wolno, żując przednimi zębami, uśmiechała

się niby maska woskowa bladymi ustami, spoglądała martwym wzrokiem na Borowieckiego, poprawiała chwilami koronkowy czepeczek, który stroił jej siwe włosy, gładko przyczesane nad czołem żółtym i suchym, o pozapadanych skroniach, głąskała papugę, wiszącą na poręczu krzesła niby pęk barw najjaskrawszych, małą, pomarszczoną, żółtą ręką.

Gdy jej było czego potrzeba, kiwała na lokaja i mówiła mu szeptem prawie niedosłyszalnym, albo pokazywała palcem. Siedziała niby mumia, żyjąca tylko w pozostałych, automatycznych, najdłużej trwających ruchach.

Obiad był najzwyczajniejszy, na sposób niemiecki. Mało mięsa, a wiele jarzyn.

Zastawa bardzo zwykła: platery dobrze już zużyte, porcelana powyszczerbiana, malowana w gołąbki na brzegach talerzy.

Dla Borowieckiego tylko podano koniak i kilka gatunków win, które mu sam Bucholc nalewał, zachęcając:

– Pij pan, panie Borowiecki, to jest dobre wino.

Koniec obiadu szedł milcząco i nudnie.

Cisza panowała przytłaczająca, czasem tylko papuga, nic nie mogąc ściągnąć ze stołu, krzyczała: „Kundel”! Ale to samo rzucał szeptem Bucholc pod adresem lokaja. A każde słowo czy dźwięk rozlegało się echem, prawie huczało w tej wielkiej jadalni, w której mogło się pomieścić dwieście osób, obstawionej ciemnymi, dębowymi kredensami, rzeźbionymi w stylu staroniemieckim i zydlami w tymże samym stylu.

Wielkie okno weneckie, wychodzące na mury fabryk, dawało

niewiele światła, rozświetlało tylko ten koniec stołu, przy którym siedzieli, reszta tonęła w jakimś rdzawym zmroku, z którego wynurzali się co chwila, jak czarne cienie, lokaje.

Słońce przedarło się z boku okna i rozlało smugę czerwonego, przedzachodniego słońca na pół stołu.

– Zastoń! – krzyknął Bucholc, bo nie lubił słonecznego światła i patrzył z lubością w żyrandol, który rozbłysnął elektrycznością.

Obiad się wreszcie skończył na pociechę Karola, któremu się już spać zachciało w tej ciszy i nudzie.

Stara tak samo pocałowała męża w głowę, nadstawiając w zamian rękę i wyciągnęła ją następnie automatycznym ruchem do Borowieckiego, który już nie siedział długo, zamienił kilka słów po cichu z doktorem, bo Bucholc drzemał w fotelu i nie żegnając się z nim, wyszedł.

Jadalnia zupełnie opustoszała, został tylko śpiący Bucholc w fotelu i lokaj, stojący o parę kroków, nieruchomy, wpatrzony, gotowy na każde skinienie.

Borowiecki, wydostawszy się na ulicę, na świeże powietrze i na jasny, słoneczny dzień, odetchnął z uczuciem ulgi ogromnej.

Odesłał konie Bucholca, czekające na niego i poszedł pieszo, minął park i obok fabryk skręcił z Piotrkowskiej w małą, niebrukowaną uliczkę, biegnącą w pola i z jednej strony obstawioną długimi, posępными koszarami dla robotników.

Smutnie tam było i brzydko.

Wielkie, dwupiętrowe szopy kamienne bez najmniejszych ozdób, nagie, czerwieniące się boleśnie nędzną cegłą ścian

wykruszanych przez wiatry, przeglądały się w ulicy, pełnej cuchnącego błota; setki małych poprzeplatanych okienek z rzadka bielejących się firankami lub ozdobionych doniczkami kwiatów, patrzyło w potężne korpusy fabryki, rozkładającej się po drugiej stronie drogi, za wysokim parkanem i szeregiem olbrzymich topoli z uschniętymi czubkami, co stały niby szkielety groźne, rozgraniczając te smutne katakumby ludzkie, do jakich miały podobieństwo domy robotnicze, od fabryk, które w ciszy niedzielnego odpoczynku, oniemiały, milczące, a potężne ogromem, wygrzewały w wiosennym słońcu swoje potworne cielska i błyskały ponuro tysiącami okien.

Borowiecki przesuwał się pod domami, po wąskich kładkach i kamieniach, miejscami zupełnie zalanyymi przez błoto, które niby wodą falowało i rozpryskiwało się aż na parterowe okna i na drzwi, prowadzące do sień i kurytarzów⁷⁸, w których huczały krzyki dzieci.

Za domami wszedł do długiego ogródka, graniczącego przez drogę z polami rozległymi, na których w oddaleniu czerwieniły się mury fabryk i porozrzucane samotnie domy. Wiatr stamtąd zawiewał zimny i wilgotny i szeleścił liśćmi żywopłotów grabowych, co uschnięte, żółte, trzęsły się za każdym powiewem i opadały na czarne, rozmiękłe uliczki ogródka.

W ogrodzie stał wysoki, jednopiętrowy dom, w którym mieszkał jego pomocnik Murray, było w tym domu i jego mieszkanie, jakie mu fabryka wyznaczyła, całe piętro lub parter

⁷⁸ *kurytarzów* – dziś popr.: korytarzy. [przypis edytorski]

do wyboru, ale Borowiecki miał nieprzezwyciężony wstręt do tego mieszkania smutnego.

Z jednej strony okien widać było podwórza domów robotniczych; od frontu szedł ogródek i widok na fabrykę, a z lewej szła tak samo, jak od frontu, ostatnia zamiejska ulica, niebrukowana, otoczona rowami o kilkułokciowej głębokości, nad którymi rosły stare, umierające drzewa, chylące się coraz bardziej, podmywane ściekami, spływającymi z sąsiednich fabryk, a za nimi oczy leciały po wielkim kawale ziemi, pełnej dołów, kałuż, gnijącej wody, zafarbowanej odpływami z blichów i apretur, stosów rumowisk i śmieci, jakie tutaj wywożono z miasta, rozwalonych pieców cegielnianych, grup drzew poschniętych, śladów zagonów, kup gliny pozostawionej od jesieni, domków skleconych z desek i małych fabryczek pod samym lasem szajblerowskim, co swoją zdrową czerwonością i martwymi, twardymi konturami, raziły wprost oczy.

Nie cierpiał tego łódzkiego krajobrazu, wolał mieszkać w wynajętym mieszkaniu i niezbyt wygodnym, ale mieszkał w mieście i z przyjaciółmi, z którymi łączyła go nie tyle przyjaźń, co dawna zażyłość i przyzwyczajenie wieloletnie. Razem mieszkali przez cały czas studiów w Rydze, razem jeździli za granicę i razem przed kilku laty znaleźli się w Łodzi.

Borowiecki był chemikiem-kolorystą, Baum tkaczem i przedzalnikiem, a Welt skończył kursa handlowe.

W Łodzi mieli swoje nazwy złośliwe: Welt i dwa duże B., albo: Baum i Ska, czyli trzech braci łódzkich.

Murray wybiegł aż do ogródka na spotkanie i już z daleka wycierał ręce, które mu się wciąż pocily, wielką jak prześcieradło, żółtą chustką.

– Myślałem, że pan już wcale nie przyjdzie.

– Przecież obiecałem.

– Jest u mnie jeden młody Warszawiak, który niedawno przyjechał do Łodzi.

– Któż taki? – pytał obojętnie, zdejmując palto w przedpokoju obwieszonym aż po sufit sztychami przeważnie nagich kobiet.

– Handlowiec, zakłada jakąś agenturę.

– U diabła, na dziesięciu spotkanych na ulicy, sześciu jest świeżo przybyłych i zakładających agentury, a dziewięciu chcących zrobić miliony.

– To też się w Łodzi robi gęsto.

– Ba, żeby ci nowi byli *kolor*, ale to *bejc* najpodlejszy.

Kozłowski, ów Warszawiak, podniósł się niedbale z kanapki na przywitanie i opadł z powrotem ciężko, pił ustawicznie herbatę, którą mu z samowara nalewał Murray.

Rozmowa zawiązała się żywo, bo Murray był rano w mieście i opowiadał o skutkach bankructw.

– Ze dwadzieścia firm diabli wezmą zaraz, a z ilu takie plajty wypuszczą krew, to się pokaże. W każdym razie Wolkman się chwieje. Grosman, zięć Grünspana oblicza się; Fryszman, mówią, że on tylko czekał takiej okazji i zaraz dzisiaj z wielkim pośpiechem *położył się*, bał się, żeby mu czasem nie przeszkodzili, potrzebuje zarobić, ma wypłacać posag zięciowi.

Mówią, że i Trawiński latał dzisiaj po bankierach, coś z nim źle, pan go zna, panie Borowiecki.

– Nasz kolega z Rygi.

– Widzę, że tutaj cała Sodomia i Gomora – wykrzyknął Kozłowski, mieszając herbatę.

– A cóż w Warszawie słyhać, wciąż *Mikado*⁷⁹? – zapytał Karol drwiąco.

– Mówi pan o dawnej przeszłości, o bardzo dawnej.

– Nie jestem *au courant* spraw warszawskich, przyznaję się szczerze.

– Widzę to, otóż u nas panuje teraz *Ptasznik z Tyrolu*⁸⁰, wspaniała heca.

Jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz ptaszku mój.

Zaczął nucić bezwiednie i z lubością.

– Powiadam panu, że Czosnowska jest boska po prostu.

– Cóż to za dama?

– Pan nie wie? Naprawdę pan nie wie? ha, ha, ha, – zaczął się śmiać na całe gardło.

– Panie Robercie, pokażcie mi to nowe urządzenie – prosił

⁷⁹ *Mikado* – tytuł opery komicznej (również: *Mikado albo miasto Titipu*) sławnego wówczas duetu autorskiego Sullivan-Gilbert, która miała premierę w 1885 r. w Londynie i jeszcze w tym samym roku grano ją w 150 teatrach Europy i Ameryki; akcja osadzona jest niby w Japonii, w rzeczywistości stanowi satyrę na politykę i instytucje państwa brytyjskiego. [przypis edytorski]

⁸⁰ *Ptasznik z Tyrolu* – tytuł operetki Karla Zellera z 1891 roku. [przypis edytorski]

Karol.

I wyszli zaraz na drugą stronę domu.

– Ale to cały magazyn pięknych mebli! – wykrzyknął zdziwiony.

– Co, ładne, prawda? – szeptał z dumą i zadowoleniem i jego wybladłe oczy promieniowały, szerokie usta śmiały mu się, gdy pokazywał całe urządzenie domu.

Był salonik maleńki, elegancki, zapchany meblami o żółtych obiciach, stojących na bladofioletowym dywanie, obwieszony portierami także żółtymi.

– To jest ładna kombinacja! – zawołał Karol, z przyjemnością patrząc na harmonię, w jaką zlewały się barwy.

– Co, ładne, prawda? – wołał uszczęśliwiony, wycierając wciąż ręce, żeby dotknąć jedwabnych sznelowych firanek. Garb mu drgał i unosił co chwila surdut na plecach, który obciągał ustawicznie.

– To będzie jej pokój, jej buduar – szepnął cicho, z namaszczeniem wprowadzając do maleńkiego pokoiku, zastawionego miniaturowymi sprzętami i masami cacek porcelanowych.

Pod oknem wielka żardinierka złożona dźwigała cały bukiet kwitnących różnokolorowych hiacyntów.

– Ależ pan o niczym, jak widzę, nie zapomniawsz.

– Jak myślę o tym przecie – rzekł mocno, wytarł ręce, obciągnął surdut i kościsty długi nos wsadził w kwiaty, głęboko oddychając ich zapachem.

Pokazał mu jeszcze sypialnię i mały pokój od tyłu. Wszystkie były również elegancko i z komfortem umeblowane, wszędzie znać było rękę człowieka znawcy i kochającego bardzo przyszłą swoją żonę.

Wrócili do saloniku, Karol usiadł i patrzył z uczuciem podziwu na niego.

– Znać, że pan kochasz głęboko – szepnął.

– Kocham, Kocham bardzo! Żebyś pan wiedział, jak wciąż myślę o niej.

– A ona?

– Cicho!... nie mówmy o tym – przerwał prędko, zmieszany jego zapytaniem.

Zaczął strzepywać z krzesła jakiś pył nieistniejący, aby pokryć wzruszenie.

Karol zamilkł, palił papierosa i czuł, że go obejmuje senność; usadowił się wygodniej w fotelu, palił, przymykał oczy lub patrzył przez okno w sine niebo, na którym w dali rysowały się czarne sylwetki kominów fabrycznych.

Cisza ich ogarnęła senna.

Murray wycierał ręce, obciągał surdut, gładził całą dłonią swoje potężne, czysto wygolone szczęki i zapatrzył się w dywan, w te blade kwiatki margerytek, jakie zajmowały środkowe pole.

Jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz ptaszku mój.

Drgał przyduszonymi dźwiękami śpiew Kozłowskiego i cichy głos fortepianu przeciskał się do saloniku i niby słodką rosą

dźwięków opadał na ich głowy.

Borowiecki walczył ze snem, pociągał papierosa, ale ręka mu ciężyła i opadała na poręcz fotelu.

Murray się rozmarzał przyszłym szczęściem, żył tą nadzieją ożenienia się.

Jego miękka, prawie kobieca dusza, rozpływała się w tysiącnych drobiazgach, którymi napełnił mieszkanie i z góry cieszył się wrażeniem, jakie to musi zrobić na żonie.

Chciał mówić, ale spostrzegł, że Borowiecki śpi w najlepsze, zrobiło mu się trochę przykro, więc nie budząc go, przysłonił okno storą, wyjął mu z ręki palącego się papierosa i wyszedł na palcach.

Kozłowski wciąż śpiewał i brzdąkał na fortepianie.

– Może pan zaśpiewa jakąś miłosną, tylko bardzo taką, no, gorącą piosnkę! Ja panu tymczasem naleję herbaty – prosił Anglik Murray.

– Z jakiej operetki?

– Ja nie wiem z jakiej. Ja tylko bardzo lubię śpiewy miłosne.

Kozłowski bardzo chętnie zaczął mu wyśpiewywać rozmaite popularne w Warszawie piosnki.

– Widzi pan, to nie to, ja nie umiem nazwać, bo za mało znam wasz język, ale chciałbym coś słodkiego i ładnego, te, co pan śpiewał, są ordynarne bardzo.

– Proszę pana, ja je we wszystkich warszawskich salonach śpiewałem.

– Ja panu wierzę, źle powiedziałem, bo one są ładne, tylko

zaśpiewaj pan jeszcze.

Kozłowski zaczął nucić półgłosem ze swego niewyczerpanego repertuaru piosnki Tosti'ego; śpiewał niestrudzenie i wszystkie, jakie umiał; jego tenorowy, mały, ale metaliczny głosik, umyślnie przytłumiony, dźwięczał prześlicznie.

Murray zasłuchał się cały, zapomniał nalewać herbaty, nie wycierał rąk, nie obciągał surduta, tylko całą duszą pił tę słodką, miętną, palącą, to znowu melancholijną muzykę, słuchał całą istotą, aż mu oczy pływały we łzach zachwytu, a małpia długa twarz drgała ze wzruszenia.

VI

Moryc Welt wyszedł koło jedenastej z domu, jak mówił Mateusz Borowieckiemu i włókł się raczej niż szedł trotuarem wystawionym na słońce, zatopiony w jakiejś kombinacji finansowej, bo nie widział znajomych, jacy mu się kłaniali. Patrzył na ludzi i na miasto tęnym wzrokiem zamyślenia.

– Jak to urządzić? Jak to urządzić? – myślał w kółko.

Słońce świeciło jaskrawo nad Łodzią, nad tysiącami kominów, co stały w ciszy niedzielnego odpoczynku i w czystym, przejrzystym powietrzu, nie zaciemnionym dymami, rdzawiły się niby potężne pnie sosen, opłynięte błękitnawym, wiosennym powietrzem.

Masy robotników, poubieranych świątecznie w letnie jasne ubrania, w krzyczące kolorowe krawaty, w czapki o mocno błyszczących daszkach lub w wysokie, dawno wyszłe z mody kapelusze, z parasolami w rękach, zalewało Piotrkowską, ciągnęli sznurami z bocznych ulic i tłoczyli się na trotuarach tym ciężkim ruchem masy, która z biernością poddaje się wszelkiemu parciu; robotnice w cudacznych jaskrawych kapeluszach, w sukniach do figury, w jasnych pelerynkach, to znowu w chustkach kraciastych na ramionach, z włosami gładko przyczesanymi i świeącymi pomadą i szpilkami złotymi, czasem wetkniętym sztucznym kwiatkiem, dreptały wolno, rozpierając się łokciami w tłumie, ochraniając często w ten

sposób sztywne, mocno wykrochmalone suknie, albo rozpięte nad głowami parasolki, które, jak wielkie motyle o tysiącach barw, chwiały się nad tą szarą, wciąż płynącą rzeką ludzką, wzbierającą po drodze nowymi przypyływami z bocznych, poprzecznych ulic.

Podnosili oczy ku słońcu, oddychali wiosną, jaką czuć było w powietrzu i szli naprzód ociężale, krępowani świątecznym ubraniem, tą względną ciszą ulicy, swobodą, niedzielnym wypoczynkiem, z którego nie umieli korzystać, z utkwionymi w jeden punkt oczami, oślepieni blaskami, w których te masy twarzy kredowo białych, żółtych, szarych, ziemistych, pozapadanych, bez krwi, którą powypijały z nich fabryki, wyglądały jeszcze nędzniej. Przystawali przed wystawami sklepów zapełnionych tandetą, albo odpływali drobnymi strumykami do szynków.

Z dachów, z popsutych rynien, z balkonów lała się woda strumieniami na głowy przechodzących i na zabłocone trotuary; wczorajszy śnieg topniał i ściekał po frontach pałaców i domów, żłobiąc długie, czarne smugi po ścianach pokrytych pyłem węglowym i sadzami.

Bruk uliczny, pełen dziur i wybojów, był pokryty masą lepkiego błota, które rozbijane przejeżdżającymi dorożkami i powozami, opryskiwało trotuary i spacerujących.

A nad tym, po obu stronach ulicy, ciągnącej się olbrzymią linią aż do Bałut, stały zbitą masą domy, pałace podobne do zamków włoskich, w których były składy bawełny; zwykle pudła

murowane o trzech piętach, poobdzierane z tynków; domy zupełnie stylowe o złożonych balkonach żelaznych barocco, powyginane, wdzięczące się, pełne amorków we fryzach i nad oknami, przez które widać było szeregi warsztatów tkackich; malutkie, drewniane, pogieęte domki o zielonych omszonych dachach, za którymi wznosiły się w dziedzińcach potężne kominy i korpusy fabryk, tuliły się do boku pałacu, o ciężkim renesansowo-berlińskim stylu, z czerwonej modelowej cegły i wszystkich odrzwiach i futrynach z kamienia, z wielką płaskorzeźbą na frontonie, przedstawiającą przemysł, o dwóch bocznych pawilonach zakończonych wieżami, a rozdzielonych od głównego korpusu prześliczną żelazną kratą, za którą w głębi wznosiły się kolosalne mury fabryki; domy ogromem i wspaniałością podobne do muzeów, a które były składami gotowego towaru; domy przeładowane ozdobami w różnych stylach, bo na parterze renesansowe kariatydy podtrzymywały murowany ganek w staroniemieckim stylu, nad którym drugie piętro à la Louis XV wdzięczyło się falistymi liniami w obramowaniu okien, a zakończyły facjatki pękate, podobne do pełnych szpulek; domy, które z powagą świątyń wznosiły mury ogromne, ozdobione surowo, pełne majestatu, na których złociły się litery ryte w tablicach marmurowych: Szaja Mendelsohn, Herman Bucholt itd.

Była to zbieranina, śmietnik wszystkich stylów, stosowanych przez murarzy, najeżona wieżyczkami, oblepiona sztukateriami, które wciąż oblatywały, pocięta tysiącami okien, pełna

kamiennych balkonów, kariatyd, facjatek niby ozdobnych, balustrad na dachach, wspaniałych bram, gdzie szwajcarowie w liberii drzemali w aksamitnych fotelach i zwykłych otworów, którymi błoto uliczne wlewało się na straszne, podobne do gnojowisk podwórza; sklepów, kantorów, składów, sklepików nędznych, przepełnionych brudem i tandetą, pierwszorzędnych hoteli i restauracji, najohydniejszych szynków, przed którymi wygrzewali się na słońcu nędzarze, milionów, które przelatywały ulicą w przepięknych powozach, zaprzężonych w amerykańskie rysaki po dziesięć tysięcy rubli sztuka, – nędzy, która się przewalała ulicami, z sinymi ustami rozpaczy i ostrym wzrokiem wiecznego głodu.

– Cudne miasto – szepnął Moryc, stojąc na rogu pasażu Meyera i przymrużonymi oczyma, patrząc po tych nieskończone długich groblach domów, co ścisnęły ulice. – Cudne miasto, ale co ja na tym zarobię – myślał drwiąco i wszedł do cukierni narożnej, już zapchanej prawie po wierzch.

– Melanż! – zawołał na chłopaków, biegnących we wszystkie strony, wcisnął się na jakieś miejsce wolne, przerzucił machinalnie ostatni „Berliner Börsen Courier” i znowu zapadł w rozmyślenia; myślał, skąd wydestać pieniędzy, a potem, jak urządzić, aby na tym bawełnianym interesie, o który zrobił z przyjaciółmi układ kilka godzin temu, zarobić jak najwięcej.

Maurycy Welt za bardzo był łódzkim „Gründerem⁸¹”, żeby mógł mieć jakie wahania sumienia, przeszkadzające mu zrobić

⁸¹ *Gründer* (niem.) – założyciel. [przypis edytorski]

dobry interes chociażby na skórze przyjaciół, jeśli ten interes sam mu szedł w ręce.

Żył w świecie, w którym oszustwa, podstępne bankructwa, plajty, wszelkiego rodzaju szwindle, wyzysk – były chlebem codziennym, wszyscy się tym łakomie karmili, zazdrozczono głośno sprytnie ułożonych łajdactw, opowiadano sobie po cukierniach, knajpach i kantorach coraz lepsze kawały, admiirowano tych publicznych oszustów, wielbiono i czczono miliony, nie bacząc, skąd pochodzą; co to kogo obchodziło, zarobił czy ukradł, byle te miliony miał.

Niezręcznych lub niemających szczęścia spotykały drwiny i ostre sądy, brak kredytu, odmowa zaufania – szczęśliwy miał wszystko; mógł dzisiaj zrobić plajtę i płacić dwadzieścia pięć za sto, jutro ci sami, których okradł, dadzą mu jeszcze większy kredyt, bo swoje straty odbiją na innych, robiąc plajtę na piętnaście procent za sto.

Moryc myślał właśnie, jak by zarobić na spółce i jak by zarobić bez spółki.

– Kupić na wspólne *conto* co bądź tylko dla zamydlenia oczów, a kupować co się da na swoje własne *conto* – to była idea, jaka mu od rana przewiercała mózg – rzucał kolumny cyfr na marmurowy blat stolika, sumował, przekreślał, ścierał i pisał na nowo niestrudzenie, nie wiele zważając, co się około niego dzieje.

Wyciągano do niego przez głowy obok siedzących ręce, ścisnął je, nie wiedząc komu.

– Morgen! – rzucał na odpowiedź i na przywitanie

tym, których spostrzegł i zagłębiał się w najniemożliwsze⁸² kombinacje.

Nie mógł znaleźć ani sposobu, ani pieniędzy. Kredyt miał wyczerpany i zaangażowany w agenturze. Weksli nie mógł już więcej wystawiać, jeśli nie podeprze dobrym, solidnym żyrem.

– Kogo wziąć na żyro? – to mu się teraz tłukło po mózgu.

– Melanż! – rzucił znowu kelnerom, którzy w gwarze i tłoku, jaki nappełnił cukiernię, kręcili się pomiędzy stolikami, z tacami kaw i herbat nad głowami.

Zegar z kukułką wykukał pierwszą.

Z cukierni zaczął się wolny odpływ na ulicę, na spacer.

Moryc wciąż siedział, naraz oczy mu rozbłyły, rozczesał palcami swoją wspaniałą, aksamitną brodę, wcisnął mocno binokle na nos i zaczął prędko mrugać oczami.

Przyszedł mu na myśl stary Grünspan, właściciel wielkiej fabryki chustek wełnianych pod firmą: „Grünspan et Lansberg”, jego bliski kuzyn, bo brat matki.

Postanowił iść do niego i, jeśli się da, wziąć go na żyro, a jeśli nie, to wciągnąć go do interesu na spółkę.

Rozpromienienie i radość z odkrycia trwała krótką chwilę, bo przypomniał sobie, że Grünspan zrujnował własnego brata i układał się już parę razy. Z takim nie bardzo bezpiecznie robić interesy.

– Plajciarz, oszust! – mruczał zirytowany, czując, że go nie weźmie na żadne żyro, ale pomimo to iść postanowił.

⁸² najniemożliwsze – dziś: najbardziej niemożliwe. [przypis edytorski]

Zaczął się rozglądać po cukierni, po wąskim, ciemnym i długim pokoju, prawie już pustym, bo tylko pod oknami siedziało kilkunastu młodych ludzi, zatopionych w wielkich płatach gazet.

– Panie Rubinroth! – zawołał na młodego chłopaka, siedzącego pod lustrem, który ze szklanką w jednej ręce, z ciastkiem w drugiej, siedział pochylony nad rozłożoną na stoliku gazetą.

– Słucham pana? – wykrzyknął, zrywając się na nogi.

– Jest co?

– Nic nie ma.

– Powinienem był to wiedzieć rano.

– Nic nie było i dlatego nie zawiadaniałem, bo myślałem...

– Pan słuchaj, a nie myśl, to do ciebie nie należy. Ja panu powiedziałem raz na zawsze, żeby mi rano do mieszkania dawać znać codziennie, czy było lub nie było, to nie pańska rzecz, pańska rzecz jest mi donosić, ja za to panu płacę. Na ciastko i gazetę jeszcze byś pan zdążył.

Rubinroth zaczął się usprawiedliwiać dosyć gorąco.

– Nie krzycz pan, tu nie bożnica! – rzucił cierpko swojemu urzędnikowi z kantoru i odwrócił się od niego plecami.

– Kelner! Zal⁸³! – wołał, wyjmując portmonetkę.

– Co pan płaci?

– Melanz!... Prawda, wyście mi nie przynieśli, ja nic nie

⁸³ *Zal* (z niem. *zahlen*: płacić) – rachunek, płacić (w formie rozkaźnika). [przypis edytorski]

płacę.

– W tej chwili będzie. Melaanz! – krzyknął na całe gardło.

– Wlej sobie w nos ten melanz, ja całe dwie godziny czekałem i muszę iść bez śniadania. Bałwan jeden! – krzyknął zirytowany i wybiegł z pośpiechem na ulicę.

Słońce przygrzewało coraz lepiej.

Tłumy robotników rozpląnęły się, zaczęły natomiast zapychać trotuary inne tłumy; tłumy ubrane elegancko, damy w modnych kapeluszach, w bogatych okrywkach, mężczyźni w długich, czarnych paltach, w hawelokach⁸⁴ z pelerynami, Żydzi w długich surdutach zabłoconych, Żydówki, przeważnie piękne, w aksamitach, którymi zamiatały błoto na trotuarach.

Wrzawa napełniała ulice, przepychano się ze śmiechem, tłoczono, spacerowano w górę ulicy aż do Przejazd lub Nawrot i z powrotem.

Przed cukiernią na rogu Dzielnej grupa młodzieży kantorowej przeglądała przepływające tłumy kobiet i robiła głośne uwagi i porównania, nie tyle uprzejme, ile głupie, wybuchając co chwila szalonym śmiechem, bo Leon Cohn stał z boku i robił swoje zwykłe witzę, z których się sam śmiał najgłośniej.

Bum-Bum stał na froncie grupy pochylony i wciąż trzymał binokle obu rękami, i przypatrywał się kobietom, które, przechodząc przez ulicę przecinającą trotuar musiały unosić sukien.

⁸⁴ *hawelok* – płaszcz męski bez rękawów, z otworami na ręce pod peleryną. [przypis edytorski]

– Patrzcie, patrzcie, jakie nóżki! – wołał, cmokając ustami.

– Ta ma dwa patyki w pończochach!

– Aj! jak się Salcia dzisiaj wypchała!

– Uwaga! Szaja jedzie – zawołał Leon Cohn, kłaniając się
użeniu Szai, który, rozparty niedbale w powozie, przejeżdżał
obok nich.

Kiwnął im głową.

– On wygląda jak stara „resztk”.

– Panienko, bo suknia się błoci! – wołał za jakąś dziewczyną

Bum-Bum.

– Niech osoba pokaże, co osoba ma! – gadał Leon.

– O co idzie, o tę troszkę...

– Moryc, chodź do nas! – zawołał Leon, zobaczywszy
nadchodzącego Welta.

– Daj spokój, nie lubię błaznów na ulicy – mruknął i przeszedł,
i utonął zaraz w tłumie, jaki płynął ku Nowemu Rynekowi.

Liczne rusztowania, stojące przed nowo wznoszonymi lub
nadbudowywanymi domami, spychały wszystkich w błoto ulicy.

Niżej, za Nowym Rynkiem, pełno było Żydów i robotników,
dążących na Stare Miasto. Piotrkowska ulica w tym miejscu
zmieniała po raz trzeci swój wygląd i charakter, bo od
Gajerowskiego Rynku aż do Nawrot jest fabryczną; od Nawrot
do Nowego Rynku handlową, a od Nowego, w dół, do Starego
Miasta tandeciarsko-żydowską.

Błoto było czarniejsze i płynniejsze, trotuary zmieniały się
przed każdym prawie domem, raz były szerokie z kamienia, to

biegły wązkim wydeptanym paskiem betonu, albo szło się wprost po drobniutkim, zabłoconym bruku, który kłuł przez podeszwy.

Rynsztokami płynęły ścieki z fabryk i ciągnęły się niby wstęgi brudnożółte, czerwone i niebieskie; z niektórych domów i fabryk, położonych za nimi, przyплыw był tak obfity, że, nie mogąc się pomieścić w płytkich rynsztokach, występował z brzegów, zalewając chodniki kolorowymi falami, aż pod wydeptane progi niezliczonych sklepików, ziejących z czarnych, zabłoconych wewnątrz⁸⁵ brudem i zgnilizną, zapachem śledzi, jarzyn gnijących lub alkoholu.

Domy stare, odarte, brudne, poobtlukane⁸⁶ z tynków, świecące niby ranami nagą cegłą, miejscami drewniane, albo ze zwykłego pruskiego muru, który pękał i rozsypywał się przy drzwiach i oknach, o krzywych obsadach futryn, pokrzywione, wysane, zabłocone, stały ohydny rzędem domów-trupów, pomiędzy którymi wciskały się nowe, trzypiętrowe kolosy o niezliczonych oknach, jeszcze nie tynkowane, bez balkonów, z tymczasowymi oknami, a pełne już ludzkiego mrowia i stuku tkackich warsztatów, jakie pracowały bez względu na niedzielę, turkotu huczącego maszyn, szyjących tandetę na wywóz i przenikliwego zgrzytu kołowrotek, na których zwijano przedzę na szpulki do użytku ręcznych warsztatów.

Przed owymi nieskończonymi domami, które wznosiły się czerwonymi, posępnymi murami, nad tym morzem

⁸⁵ wewnątrz – dziś popr.: wewnątrz. [przypis edytorski]

⁸⁶ poobtlukane – dziś popr.: poobtlukiwane. [przypis edytorski]

umierających ruder i kramarskiego życia, leżały całe sterty cegieł i drzewa, ścieśniając i tak wąską uliczkę, zapchaną wozami, końmi, przewożonym towarem, zgiełkiem, nawoływaniem handlarzy i tysięcznymi głosami robotników, płynących w gromadach na Stare Miasto; szli środkiem ulicy lub obok trotuarów; ich różnokolorowe szaliki, jakimi mieli poobwiązywane szyje, rozjaśniały nieco ten ogólny, szarobłotnisty ton ulicy.

Stare Miasto i wszystkie przylegające uliczki trzęsły się zwykłym niedzielnym ruchem. Na kwadratowym placu, obstawionym starymi, piętrowymi domami, nigdy nie odnawianymi, pełnym sklepów, szynków i tak zwanych Bier-Hall, zastawionym setkami szkaradnych bud i kramów, tłoczyło się kilkanaście tysięcy ludzi, setki wozów i koni, wszystko to krzyczało, mówiło, klęło, biło się czasami.

Wrzaskliwy chaos przewalał się jak falą z jednej strony rynku na drugi. Nad tym rojowiskiem głów, włosów rozwianych, rąk wzniesionych, łbów końskich, toporów rzeźnickich, połyskujących nagle w słońcu, podnoszonych nad rozrąbwanym mięsem, olbrzymich bochenków chleba, niesionych, z powodu tłoku, nad głowami, żółtych, zielonych, czerwonych, fioletowych chustek, powiewających niby sztandary na kramach garderoby; czapek i kapeluszy, wiszących na kołkach, butów, szalików bawełnianych, co jak węże kolorowe trzepotały się na wietrze i uderzały w twarze przeciskających się; blaszanych naczyń, błyskających w słońcu; – stosów słoniny, kup pomarańcz,

poukładanych na straganach w pryzmy, kul, świecących jaskrawo na tle czerni ludzkiej i błota, które, gniecione, rozrabiane, tratowane, mieszane, rzygało strumieniami spod nóg na stragany i na twarze, i wylewało się z Rynku do rynsztoków i na ulice, z czterech stron okalające targ, którymi toczyły się wolno olbrzymie wozy piwowskie, pełne antałów. Wozy z mięsem, pookrywane brudnymi szmatami, albo z dala świecące czerwono-żółtymi żebrami wołów obdartych ze skóry, wozy naładowane worami mąki, wozy pełne drobiu, krzyczącego wrzaskliwymi głosami, pełne kwakania kaczek i gęgotu gęsi, które przez szczeble drabin wysuwały białe głowy i syczały na przechodniów.

Czasem, bokiem tych nierozwartych sznurów wozów, idących jeden za drugim, przebiegał z pośpiechem jaki elegancki powozik, ochlapując błotem ludzi, wozy, trotuary, na których w kuczki siedziały stare, wynędzniałe Żydówki z koszykami pełnymi gotowanego grochu, cukierków, zmarzniętych jabłek, zabawek dziecińczych.

Przed sklepami, które były pootwierane i pełne ludzi, powystawiano stoły, krzesła, ławki, na których leżały góry galanterii, pończoch, skarpetek, kwiatów sztucznych, perkalików sztywnych jak blachy, kołder o jaskrawych poszyciach, koronek bawełnianych. W jednym końcu Rynku stały żółte, malowane łóżka, komody, które się nie domykały i brązowym bejcem udawały mahoń; lustra, w których by się nikt nie zobaczył, połyskiwały w słońcu; kołyski, stopy sprzętów kuchennych, za

którymi na ziemi, na garstkach słomy siedziały kobiety wiejskie z masłem i mlekiem, ubrane w czerwone wełniaki i zapaski. A pomiędzy wozami i straganami, przepychały się przez tłumy kobiety z koszami czepków białych, wykrochmalonych, które przymierzano wprost na ulicy.

Na Poprzecznej, zaraz przy Rynku, stały stoły z kapeluszami, których nędzne kwiaty, zardzewiałe spięcia, kolorowe farbowane pióra, chwiały się smutnie na tle ścian domów.

Garderobę męską sprzedawano, kupowano i przymierzano na ulicy, w sieniach, wreszcie pod ścianą, za zasłoną, która zwykle nic nie zasłaniała. Tak samo robotnice przymierały kaftany, fartuchy i spódnice.

Wrzawa rosła bezustannie, bo wciąż z góry miasta napływały nowe fale kupujących i podnosiły się nowe krzyki, nawoływania zachrypniętymi gardłami, głosy trąbek dziecinnych brzękały ze wszystkich stron, turkoty wozów, kwiki prosiąt, krzyki gęsi, cała szalona kakofonia zbiorowiska ludzkiego wrzała i biła w to czyste, rozświetnione niebo, co wisiało nad miastem niby bladoseledynowy baldachim.

W jednym z szynków grano i tańczono, bo czasami przez ten zgiełk i wrzawę piekielną przedzierał się głos harmonii i skrzypiec, wycinających oberka i mocny siarczasty pokrzyk tańczących, ale rychło te głosy tonęły w chaosie bójki, jaka powstała w środku rynku, przy straganach z wędlinami. Kilkanaście ciał splecionych, szczepionych, szamotało się z rykiem i chwiało w różne strony, aż w końcu runęło pod

stragany, w błoto i gryzło się i tarzało, jak kłęb olbrzymi, pełen rąk, nóg, twarzy okrwawionych, ust wyjących, oczów zasłanych bielmem wściekłości.

Wysoko świeciło słońce i zalewało potokami wiosennego ciepła rynek cały. Podnosiło barwy, złociło nędzne, wycieńczone twarze, obnażało rudery, zapalało złote ogniska w szybach okien i w błocie przepojonym wodą, w oczach ludzi, którzy stali pod domami i grzali się i pokrywało, jakby złotawą glazurą brzydotę, jaka tutaj królowała, wszystkie te rzeczy i ludzi i wszystkie te głosy, co się zrywały spośród bud, wozów, straganów, błota i olbrzymim wirem krążyły nad Rynkiem, odbijały się o czworokąt domów i płynęły w boczne ulice, w świat, w pola, ku fabrykom, które niedaleko stały, panując kominami i jakąś cichą, milczącą grozą, w jakiej były zatopione i patrząc błyszczącymi w słońcu, wytrzeszczonymi oczami okien na te roje robocze.

Moryc przepchał się przez Rynek z obrzydzeniem i zapuścił się w ulicę Drewnoską, jedną z najstarszych w Łodzi i bardzo cichą, obstawioną małymi, konającymi domkami pierwszych w Łodzi tkaczy, pomiędzy którymi tuliły się jeszcze proste chłopskie domy, o mocno wypuszczanych węglach, na pół zapadłe w ziemię, wykrzywione, otoczone ogródkami, gdzie dogorywały stare wiśnie i grusze przysadziste, które kiedyś kwitły i rodziły, a teraz, od lat całych, ściśnięte pomiędzy murami fabryk i odgródzone coraz gęstszymi zaporami od słońca, od pól, od wiatrów, spróchniałe, gryzione przez

odpływy, jakie się sączyły z farbiarni, gęsto rozrzuconych w tej stronie, obłamywane, zapomniane, konały z wolna w tragicznej melancholii opuszczenia i smutku.

Błoto i w tej ulicy było wyżej kostek. A dalej, przy końcu ulicy, która wychodziła w pola, świnie łąziły przed domami i próbowały ryć stwardniałą ziemię po placach, na które wywożono gruz i śmiecie.

Domy stały porozrzucane bezładnie, kupiły się w grupy, to stały samotnie w polach, otoczone rozmiękłym, przepojonym wodą gruntem. Na samym końcu miasta stała fabryka Grünspana et Landsbergera, oddzielona od ulicy potężnym parkanem.

Z boku fabryki był wielki parterowy dom z facjatami, otoczony ogródkiem.

– Pan w domu? – pytał Moryc starego robotnika, który mu otwierał drzwi.

– A jest.

– Któż tam jest jeszcze?

– Są wszystkie.

– Co za wszystkie?

– A no, te Żydy familianty – mruknął pogardliwie.

– Ma Franciszek szczęście, że ja mam dzisiaj dobry humor, bo inaczej, to ja bym Franciszkowi zbił ładny kawałek pyska. Rozumie Franciszek? Zdjąć kalosze!

– Rozumiem, dostałbym niby po mordzie, ale że jaśnie pan ma humor, to już nie dostanę – szeptał dobrodusznie, ściągając mu kalosze.

– No, to niech Franciszek napije się wódki i niech pamięta – powiedział zadowolony, dając mu dziesiątkę i wszedł do pokoju.

– Parszywiec ścierwo! Biłby polski naród – splunął za nim.

Moryc wszedł do wielkiego pokoju, w którym już było z dziesięć osób, siedzących dokoła wielkiego stołu, pokrytego talerzami, po skończonym dopiero obiedzie.

Przywitał się ze wszystkimi w milczeniu i usiadł w rogu, na czerwonej kanapce, nad którą roztaczała cień wielka wachlarzowata palma.

– Po co się sprzeczać, można wszystko spokojnie obgadać – mówił powoli sam Grünspan, chodząc po pokoju w aksamitnej jarmułce na szpakowatych włosach.

Długa broda bramowała mu twarz białą, wypasioną, o małych oczkach, które wciąż z błyskawiczną szybkością przeskakiwały z przedmiotu na przedmiot.

Cygaro trzymał w ozdobionej sygnetem ręce, pociągał rzadko, wydymał wydatne, czerwone usta, powąchał z uwagą.

– Franciszek – zawołał do przedpokoju. – Niech mi Franciszek przyniesie z mojego gabinetu pudełko z cygarami, to jest zupełnie wilgotne. Ja to kładę na piecu, niech Franciszek uważa, niech ono nie zginie.

– Jak ma nie zginąć, to nie zginie – mruknął Franciszek.

– Co to za fest⁸⁷? – zapytał Moryc Feliksa Fiszbina, który także należał do rodziny, a siedział teraz na biegunowym fotelu, puszczał kłęby dymu i kołysał się zawzięcie.

⁸⁷ *fest* (niem. *Fest*) – święto, uroczystość. [przypis edytorski]

– Gross-familien-Pleiten-fest – rzucił.

– Ja przyszłam do ojca, żeby ojciec poradził, prosiłam wszystkich, żeby także przyszli, niech zobaczą, niech mojemu mężowi powiedzą, kiedy mnie słuchać nie chce, że jak tak dalej będzie prowadzić interes, to my wyjdziem bez niczego – zaczęła energicznie młoda, przystojna, elegancka brunetka, w czarnym kapeluszu na głowie, najstarsza córka Grünspana.

– Ile macie na Lichaczewa? – rzucił krótko młody student uniwersytetu, o wydatnym semickim nosie i prawie czerwonych włosach i zaroście – zaczął gryźć ołówek.

– Piętnaście tysięcy rubli.

– Gdzie są weksle? – zapytał stary, bawiąc się złotym łańcuchem, który mu spadał na wielkim brzuchu, obciążonym w aksamitną kamizelkę, spod której powiewały dwa białe sznurki.

– Gdzie są weksle! Wszędzie są! Płaciłem nimi u Groslika, płaciłem za towar, płaciłem nimi Kolińskiemu za ostatnią oficynę. Co tu dużo gadać, tamten zrobił klapę, wróć do mnie i zapłacić musimy. Ja je żyrowałem.

– Niech ojciec słucha! on tak ciągle mówi. Co to jest? do czego to podobne? To jest handel! to jest kupiec! to jest fabrykant porządny, co mówi: „Winienem, to zapłacę”. Tak może mówić głupi chłop, co nie rozumie żadnych interesów! – krzyczała i łzy żalu, gniewu i oburzenia błyszczały w jej wielkich, czarno-oliwkowych oczach.

– Ja się dziwię, Regino, ja się bardzo dziwię, że jesteś tak

mądrą, a tych prostych rzeczy, na których się opiera nie tylko handel, ale i całe życie, nie rozumiesz...

– Ja rozumiem, ja dwa razy dobrze rozumiem, tylko nie mogę zrozumieć, dlaczego ty, Albert, chcesz płacić te piętnaście tysięcy rubli.

– Bom winien – szepnął, pochylając na piersi bladą, zmęczoną twarz i jakiś ironiczno-smutny uśmiech przewinał mu się przez wąskie usta.

– On ciągle swoje! Tyś brał towar surowy na kredyt, to winien, dobrze; ale tyś dawał towar także na kredyt i tobie są winni, a jak oni ci nie płacą, jak oni robią plajtę, to co ty masz robić? to ty powinieneś płacić, co? To ty masz stracić dlatego, że Frumkin chce zarobić, co? – krzyczała rozczzerwieniona.

– Niedołęga!

– Wielki kupiec, aj! aj!

– Ty powinieneś się ułożyć, ty powinieneś zarobić na tym pięćdziesiąt procent.

– Regina ma rację!

– Ty się nie baw w głupie uczciwości, bo tu o gruby grosz idzie.

Krzyczeli wszyscy, wyciągając ku niemu ręce i twarze rozognione.

– Cicho Żydy! – rzucił niedbale Feluś Fiszbini kołyszając się na fotelu.

– Płacić! płacić! to i głupi potrafi, każdy Polak to samo umie, to wielka sztuka!

– Ależ porozumiejmy się, państwo! – krzyczał, aby wszystkich zagłuszyć, Zygmunt Grünspan, syn, student uniwersytetu, dzwonił nożem w szklanę, rozpiął mundur na piersiach i koniecznie chciał głos zabrać, ale nikt go nie słuchał, bo wszyscy gadali razem i krzyczeli, tylko stary Grünspan chodził w milczeniu i pogardliwie spoglądał na zięcia, który podparł się łokciami rzucał porozumiewające spojrzenia na Moryca, ten zaś czekał dosyć niecierpliwie końca rozpraw, przyglądał się staremu i rozmyślał, czy mu zaproponować interes, czy nie.

Miał ogromną chęć, ale w miarę oczekiwania chłodnął, reflektował się i coś, jakby pewien wstyd niewytłumaczony przejmował go, gdy sobie przypominał Karola i Bauma. A zresztą, nie miał odwagi zaufać Grünspanowi śledził jego okrągłą, chytrą twarz i małe oczki, biegające ustawicznie; z jakimś wyrazem taksacyjnym oczy jego krążyły po obecnych, zatrzymały się na jasnych spodniach wyciągniętego w fotelu Fiszbina, zdawały się ważyć ciężar złotej dewizki Alberta Grosmana, który siedział teraz z głową pochyloną, wpatrzony w sufit, jakby nie słysząc wrzawy groźnej, jaką podnosiła żona z pomocą najbliższej rodziny, zebranej po to, aby mu nie pozwolić płacić weksli, a zmusić niejako do zrobienia plajty, obmacywały gruby pugilares, w którym czegoś szukał gorączkowo Landau, stary Żyd z dużą rudawą brodą, w jedwabnej czapce na głowie.

Nie, Moryc miał coraz mniej zaufania do niego.

– Sza, sza, państwo. Napijemy się teraz herbaty – zawołał Grünspan, gdy służąca wniosła samowar szumiący.

– Poprosić jaśnie panienkę Melę! – rzucił wyniośle do Franciszka.

Przyciszyło się trochę.

Weszła Mela, kiwnęła wszystkim głową na przywitanie i zajęła się rozlewaniem herbaty.

– Ja się z tego wszystkiego rozchoruję jeszcze, mnie już serce boli, a tu ani chwili spokoju – szeptała Regina, wycierając sobie zapłakane oczy.

– I tak co rok jeździsz do Ostendy, będziesz teraz miała przynajmniej po co jeździć.

– Grosman, ty tak nie gadaj, to moje dziecko! – zawołał energicznie Grünspan.

– Tyś się ze mną nie witała, Mela – szepnął Moryc, siadając obok najmłodszej córki firmy Grünspan et Landsberger.

– Kłaniałam się wszystkim, nie widziałeś? – szepnęła, posuwając herbatę Zygmunтови.

– Wolałbym, żebyś się ze mną osobno przywitała – mówił cicho, mieszając herbatę.

– Na cóż ci to? – podniosła na niego szaroniebieskie, smutne oczy i twarz bardzo ładną o niesłychanie regularnych rysach.

– Na co? bo ja bym bardzo chciał, żebyś zwracała na mnie uwagę; mnie zresztą robi wielką przyjemność patrzeć na ciebie i mówić z tobą, Mela.

Uśmiech przebiegł po jej wypukłych, bardzo ładnych ustach, podobnych w kolorze do bladych, sycylijskich koralii, nie odezwała się jednak, rozlewając herbatę na spodek, który wziął

ojciec i pił z niego, nie przestając chodzić po pokoju.

– Czy ja co śmiesznego powiedziałem? – pytał podchwyciwszy ten uśmiech.

– Nie, przypomniało mi się tylko, co mówiła pani Stefania dzisiaj rano, podobno wczoraj w teatrze mówiłaś jej, że nie umiesz flirtować z Żydówkami, że to rodzaj kobiet, który na ciebie nie działa. Mówiłaś tak? – utkwiała w nim oczy.

– Mówiłem, ale raz, że ja z tobą nie flirtuję, a po drugie, że ty właśnie nie masz w sobie nic a nic żydowskiego. Słowo honoru daję! – dorzucił prędko, bo znowu taki sam uśmiech przebiegł jej po ustach.

– Czyli, że jestem w twoim rodzaju. Dziękuję ci Moryc za szczerość.

– Czy cię to gniewa, Mela?

– Nie, jest mi to zupełnie wszystko jedno – surowo zabrzmiał jej głos, aż zajrzał jej w oczy ze zdziwienia, ale nie zobaczył w nich wytłumaczenia, bo trzymała utkwione w spodku, do którego znowu dolewała herbaty.

– Pogadajmy spokojnie, zawsze się można porozumieć – zaczął znowu Zygmunt, przyczesując maleńkim grzebykiem czerwoną jak miedź brodę.

– Co tu gadać, niech ojciec sam powie Albertowi, że jak w taki sposób poprowadzi interesy, to my za rok naprawdę zbankrutować możemy. On mnie nie chce słuchać, bo on ma swoją filozofię, jak powiada, niech mu ojciec powie, co on jest głupi, chociaż on jest doktor filozofii i chemii, bo rzuca

pieniądze w błoto.

– A może jej ojciec powie, żeby się nie wtrącała do interesów, bo ich nie rozumie i żeby mnie swoim krzykiem nie nudziła, bo może mi się to w końcu sprzykrzyć.

– Na moją dobroć, na moje dobre serce, to on tak gada, co!

– Cicho, Regina.

– Ja nie będę cicho, bo tutaj idzie o pieniądze, o moje pieniądze; ja go nudzę, ja mu się mogę sprzykrzyć, jaki mi hrabia łódzki, o jej! o jej! – wykrzykiwała ze złością.

– Niech się ułoży na pięćdziesiąt procent – rzucił poważnie Landau.

– Na co się układać? Nic nie dać, my za swoje pieniądze nie dostaniemy od Frumkina ani grosza.

– Nie rozumiesz, Regina. Pokażcie, Grosman, aktywa i pasywa – rzekł Zygmunt, rozpinając mundur.

– Dać dwadzieścia pięć procent najwyżej – szepnął stary, dmuchając w spodek.

– Jest lepszy sposób – mówił półgłosem Fiszbina, rozdmuchując ogień w cygarze.

Nikt mu nie odpowiedział, bo się wszyscy dość pośpiesznie pochylili nad stołem, nad kartami, pokrytymi cyframi, które pośpiesznie sumował Zygmunt.

– Pięćdziesiąt tysięcy rubli winien! – zawołał.

– Ile ma? – zapytał ciekawie Moryc, wstając, bo Mela wyszła z pokoju.

– To się pokaże później, na ile procentów się ułoży.

– To jest interes do zrobienia.

– Pieniądze jakby były w kieszeni.

– Regina, nie potrzebujesz się martwić?

– Więc chcecie, abym plajtę zrobił? Nie myślę oszukiwać ludzi! – powiedział Grosman stanowczo, wstając od stołu.

– Ty musisz się ułożyć, bo inaczej ja wycofuję swój posąg z interesu i biorę rozwód; co ja mam żyć z takim hrabią, co ja mam się martwić.

– Cicho, Regina, Grosman się ułoży na dwadzieścia pięć procent, bądź spokojną, ja w tym jestem, sam przeprowadzę ten interes – pocieszał ją stary Grünspan.

– Albert ma małe robaczki w głowie, jak się to nazywa, Moryc? – zapytał Fiszbin.

– Kiełbie we łbie – rzucił prędko i zniecierpliwiony miał ochotę iść do Meli.

– Chcesz posąg – weź; chcesz rozwodu – dam ci go; chcesz te pieniądze, które ja mam jeszcze – zabierz; mnie już życie zbrzydło w tym piekle łajdackim. Ja z tobą, Regina, nigdy do ładu nie dojdę; nie było dzieci, to mi wciąż gadała, że jej wstyd się pokazać na ulicę, ma ich teraz czworo, to znowu niezadowolona.

– Albert, nie gadaj!

– Sza! sza! to są wasze interesy! – zakrzyknął Griinspan, prędko stawiając spodek na stole.

– Ona nigdy i z niczego nie była zadowolona, ona się ciągle kłóci ze mną.

– Ja się nie mam kłócić! ja się nie mam o co kłócić, jak

mi każe jeździć tymi zdechłymi końmi, z których się wszyscy śmieją.

– Dobre są i takie, bogatsze od ciebie chodzą pieszo.

– Ale ja chcę jeździć, mnie stać na porządne konie.

– To sobie kup, mnie nie stać na inne konie!

– Cicho Żydy! – zawołał Feluś, znowu kołysząc się w fotelu.

– On zgłupiał do reszty, to potrzeba mieć pieniądze, żeby kupować! to potrzeba mieć za co, żeby kupić, co potrzeba? To Wulff pewnie co ma, kiedy stawia fabrykę, to Bernstein dużo ma, kiedy za całe sto tysięcy mebluje sobie dom? – wykrzykiwała, wodząc zdumionym wzrokiem po rodzinie.

Albert odwrócił się do nich plecami i patrzył w okno.

Kłótnia zawrzała na nowo i podnosiła się do maksimum, krzyczeli wszyscy razem, pochylali się nad stołem, bili w niego pięściami, wydzielali sobie z rąk papiery, kreśląc na ceracie coraz nowe cyfry, rzucali coraz ohydniejsze projekty i sposoby plajty, wymyślali sobie nawzajem, zrywali się od stołu, siadali znowu i krzyczeli; a wszystkim brody, twarze, usta i wąsy trzęsły się i drgały, porwane tymi cyframi, jakie można było zarobić, rozwścieczeni na tego głupca, który stał odwrócony plecami i ani chciał słuchać o plajcie.

Nawet stary wyszedł ze swego pokoju i głośno dowodził; Regina, zmęczona wzruszeniem, siadła w fotelu i płakała spazmatycznie; Landau odrzucił ceratę i kawałkiem kredy pisał cyfry na stole, rzucając od czasu do czasu jakie słowo poważne, a Zygmunt Grünspan, rozczzerwieniony, spocony, darł

się najgłośniej, wołał, żeby się porozumieli i sprawdzał kolumny cyfr w wielkiej książce fabrycznej, jaką mu przyniosła Regina.

Tylko Moryc nie brał udziału w krzykach, siedział pod palmą obok Fiszbina, który, wyciągnięty na fotelu, bujał się, palił cygaro i od czasu do czasu wołał:

– Cicho, Żydy!

– To nie jest wcale wesoła operetka – powiedział znużony Moryc i zaniechawszy już zupełnie interesu z Grünspanem, poszedł w głąb mieszkania szukać Meli.

Zastał ją u babki, którą cała rodzina otaczała nadzwyczajną czcią i opieką.

Babka siedziała w fotelu na kółkach, przy oknie. Była to blisko stuletnia staruszka, sparaliżowana i zupełnie zdziecinniała; twarz miała tak zeschniętą i pościaganą w fałdy, że wszelki wyraz znikł zupełnie – wisiał tylko kawał żółto-szarej skóry pofałdowanej, z której świeciły czarne, bez połysku, niby szklane paciorki, oczy. Na głowie miała czarną perukę, ubraną w rodzaj czepka z aksamitów kolorowych i koronek, jakie noszą Żydówki po małych miasteczkach.

Mela łyżeczką dziecinną wlewała w zapadłe usta bulion; babka niby ryba otwierała i składała usta...

Uklonił się jej – przestała jeść, popatrzyła na niego martwo i zapytała głosem głuchym, jakby pochodził spod ziemi:

– Kto to, Mela?

Nie poznawała już nikogo, prócz najbliższych.

– Moryc Welt, brat mojej matki, Welt – powtórzyła

z naciskiem.

– Welt, Welt! – meła w bezzębnych szczękach i otworzyła szeroko usta do bulionu, który znowu podawała Mela.

– Kłóca się jeszcze?

– Sądny dzień się zrobił.

– Biedny ten Albert.

– Żałujesz go?

– Jakże, nie pozwalała mu być człowiekiem własna nawet żona i rodzina. Regina mnie wprost przeraża swoim handlarstwem – westchnęła smutnie.

– Powinien być dobrym fabrykantem. On trochę chory na idealizm, ale po pierwszej plajcie, niech tylko na niej dobrze zarobi, to się wyleczy.

– Ja nie rozumiem ani ojca, ani wujów, ani ciebie, ani Łodzi.

We mnie się wszystko burzy, patrząc na to, co się tutaj dzieje.

– Cóż się dzieje? dobrze się dzieje, robią się pieniądze i basta.

– Ale jak, jakimi sposobami!

– To wszystko jedno; sposób dostania rubla nie zmniejsza jego wartości.

– Jesteś cynik – szepnęła jakby z wyrzutem.

– Jestem tylko człowiek, który nie wstydzi się nazywać rzeczy po imieniu.

– Dajmy pokój, jestem tak zdenerwowaną, że brak mi sił nawet do kłótni.

Skończyła karmienie babki, poprawiła poduszki, jakimi była obłożona i pocałowała ją w rękę.

Stara przytrzymała ją lekko, pogłaskała wyschniętymi niby u szkieletu palcami po twarzy i zapytała znowu tak samo, patrząc na Moryca.

– Kto to? Mela.

– Welt, Welt! Chodź Moryc na chwilę do mnie, jeśli masz czas.

– Mela, ja przecież dla ciebie miałbym zawsze czas, jeślibyś tylko zechciała.

– Welt, Welt! – powtarzała stara głucho, otworzyła usta i zapatrzyła się martwym wzrokiem w okno, za którym widniały mury fabryki.

– Moryc, ja cię już prosiłam, nie komplementuj mnie.

– Ty mi wierz, Mela, mówię szczerze, słowo uczciwego człowieka, że jak jestem z tobą, jak cię słyszę, jak patrzę na ciebie, to muszę nie tylko mówić inaczej, niż do innych kobiet, ale zaczynam czuć i myśleć inaczej. Ty masz w sobie taką dziwną miękkość, ty jesteś naprawdę kobietą. Mela, tu takich mało w Łodzi – mówił poważnie, przechodząc za nią do jej pokoju.

– Odprowadzisz mnie do Róży? – zapytała, nic mu nie odpowiedział.

– Jeślibyś nie chciała, prosiłbym cię o to.

Oparła czoło na szybie i patrzyła na wróble, które rozszalałe tym pierwszym prawie wiosennym dniem marcowym, goniły się i biły po ogrodzie.

– O czym myślisz? – zapytał po chwili cicho.

– O Albercie, czy zrobi tak, jak postanowił, czy też tak, jak

oni chcą.

– Tak, z pewnością ogłosi upadłość i ułoży się z wierzycielami.

– Nie, ja go znam i jestem tego pewna, że zapłaci.

– Założę się z tobą, że będzie się układał.

– A ja bym nie wiem, co dała, że nie zrobi.

– Mela, Grosman ma swoje filozoficzne bziki, ma, ale poza tym on jest mądry człowiek, mogę postawić cały swój majątek, że więcej nie zapłaci, jak dwadzieścia pięć procent.

– A ja bym bardzo, bardzo pragnęła, żeby było inaczej.

– Przyszło mi na myśl, żeś ty powinna była wyjść za niego. Mela, dobralibyście się, nie mielibyście co jeść, ale bylibyście tak uczciwi, że pokazywaliby was w panoptikum.

– Lubię go, ale za niego nie wyszłabym, to nie mój typ.

– Któż jest w twoim typie?

– Szukaj i zgaduj! – uśmiechnęła się znowu tym bladym, subtelnym uśmiechem.

– Borowiecki, tak, z pewnością, w nim się wszystkie kobiety łódzkie kochają.

– Nie, nie; wydał mi się oschłym, dumnym i karierowiczem, nie, za bardzo zresztą podobny do was wszystkich.

– Oskar Meyer, baron, milioner i piękny, wprawdzie taki baron z meklemburskiej rasy, ale za to milioner najprawowitszy.

– Widziałam go raz i wydał mi się parobkiem przebranym. To musi być okropny człowiek, słyszałam o nim dużo!

– To jest dziki i wściekły człowiek, to jest prawdziwe pruskie

bydłę! – mówił z nienawiścią.

– Aż tak? Zaczyna być interesującym.

– Daj spokój o tym chamie. A może Bernard Endelman podoba ci się?

– Żydziak! – szepnęła pogardliwie.

– A, jakież ze mnie niedomyślny. Przecież tyś się wychowywała w Warszawie, żyłaś tam w polskich sferach i przeszłaś przez wszystkie warszawskie kółka i saloniki, to jakże mogą podobać ci się Żydzi lub Łódzcy ludzie! – wołał ironicznie.

– Przywykłaś do studentów rozczochranych, do tej deklamującej radykalii, oczekującej na spadek i na synekury biurowe, do tej wykwintnej atmosfery blagi i wspólnego obełgiwania się na wzniosły, szlachetny sposób. Ha, ha, ha, ja to przechodziłem i ile razy sobie wspomnę tamte czasy i tamtych ludzi umieram ze śmiechu.

– Daj spokój, Moryc. Mówisz z goryczą, więc nie bez stronności, nie chcę słuchać – wołała prędko, dotknięta bardzo, bo istotnie całym sercem jeszcze żyła w tamtej sferze, pomimo że od dwóch lat już mieszkała przy ojcu w Łodzi.

Wyszła i ukazała się po chwili już ubrana do wyjścia.

Zaraz też wyszli.

Otwarty powozik bardzo elegancki, czekał przed bramą.

– Dojedź tylko do Nowego Rynku, tam nie ma takiego błota, to pójde pieszo.

Konie ruszyły ostro.

– A swoją drogą, ty mnie dziwisz, Mela.

– Czym?

– Tym właśnie, że jesteś taką – nie Żydówką. Ja znam nasze kobiety dobrze, ja je umiem cenić i cenię, ale je znam, one nie biorą takich różnych książkowych rzeczy na serio, jak ty je bierzesz. Znasz Adę Wasereng? ona tak samo żyła w Warszawie i w tych samych sferach, co ty, tak samo się zapalała do wszystkiego, tak samo była czynną we wszystkim, tak samo ze mną kłóciła się o równość, o wolność, o cnotę, o ideały.

– Ja się z tobą nie kłóczę o to wszystko – przerwała mu prędko.

– Prawda, ale pozwól mi skończyć; otóż była najidealniejszą idealistką, ale jak wyszła za swojego Rosenblatta, to o wszystkich głupstwach zapomniała, idealizm to nie była jej specjalność.

– Tobie się to podoba?

– Mnie się to właśnie podoba, bo jak miała czas, to się bawiła w poezje, dlaczego nie miała się bawić, to dobrze jest widziane w polskich domach, nadaje pewien modny ton, no i nie jest tak nudne, jak chodzenie po teatrach i balach.

– Więc jesteś przekonany, że to tylko dla zabawy?

– Do Polek, ani do ciebie tego nie stosuję, to inny gatunek, ale do Żydówek – tak, wiem z pewnością. Pomyśl tylko, co je to wszystko może obchodzić? Mela, ja jestem Żyd, ja się tego nigdy i nigdzie nie wstydzilem, ani nie wypierałem, co za interes się wypierać! Mnie tak samo nic nie obchodzi poza moim własnym interesem, jak naszych wszystkich, bo ja tego nie mam wprost we krwi. Masz, taki Borowiecki, to jest dziwny człowiek, to jest mój kolega z gimnazjum w Warszawie, mój kolega z Rygi, mój

przyjaciel, my razem mieszkamy tyle lat, mnie się zdawało, że go znam, że to nasz człowiek. On ma ostre pazury, on jest zupełnie człowiek łódzki, on lepszy macher niż ja, a on czasem zrobi coś takiego, czego ja nie rozumiem, czego żaden z naszych nie robi; on jest Lodzermensch, a on pomimo to ma różne takie bziki ideowe, utopijne marzenia, dla których gotów jest dać rubla, jak ma dwa przy sobie, a dla których ja bym dał dziesiątkę, jakby się już nie można wykręcić, ja...

– Do czego prowadzisz? – przerwała mu znowu, dotykając parasolką stangreta, żeby przystanął.

– Że ty masz właśnie w sobie coś takiego, co mają oni, Polacy.

– Czy to czasem nie nazywa się duszą – powiedziała wesoło, wyskakując na trotuar.

– To za duży szemat.

– Pójdziemy Średnią, chcę się przejść trochę.

– Najbliżej będzie dojść do Widzewskiej, a stamtąd do Cegielnianej.

– Wybierasz krótsze, żeby prędko odbyć pańszczyznę.

– Wiesz przecie, Mela, że ja z wielką przyjemnością ci towarzyszę.

– Czy dlatego, że tak cierpliwie słucham?

– Tak, a i dlatego, że jesteś bardzo ładna z tą ironią na ustach, bardzo ładna.

– Komplement twój jest mniej piękny, bo tak *en gros*⁸⁸ podany.

⁸⁸ *en gros* (z fr.) – prosto, ordynarnie, z grubsza, hurtowo. [przypis edytorski]

– Lubisz warszawskie *en detaile*⁸⁹, a na krótkie terminy i z dobrem żyrem.

– Wystarczy dobre wychowanie i uczciwość.

– Ale pomimo to nie zaszkodzi się obwarować intercyzą – rzucił ironicznie, wciskając binokle.

– A, tuś doprowadził! – szepnęła niezadowolona.

– Chciałaś!

– Chciałam, żebyś mnie poprowadził do Róży przede wszystkim – podkreśliła zdanie.

– Ja bym cię wszędzie doprowadził, gdybyś zechciała! – zawołał, pokrywając pewne dziwne wzruszenie, jakie nim owładnęło, ostrym śmiechem.

– Dziękuję ci, Moryc, ale tam to mnie już kto inny doprowadzi – odpowiedziała dosyć ostro, zamilkła i patrzyła smutnie w ulicę strasznie błotnistą, po brudnych domach i twarzach licznych przechodniów.

Moryc także milczał, bo był zły na siebie, a więcej jeszcze na nią. Potrzącał z gniewu przechodniów, zaciskał binokle i rzucał niechętnie spojrzenia na jej bladą twarz, z ironią chwycił spojrzenia współczujące, jakimi obrzucała gromady oberwanych, wynędzniałych dzieci, bawiących się po bramach i trotuarach. Rozumiał ją nieco i dlatego wydała mu się bardzo naiwną, bardzo.

Irytowała go swoim głupim, polskim idealizmem, jak w myśli określał jej charakter, a równocześnie pociągała jego twardą,

⁸⁹ *en detaile* (fr.) – szczegółowo, detalicznie. [przypis edytorski]

suchą duszę tą odrobiną uczucia i tą jakąś dziwną poezją wdzięku i dobroci, jaka wydzieriała się z jej bladej twarzy, ze spojrzeń zadumanych, z całej postaci wysmukłej i bardzo harmonijnie rozwiniętej.

– Znudziłam cię, żeś zamilkł? – szepnęła po pewnym czasie.

– Bałem się przerywać milczenie, mogłaś myśleć wtedy o nader wielkich rzeczach.

– Bądź pewnym, że o daleko większych, niżli twoja ironia może dosięgnąć.

– Równocześnie zrobiłaś, Mela, dwa interesy, mnie dałaś szc lutka⁹⁰ i sama się pochwaliłaś.

– A chciałam tylko jedno – powiedziała z uśmiechem.

– Mnie uderzyć, prawda?

– Tak i zrobiłam to z przyjemnością.

– Ty mnie bardzo nie lubisz, Mela? – pytał trochę dotknięty.

– Nie, Moryc – kręciła głową i uśmiechała się złośliwie.

– Ale mnie i nie kochasz?

– Nie, Moryc.

– My robimy ładny kawałek flirtu – powiedział, zirytowany tonem jej odpowiedzi.

– Pomiedzy kuzynami powinno to uchodzić, bo do niczego nie obowiązuje.

Przystanąła, aby dać kilka groszy jakiejś kobiecie okręconej w łachmany, stojącej pod parkanem z dzieckiem na ręku i głośno żebrzącej.

⁹⁰ *szc lutka* – prztyczek. [przypis edytorski]

Moryc spojrział drwiąco, ale sam prędko wydobył jakiś pieniądz i dał.

– I ty dajesz biednym? – zdziwiła się

– Pozwoliłem sobie na taką miłosierną operację, bo miałem akurat fałszywą złotówkę – zaczął się śmiać serdecznie z jej oburzenia.

– Ty się z cynizmu już nie wyleczysz! – szepnęła, przyśpieszając nieco kroku.

– Mam jeszcze czas i żebym miał jeszcze sposobność i takiego, jak ty, doktora...

– Do widzenia, Moryc.

– Szkoda, że już.

– Ja nie żałuję zupełnie. Będiesz dzisiaj w kolonii?

– Nie wiem, ponieważ w nocy wyjeżdżam z Łodzi.

– Wstąp, kłaniaj się paniom ode mnie i powiedz pani Stefanii, że będę u niej w sklepie jutro przed południem.

– A dobrze, ale za to ty kłaniaj się ode mnie panie Rózi i powiedz Müllerowi także ode mnie, że jest błazen.

Uścisnęli sobie ręce i rozeszli się.

Moryc obejrzał się za nią, gdy już wchodziła do bramy pałacu Mendelsohnów i szedł do miasta.

Słońce już przygasało i zsuwało się za miasto, rozkrwawiając tysiące szyb łunami zachodu. Miasto cichło i przypłaszczało się w mrokach wieczoru; tysiące domów i dachów zlewało się coraz bardziej w jedną szarą, olbrzymią, zagmatwaną masę, pociętą kanałami ulic, w których zaczynały się palić nieskończone linie

świateł gazowych, tylko kominy fabryk, co niby las potężnych pni czerwonych, wznosiły się nad miastem i zdawały się drgać i kołysać na jasnym tle nieba, płonęły jeszcze zorzami zachodu.

– Wariatka! Ja bym się z nią ożenił „Grünspan, Landsberger i Welt”, byłaby solidna spółka; trzeba o tym pomyśleć – szepnął Moryc, uśmiechając się do tego interesu.

VII

– Co się stało Morycowi dzisiaj? – myślała Mela, wchodząc do wielkiego, dwupiętrowego domu narożnego, nazwanego pospolicie pałacem Szai. – Prawda, przecież ja mam pięćdziesiąt tysięcy rubli posagu, musi być w złych interesach i stąd ta gwałtowna czułość.

Nie mogła już myśleć więcej, bo wybiegła naprzeciw niej do przedpokoju jej najserdeczniejsza przyjaciółka, Róża Mendelsohn, nieznacznie utykając na prawą nogę.

– Miałam już posłać po ciebie powóz, bo nie mogłam się doczekać.

– Odprowadził mnie Moryc Welt, szliśmy wolno, prawil mi komplementa, no i tam dalej.

– Żydzia! – rzuciła pogardliwie Róża, rozbierając ją i ciskając lokajowi kapelusz, rękawiczki, woalkę, okrycie, w miarę, jak zdejmowała to z Meli.

– Przesyła ci ukłony bardzo uniżone.

– Głupi! Myśli, że go poznam na ulicy, jak mi się będzie kłaniał.

– Nie lubisz go? – pytała, przyglądając powichrzone włosy przed wielkim zwierciadłem, stojącym pomiędzy dwiema olbrzymimi sztucznymi palmami, w jakie cały przedpokój był ozdobiony.

– Nie cierpię, bo ojciec chwalił go któregoś dnia przed

Fabciem, a zresztą i Will go nie cierpi. Piękna lala!

– Wilhelm jest?

– Są wszyscy i wszyscy się nudzą, oczekując na ciebie.

– A Wysocki? – zapytała ciszej i trochę niepewnie.

– Jest i przysięga, że mył się cały przed samą wizytą. Słyszysz, cały.

– Przecież nie będziemy sprawdzać...

– Musimy wierzyć na słowo – przygryzła usta.

Ujęły się pod ręce i szły przez szereg pokoiów, zalanych mrokiem nadchodzącego wieczoru, umeblowanych z nadzwyczajnym przepychem.

– Co robisz, Róża?

– Nudzę się i udaję przed gośćmi, że mnie bawią, a ty?

– Nic nie udaję przed nikim i także się nudzę.

– Okropne życie! – szepnęła Róża z westchnieniem. – I dokąd się to ma ciągnąć?

– Ty wiesz najlepiej dokąd, do śmierci chyba.

– Ach, co ja bym dała, żebym się mogła zakochać, co ja bym dała.

– Siebie i miliony w dodatku.

– Chciałaś powiedzieć: miliony i siebie w dodatku – powiedziała cierpko a drwiąco.

– Róża! – szepnęła Mela z wyrzutem.

– No, cicho, cicho! – ucałowała ją serdecznie. Weszły do niewielkiego pokoju, zupełnie czarnego, bo meble, obicia ścian, portiery, wszystko było pokryte czarnym pluszem lub czarną,

matową farbą.

Pokój robił wrażenie kaplicy przedpogrzebowej.

Dwóch, zupełnie nagich, przegiętych w tył olbrzymów, z ciemnego brązu, unosiło w herkulesowych rękach, nad głową wielkie gałęzie dziwacznie poskręcanych storczyków, o kryształowych białych kwiatkach, z których mżyło na pokój elektryczne światło.

Na czarnych kanapkach i fotelikach niskich siedziało kilka osób w milczeniu i w najswobodniejszych pozach, a nawet jeden z mężczyzn leżał na dywanie, pokrywającym całą posadzkę; dywan był także czarny, miał tylko w środku wyhaftowany olbrzymi bukiet czerwonych storczyków, które, niby potworne, dziwaczne, powyginane robaki, zdawały się pełzać po pokoju.

– Will, na przywitanie Meli mógłbyś wyrzucić koziołka – zawołała Róża.

Wilhelm Müller, olbrzymi jasnowłosy drab, w obcisłym kostiumie cyklisty, podniósł się z fotelu, rzucił na dywan, przekręcił się trzy razy w powietrzu z wprawą gimnastyka zawodowego i stanął na środku pokoju, kłaniając się po cyrkowemu.

– Brawo, Müller! – zawołał leżący na dywanie pod oknem, zapalając papierosa.

– Mela, chodź mnie pocałować – mówiła rozrośnięta panna, leżąca na niskim, biegunowym krześle, leniwie nadstawiając policzek. Mela ją pocałowała i usiadła na kanapce obok Wysockiego, który, pochylony nad małą, szczupłą, różową

blondynką, trzymającą nogi na taburecie, szeptał po cichu i co chwila otrzepywał klapy, chował w głąb rękawów dość brudne mankiety, wykręcał energicznie wąsiki blond i dowodził:

– Z punktu właśnie feministycznego nie powinno być żadnych różnic prawnych pomiędzy kobietą a mężczyzną.

– No tak, ale ty Mieczek jesteś nudny! – skarżyła się załośnie blondynka.

– Nie witasz się ze mną, Mieczek! – szepnęła Mela.

– Przepraszam panią, panna Fela właśnie nie da się przekonać.

– Wysocki płaci podwójną karę: Meli powiedział pani, a Feli panna, płac Mieczek! – wołała Róża, przyskakując do niego.

– Zapłacę, Róża, zaraz zapłacę – zaczął się rozpinąć i szukać po wszystkich kieszeniach.

– Mieczek, nie rozpinaj no się zupełnie, to nie jest zabawne – szczebiotała Fela.

– Ja za ciebie zapłacę, jeśli nie masz pieniędzy.

– Dziękuję ci Mela, pieniądze mam, byłem dzisiaj w nocy wzywany do chorego.

– Róża, dlaczego ja się potrzebuję nudzić? – jęknęła Toni z fotelu biegunowego.

– Will, zabaw Toni, słyszysz, próżniaku!

– Nie chcę, muszę się przeciągnąć, bo mnie krzyż boli.

– Dlaczego ciebie boli krzyż?

– Toni, jego z tych samych powodów boli krzyż, co ciebie – śmiała się Fela.

– Trzeba go wymasażować.

– Ja bym chciała mieć twoją fotografię, Will, ty dzisiaj mocno wyglądasz – szepnęła Róża, w jej szarych wielkich oczach zaczęły skrzyć się zielonawe błyski, przygryzła usta bardzo szerokie i wąskie, co niby kresa czerwona przecinały jej twarz długą, biało-przeźroczystą, okoloną nimbem najczystszej miedzi, włosami rozdzielonymi na środku głowy i zaczesanymi na skronie i na uszy, że tylko ich różowe końce migotały olbrzymimi szafirami, oprawnymi w brylanty.

– Fotografujcie mnie w takiej pozie – wołał, kładąc się w znak na dywanie i z rękami podwiniętymi pod głowę leżał w całej swojej długości, śmiejąc się dźwięcznym, wesołym śmiechem.

– Siadźcie dziewczynki obok mnie! Chodźcie sikorki!

– On jest zupełnie dzisiaj ładny – szepnęła Toni, pochylając się nad jego jasną, młodą, typowo niemiecką twarzą.

– On jest młody – wołała Fela.

– Wolisz Wysockiego?

– Kiedy Wysocki ma takie cienkie nogi.

– Cicho, Fela, nie gadaj głupstw.

– Dlaczego?

– No, wprost dlatego, że nie wypada.

– Moja Róża, dlaczego nie wypada? Ja wiem, co mężczyźni opowiadają o nas, mnie wszystko Bernard mówi, on mi opowiadał taki jeden zabawny kawał, że umierałam ze śmiechu.

– Powiedz go Fela – szepnęła Toni, ziewając z nudów.

– Mała, jak opowiesz przy mnie, to ci już nigdy nic nie opowiem – zaoponował Bernard, leżący na dywanie.

– On się wstydzi! ha, ha, ha! – zerwała się z kanapki, zaczęła biegać po pokoju jak wariatka, przewracała sprzęty, zataczała się na Tonię.

– Fela, co ty wyrabiasz?

– Ja się nudzę. Róża, ja się wściekam z nudów.

Usiadła na stosie pluszowych, czarnych poduszek, jakie jej podsunął lokaj.

– Skąd ty, Wilu, masz tę szramę? – pytała, wodząc palcem długim i cienkim po czerwonej prędze przecinającej mu twarz od ucha do małych rozstrzępionych wąsików.

– Od szabli – odpowiedział, usiłując złapać jej palec zębami.

– O kobietę?

– Tak. Niech Bernard opowie, on mi sekundował tak głośno, że wszystkie bumy berlińskie wiedziały o tej sprawie.

– Powiedz Bernard.

– Dajcie mi spokój, nie mam czasu – mruknął Bernard, przewrócił się z boku na wznak i patrzył w sufit, po którym leciały za złotym wozem Aurory gromady nagich, skrzydlatych nimf; palił papierosa za papierosem, które mu podawał i zapalał stojący w drzwiach lokaj, ubrany w czerwoną francuską liberię – zresztą to sprawa za bardzo skandaliczna.

– Will, umawialiśmy się przecie, zawiązując nasze zebranie, że mamy mówić sobie wszystko, wszystko – mówiła Toni, przysuwając się bliżej z fotelem.

– Mów, Wilhelm, wyjdę za ciebie za mąż w nagrodę – rozśmiała się dziwnie.

– A ja bym cię wziął, Róża, ty masz w sobie grubego diabła.

– I jeszcze grubszy posag – rzuciła drwiąco.

– Kiedy to takie nudne! Will, zrób świnię, mój drogi, zrób świnię! – jęczała Toni, przeciągając się w fotelu z taką siłą, aż wielki guzik, imitujący kameę, oderwał się jej od stanika.

Czuła się tak znudzoną bezbrzeżnie, że żalonym głosem prosiła wciąż uparcie, jak dziecko:

– Zrób świnię, Will, zrób świnię!

Wilhelm stanął na czworakach, wygiął grzbiet i zaczął w krótkich, sztywnych podskokach, doskonale imitujących ruchy starej świni, oblatywać pokój, pokwikujać od czasu do czasu.

Tonia zanosila się szalonym śmiechem. Róża klaskała w dłonie z całych sił, a Fela biła piętami o dywan i trzęsła się z radości. Krótkie jej włosy rozplatały się i niby jasną wiechą zakryły jej twarz różową, rozbawioną niesłychanie.

Mela rzucała poduszkami w Müllera, również porwana ogólną wesołością, a Müller po każdym uderzeniu podskakiwał, wyrzucał zabawnie tylnymi nogami i kwiczał przeciągle, wreszcie zmęczony zaczął się wypałczonym grzbietem czochoać o nogi Róży, wreszcie położył się na środku dywanu, wyciągnął nogi i zupełnie niby świnią zmęczona chrząkał, mruczał i pokwikiwał jak przez sen.

– Nieporównany! Wyborny! – wołały z uniesieniem rozbawione panny.

Wysocki wytrzeszczonymi oczami, zdumiony przypatrywał się po raz pierwszy tej cyrkowej zabawie znudzonych milionerek;

zapomniał strzepywać klapy, nie wciskał mankietów w rękawy, nie kręcił wąsików, tylko wodził oczami po twarzach kobiet i mruknął z obrzydzeniem:

– Błazen.

– Z jakiego punktu? – zapytała Mela, która najpierw się uspokoiła.

– Ze wszystkich ludzkich punktów – odpowiedział twardo i podniósł się, oglądając za kapeluszem, w który Fela próbowała wsadzić obydwie nogi.

– Uciekasz, Mieciek? – pytała zdumiona jego surowym spojrzeniem.

– Muszę iść, bo muszę się wstydić tego, że jestem człowiekiem.

– François, otworzyć wszystkie drzwi, bo obrażone człowieczeństwo wychodzi – wołał drwiąco Bernard, który przez cały czas popisów Müllera leżał najspokojniej i palił papierosy.

– Róża, Mieciek się obraził i chce wyjść, nie pozwól mu.

– Mieciek, zostań! Co ci się stało? dlaczego?

– Dlatego, że ja nie mam czasu, przyrzekłem komuś, że przyjdę – tłumaczył się miękko, usiłując ściągnąć swój biedny cylinder z nóg Feli.

– Mieciek, zostań, proszę cię bardzo, przecież obiecałeś mnie odprowadzić do domu – szeptała gorąco Mela i bladą jej twarz pokrył rumieniec wzruszenia.

Pozostał, ale siedział chmurny i nawet nie odpowiadał na drwiące uwagi Bernarda, ani na burszowskie dowcipy Müllera,

który znowu się położył u nóg Róży.

Zapanowała zupełna cisza.

Elektryczność drgała w kryształowych kwiatach i mżyła błękitnawym pyłem światła na pokój, na matowe czarne ściany, z których, niby błękitne oczy, patrzyły cztery włoskie akwarele, oprawne w aksamitne czarne ramy, zawieszzone na jedwabnych sznurach, na te znudzone próżniactwem głowy, co żółtawymi plamami odcinały się od czarnego tła ścian i mebli, skrzyły się na ozdobach pianina z zielonawego brązu, stojącego w jednym rogu, które z odkrytą klawiaturą było podobne do jakiegoś potworu⁹¹, połyskującego długimi, żółtawymi kłami.

Przez zamknięte okiennice wewnętrzne i zapuszczone ciężkie czarne portyery, nie dochodziły z miasta żadne głosy, prócz huczącego, słabego szmeru i drgań bezdźwięcznych, co niby ledwo wyczute bicie pulsu rozlewały się po pokoju.

Dym, jaki ustawicznie puszczał kłębamii Bernard, snuł się sinawym, rzadkim obłokiem, przysłaniał złoty wóz Aurory i nimfy nagie, niby najcieńszą bengalią, opadał, czepiał się ścian i darł się w długie włókna o plusze i wypływał do dalszych pokojów drzwiami, w których, niby ostry krzyk w tej czarnej symfonii, czerwieniła się jaskrawo liberia lokaja, gotowego na każde skinienie.

– Róża, ja się nudzę, ja się śmiertelnie nudzę zajęczała Toni.

– A ja się bawię wesoło – zaczęła wołać Fela, podrzucając nogą cylinder Miecia.

⁹¹ *potworu* – dziś popr.: potwora. [przypis edytorski]

– Ja się bawię najlepiej, bo wcale nie potrzebuję zabawy – powiedział ironicznie Bernard.

– François, każ dawać herbatę! – rzuciła Róża.

– Róża, nie chodź, ja ci dokończę kawał.

Uniósł się na łokciu i szeptał, całując raz po raz różowy koniec ucha.

– Nie ugryź mi kolczyka! Za mocno! Masz takie gorące usta! – szeptała, przechylając głowę ku niemu, zagryzła usta, a spod przymkniętych, ciężkich, sinawych powiek zaczęły się skrzyć zielonawe błyski.

– Ze strachu zaczął się żegnać – szeptał głośniejsz Will.

– Cóż to – on katolik?

– Nie, ale co to szkodzi się zabezpieczyć.

Wysłuchiwała reszty kawału i nie roześmiała się znudzona.

– Wilhelm, ty jesteś dobry, kochany – mówiła, głaszcząc go po twarzy – ale twoje anegdoty są za bardzo berlińskie, nudne i głupie. Ja zaraz przyjdę, a tymczasem może Bernard co zagrasz.

Bernard powstał, pchnął nogą taburet do pianina i zaczął ze wściekłą brawurą grać trzecią figurę kadryla.

Ocknęli wszyscy z milczenia i nudy.

Wilhelm podniósł się i zaczął tańczyć trzecią figurę z Felą, tańczyli kontredansa z zacięciem kankana, włosy Feli trzęsły się jak pęk słomy na wichurze, zasłaniały jej oczy, opadały aż na brodę, fruwały za nią, odgarniała je ręką i tańczyła do upadłego.

Toni leżała w fotelu i znudzonym wzrokiem goniła za ruchami Willa.

Lokaj ustawiał z boku małe, hebanowe stoliczki, inkrustowane wytwornie perłową masą i kładł zastawę do herbaty.

Róża przeciągnęła się leniwie i utykając, i kołysząc szerokimi biodrami, szła ku drzwiom i zatrzymała się chwilę przy Wysockim, który półgłosem mówił:

– Słowo pani daję, że to nie dekadencja, to jest zupełnie co innego.

– Cóż to jest zatem? – pytała Mela, przytrzymując Wysockiemu rękę, żeby nie mógł otrzepywać się i wypychać mankietów.

– Ja bym chciała być dekadentką. Mieciek, czy ja mogę być dekadentką? Mieciek, ja chcę być dekadentką, bo ja się nudzę – wołała Toni.

– To jest tylko próżniactwo, pochodzące ze zbytku czasu i zbytku pieniędzy! Nuda jest chorobą bogaczy. Ty, Mela, nudzisz się, Róża się nudzi, Toni się nudzi, Fela się nudzi, no i z wami nudzą się te dwa bałwany, a poza wami połowa córek i żon milionerów nudzi się. Wszystko was nudzi, bo wszystko mieć możecie, co kupić można. Was nic nie obchodzi, chcecie się tylko bawić, a najszałeńsza zabawa kończy się również nudą. Z punktu socjalnego...

– Mieciek, ale ty o mnie źle nie myślisz? – przerwała, gładząc mu rękę.

– Nie robię wyjątków, zresztą tak samo należysz do rasy

zdegenerowanej, ze wszystkich ras najbardziej odbiegłej⁹² od natury, a to się mści na was samych.

– Słuchaj go, Mela, a on ci uczenie będzie dowodził ze wszystkich znanych sobie punktów, że największą zbrodnią na świecie jest posiadać majątek.

– Usiądź, Róża przy nas.

– Zaraz przyjdę, zjrzę do ojca.

Wyszła i z przedpokoju już oświetlonego elektrycznymi żyrandolami poszła na górę do gabinetu ojca, w którym było prawie ciemno.

Szaja Mendelsohn, okryty w rytualne szaty do modlitwy, z obnażoną lewą ręką, okręconą paskami, siedział na środku pokoju, modlił się półgłosem i pochylał poważnie.

W dwóch oknach stało dwóch starych, z siwymi brodami śpiewaków bóżniczych, okrytych w takie same rytualne zasłony, w białe i czarne pasy i wpatrzeni w ostatnie różowe brzaski dnia, jakie się barwiły na szarym tle nieba, kiwali się ustawicznie, śpiewając jakąś dziwnie namiętą i dziwnie smętną psalmodię.

Głosy były nabrzmiałe skargą i bólem i niby głosy trąb miedzianych, brzmiały wrzaskliwą żałością, to huczały głuchą rozpaczą, wybuchały jękiem beznadziejnym, wznosiły się krzykiem ostrym, przejmującym, który długo drgał w ciszy mieszkania; to znowu znizali głosy do szeptu i płynęła długa, słodka, melodia, jakby fletów śpiewających w wielkiej ciszy ogrodów kwitnących, wśród cieniów, dyszących aromatami

⁹² odbiegłej – dziś popr. tylko forma: odbiegającej. [przypis edytorski]

ambry, w półśnie pełnym ekstatycznych marzeń miłości, przez które wiły się akcenty wyraźne tęsknot i westchnień, jakby do palmowych ogrodów Jeruzalem, do pustyni smutnych i nieobjętych, do palących żarów słońca, do ojczyzny straconej, a tak kochanej.

Pochylali się coraz rytmiczniej, oczy im gorzały ekstazą i długie, siwe brody trzęsły się ze wzruszenia. Porywały ich własne głosy i te rytmy śpiewów, co się rozlewały z ich piersi na pusty, cichy, omroczony pokój i łkały, prosiły, błagały, drgały skargą przepojoną niedolą i sławiły dobroć i moc Pana nad Pany.

Poza oknami panowała cisza.

Wielkie koszary robotnicze po drugiej stronie ulicy, wprost okien gabinetu, zaczęły błyskać światłami na wszystkich piętrach, a z drugiej strony okien, bo gabinet był w narożniku, czernił się park zbitą gęstwą świerków, które przedzielały pałac od fabryk i bieleły się w zmroku, pomiędzy niskimi krzewami gazonów płaty nieroztopionego jeszcze śniegu.

Na wprost Szai, siedzącego w pośrodku, było wielkie narożne okno, którym leciały jego spojrzenia i zaczepiały się o olbrzymie kontury fabryk, najeżone kominami i narożnikami, podobnymi do baszt średniowiecznych.

Szaja modlił się gorąco, ale nie mógł ani na chwilę oderwać wzroku od tych murów potężnych, zlewających się coraz bardziej z nocą nadchodzącą; widać było w dali jej ciemny płaszcz, otulający miasto i jej pogodną, cichą twarz, patrzącą milionami gwiazd.

Śpiew ciągnął się do zupełnej nocy.

Śpiewacy zapakowali modlitewne szaty w aksamitne worki, na których lśniły się wyszyte złotem jakieś hebrajskie zgłoski.

– Masz, Mendel, rubla!

Dał mu srebrny pieniądz, który śpiewak oglądać zaczął troskliwie pod oknem.

– Zobacz, to jest prawdziwy rubel! A tobie, Abraam, to ja zapłacę dzisiaj tylko siedemdziesiąt pięć kopiejek, tobie się dzisiaj nie chciało, tyś symulował śpiewanie. Chciałeś oszukać mnie i Pana Boga?

Śpiewak popatrzył pełnymi łez i ekstazy oczami na Szaję, wziął rulon miedziaków, rzekł cicho pozdrowienie i wyszedł bez szelestu.

Róża cały czas stała przy drzwiach i słuchała tych śpiewów z takim uczuciem, że co chwila powstrzymywała się, aby nie parsknąć śmiechem.

Skoro tylko wyszli śpiewacy, nacisnęła guzik i światło elektryczne zalało pokój.

– Róża!

– Potrzeba ci czego? – pytała, siadając na poręczy fotelu, przy ojcu.

– Nie. Twoje goście przyszły.

– Są wszyscy.

– Bawią cię dobrze?

Zaczął głaskać ją po włosach.

– Nie bardzo. Nawet Müller nudny dzisiaj.

– Czemu ich trzymasz, przecież my możemy mieć gości wesołych. Chcesz, to ja Stanisławowi dam notę, żeby poszukał; w Łodzi nie brak ludzi wesołych. Po co się masz nudzić za własne pieniądze. A Wysocki, co to za człowiek?

– Doktor, to taki inny, zupełnie nie łódzki człowiek, on ma arystokratyczną rodzinę, jego matka jest z hrabiów, on ma herby.

– Tylko nie ma ich na czym nosić. Podoba ci się?

– Dosyć, bo jest niepodobny do naszych i bardzo uczony.

– Uczony?

Pogładził wspaniałym ruchem brodę i słuchał uważnie.

– On napisał książkę, za którą mu jakiś uniwersytet w Niemczech dał złoty medal.

– Duży medal?

– Nie wiem.

Zzymnęła pogardliwie ramionami.

– My do szpitala będziemy potrzebować doktora, ja bym go wziął, jak on taki uczony.

– Dużo płacisz?

– Płacę. Ale tu nie o to chodzi, miałby dużą praktykę i służyłby w mojej firmie, to samo warte pieniądze. Powiedz mu, niech jutro przyjdzie do kantoru. Ja lubię pomagać ludziom uczonym.

– Kazałeś Stanisławowi zaprosić do nas Borowieckiego?

– Róża, ja ci mówiłem, że Borowiecki jest człowiek Bucholca, a ja Bucholcowi i wszystkiemu, co jest jego, życzę wszystkich nieszczęść. Niech on zbankrutuje i pójdzie służyć. Ja przez tego

złodzieja, przez tego Szwaba, co on do Polski psami przyjechał i na nas zrobił pieniądze, niech on zmarnieje do dziesiątego pokolenia, ja przez niego chory jestem ciągle, mnie serce boli, on mnie ciągle okrada. A ten Borowiecki, to jego jest najgorszy Szwab! – wykrzyknął z nienawiścią.

– Ale przecież to Polak.

– Polak, ładny Polak, co jak zaczął drukować swoje bojki, to mi połowę towaru zwrócili z Rosji, powiedzieli, że paskudztwo, że Bucholca lepszy. To Polak tak robi! on psuje handel, on tym głupim chamom daje takie desenie i kolory, coby je wzięła każda hrabina, po co to? na co? Co ja straciłem przez niego! co straciłem, co stracili nasi. Przez niego co stracili te biedne tkacze! on zjadł starego Fiszbina, on zjadł trzydzieści innych firm. Ty mi nie mów o nim, bo mnie wszystko w środku boli, jak sobie ich przypomnę. On jest gorszy od najgorszego Niemca, bo jeszcze z Niemcem można pohandlować, a on jest pan, on jest wielki dziedzic! – plunął z pogardą i nienawiścią.

– Przysłać ci herbatę?

– Pojadę do Stanisława na herbatę, zawiozę Julci zabawki, które mi dzisiaj przysłali z Paryża.

Róża pocałowała ojca w policzek i wyszła.

Szaja się podniósł, zakręcił światło, bo lubił oszczędzać na wszystkim i chodził po ciemnym zupełnie pokoju.

Chodził i myślał o wiecznej swojej zmurze – o Bucholcu.

On go nienawidził całą potęgą żydowskiego fanatyzmu; nienawidził, jako fabrykanta-współzawodnika, którego nie mógł

przewyższyć niczym.

Bucholc zawsze i wszędzie był pierwszym i tego mu właśnie nie mógł darować Szaja, on, który się czuł pierwszą firmą łódzką, który był przewodnikiem tej masy żydowskiej, jaka go otaczała bałwochwalczym uwielbieniem, miłością i ciężką nędzarzy, zahipnotyzowanych milionami, jakie rosły w jego rękach z szybkością lawiny śnieżnej.

Przed czterdziestu laty, pamiętał dobrze te czasy, gdy Bucholc szedł już do milionów, on zaczynał karierę jako subiekt jakiegoś nędznego kramu na Starym Mieście ze specjalnością nawoływania i ciągnięcia kupujących, odnoszenia paczek do domów, uprzątnięcia czasami sklepu i trotuaru przed nim. Wystawał całe miesiące na trotuarze, żarty przez mrozy, moczony przez deszcze, palony przez skwary, popychany przez przechodniów, zawsze prawie głodny i obdarty, zawsze ochrypnięty od nawoływań, bez pieniędzy, sypiający za rubla miesięcznie w jakiejś strasznej norze nędzy żydowskiej, jakich pełno po miastach.

Potem zniknął nagle z trotuaru, na którym żył.

Zjawił się po paru latach nieobecności na bruku łódzkim i nikt go nie poznał.

Przyjechał z trochę pieniędzy i zaczął prowadzić interes na własną rękę.

Uśmiechnął się w tej chwili z politowaniem do tamtych czasów, przypomniał sobie ten nędzny wóz, którym rozwoził towar po wsiach okolicznych, tego konia, którego pasał nad

drogami, albo w zbożach chłopskich, tę stałą, okropną, nędzę, jaka go wciąż żarła, bo z pięćdziesięciu rubli kapitału, wliczając w to wóz i konia, musiał żywić siebie, konia, żonę i dzieci.

Potem te pierwsze warsztaty tkackie, jakie założył, te tysiące drobnych oszustw na wadze surowego materiału, jaki wydawał tkaczom, biorącym robotę do domu, na miarze, na własnym i swej rodziny żołądkach, na wszystkim – nim zaryzykował wydzierzawić jakąś opuszczoną fabryczkę.

On pierwszy, gdy mu iść zaczęło, pozaprowadzał agentów po miasteczkach, sam nie spał, nie jadł, nie żył, robił tylko i oszczędzał.

On pierwszy dawał na kredyt każdemu kto tylko chciał i sam zaczął obracać kredytem, bo Bucholc i niemieccy fabrykanci łódzcy posługiwali się na stary sposób – gotówką.

On pierwszy rozpoczął robić tandetę, obniżyć jakość produkcji łódzkiej, która do jego czasów cieszyła się dobrą opinią.

On prawie pierwszy wprowadził, rozwinął i udoskonalił cały system wyzysku wszystkich i wszystkiego.

Po pożarze, jaki go dotknął, postawił własną fabrykę na tysiąc ludzi. Stał na fundamentach.

A szczęście szło za nim nieodstępnie; dziesiątki tysięcy, setki, miliony zaczęły płynąć ze wszystkich stron do jego kas; szły z pańskich dworów, z chałup chłopskich, z przeżartych brudem miasteczek, ze stolic, ze stepów, z gór odległych, płynęły coraz szerszymi strumieniami i Szaja rósł i potężniał.

Tracili inni, umierali, padali przez nieszczęścia i klęski ogólne, Szaja stał twardo, ciągle stare pawilony paliły się, a nowe i potężniejsze powstawały i ssały coraz potężniej ziemię, materiały, ludzi, mózgi, konkurentów i przerabiały to wszystko na miliony dla Szai.

Bucholc zawsze był większym, nie mógł go prześcignąć.

Szaja rósł i wstawała w nim coraz silniejsza żądza pokonania Bucholca, on każdego rubla, jakiego zarobił tamten, liczył za ukradziony i wydarty sobie, żył tą chimeryczną nadzieją, że go przerośnie, że przerośnie wszystkich, że ujrzy się tak wielkim nad Łodzią, jak ten komin potężny od maszyn głównych, który potworną sylwetką majaczył teraz w nocy, że zostanie królem tej Łodzi.

Bucholc wciąż był pierwszym, z nim się liczyła opinia kraju, jego słowo równało się monecie brzęczącej, u niego szukano rady i inicjatywy w wielu kwestiach ogólniejszych, jego towary miały najlepszą markę, jego otaczał pewien szacunek, gdy tymczasem Szaję, nawet równi mu szwindlami, obrzucali pogardą i nienawiścią.

Szaja nie mógł tego zrozumieć, zdawało mu się, że Bucholc obdziera go nie tylko z pieniędzy, ze wszystkiego, czego pragnął dla siebie, obdziera go z zaszczytu panowania nad tym morzem kominów.

Nienawidził go za to jeszcze więcej.

Chodził wciąż po ciemnym pokoju, spoglądał przez szyby na fabryki, to na domy robotników, oświetlone, jak latarnie,

i przystanął. Założył okulary i zaczął patrzeć na trzecie piętro domu, stojącego wprost pałacu, w trzy mocno oświetlone okna, poza którymi migotały czarne sylwetki ludzi.

Otworzył lufcik i słuchał.

Drżący głos skrzypiec śpiewał jakiegoś sentymentalnego walca, wtórowała mu jękliwie wiolonczela, to muzyka cichła, a natomiast wybuchał gwar kilkunastu głosów i śmiech rozlewał się kaskadą bujną na cichą ulicę razem z brzękiem szklanek i talerzy.

Bawiono się wesoło.

Szaja nacisnął guzik elektryczny na lokaja.

– Kto tam mieszka? – zapytał ostro, wskazując na okna.

– Zaraz się dowiem, jaśnie panie.

– Ja jestem chory, a oni się bawią! Za co oni się bawią? Skąd oni mają na zabawę? – myślał zirytowany, nie mogąc oderwać wzroku od tych okien.

– Dom E, trzecie piętro, pięćdziesiąty szósty numer, mieszka tam Ernest Ramisz, majster z piątej sali tkackiej – recytował prędko lokaj.

– Dobrze. Pójdiesz i powiesz, żeby przestali grać, bo ja spać nie mogę, że ja sobie nie życzę, co by oni się bawili. Każ konie założyć. Ernest Ramisz, musi za dużo brać, kiedy go stać na zabawy – powtarzał, wrażając sobie w pamięć to nazwisko.

VIII

– Przyjadę w tej chwili. Do widzenia – odpowiadał ze złością Borowiecki do telefonu, bo Lucy go prosiła, aby natychmiast przyjechał do lasku Milscha, gdyż ma niesłychanie ważny interes.

– Na taki czas jechać do lasku! Wariatka, jak Boga Kocham – szeptał ze złością.

Od szóstej bowiem siedział w kantorze, nie miał ani chwili wolnego czasu, chodził do fabryki pilnować drukowania nowych deseni, jeździł do centralnego biura w kwestii nadużyć, jakie Bucholc odkrył w głównym magazynie, latał, pisał, wydawał tysiące poleceń, tysiące spraw kotłowało mu się w mózgu, tysiące ludzi czekało na jego dyspozycje, setki maszyn oczekiwały rozkazów, kłócił się z Bucholcem, był zdenerwowany do tego kilkudniowym oczekiwaniem na telegram od Moryca, jak stoi bawełna, był zmęczony pracą, tym strasznym, codziennym jarzmem, jakie, wyręczając Knolla, wziął na swój kark, ogłuszony rozmiarami i ilością interesów, jakie musiał prowadzić, a tu jeszcze ta wariatka woła go gdzieś za miasto, na schadzkę.

Irytował się coraz bardziej.

Nie miał nawet dzisiaj czasu wypić herbaty, bo Bucholc, chociaż chory, kazał się zanieść do kantoru z fotelem, do wszystkiego się wtrącał, krzyczał na wszystkich i rozsiewał tylko

strach i zamieszanie pomiędzy urzędnikami.

– Panie Borowiecki – zawołał, siedząc z obwiniętymi nogami, w wytartej, futrzanej czapce na głowie i z kijem na kolanach. – Zatelefonuj pan do Marksa, żeby nie dawać ani za rubla towaru Milnerowi w Warszawie. On miał u nas kredyt i za dużo już jest winien, a mam właśnie notę o nim, że bardzo prędko idzie do plajty.

Borowiecki zatelefonował i przeglądał jakieś potężne kolumny cyfr.

– Panie Horn! Sprawdź pan ten fracht, tam jest omyłka, kolej pobrała za dużo, musieli z innego numeru taryfy policzyć – zawołał do Horna, który już od kilku dni, to jest od niedzieli, został przeniesiony na żądanie Bucholca z podręcznego kantoru drukarni i blichu do jego osobistego. Horn, bardzo blady, z oczami zaczerwienionymi zmęczeniem i bezsennością, rachował sinymi ustami machinalnie, mylił się, nie mógł skupić uwagi, kolumny cyfr tańczyły mu przed oczami niby kłęb sadzy.

Ziewał ciągle i znudzonym wzrokiem spoglądał na zegar; czekał z utęsknieniem południa.

– Tej babie, którą pan protegujesz, niech dadzą dwieście rubli i niech idzie się zapić. Ona cała ze swoimi szczeniakami nie warta pięćdziesięciu!

– To wydział prawny załatwił tę sprawę?

– Tak, ona musi nas pokwitować urzędownie. Bauer, dopilnuj tej sprawy, niech się to skończy nareszcie, bo babę jeszcze kto namówi, żeby nas zaskarżyła do sądu.

Horn pochylił niżej głowę, aby ukryć złośliwy, tryumfujący uśmiech.

– Pan prezes ma konie w domu?

– Potrzebne panu, to pan bierz, bierz pan, ile razy potrzeba. Zaraz zatelefonuję do stajni. Kundel, popchnij – krzyknął na lokaja, który popchnął fotel pod telefon, funkcjonujący w obrębie fabryk jego.

– Stajnia! – krzyknął, dzwoniąc gwałtownie. – Powóz natychmiast do pałacu. Ile razy zażąda koni pan Borowiecki – przyjeżdżać! Bucholc mówi, kundlu! – krzyknął w odpowiedzi telefonistce, zapytującej się kto mówi.

Lokaj z powrotem przysunął go do biurka i stanął z boku.

– Horn, siądź pan przy mnie, podyktuję. Pan się prędzej ruszaj, kiedy ja mówię do pana – krzyknął ze złością.

Horn zagryzł tylko usta, usiadł i pisał po dyktandzie, które mu szybko rzucał Bucholc, nie przestając załatwiać równocześnie innych interesów i krzycząc chwilami:

– Pan nie śpij! Ja panu nie za spanie płacę – i mocno stukał kijem w podłogę.

Horna tak to irytowało, taki był zresztą dzisiaj zniecierpliwiony, że z trudem hamował wybuch, wrzał cały.

Telefon zaczął dzwonić.

– Baron Oskar Meyer pyta się, czy zastanie za pół godziny pana prezesa?

– Panie Borowiecki, powiedz mu pan, że nie przyjmuję nikogo, leżę w łóżku.

Karol odtelefonował natychmiast i słuchał znowu.

– Czego on jeszcze chce?

– Mówi, że ma ważny, osobisty interes.

– Nie przyjmuję! – zakrzyczał. – Baron Oskar Meyer może mieć ważny interes do mojego psa, a nie do mnie. Kundel! Cham! – mruczał w przestankach dyktanda.

Nie cierpiał bowiem Meyera i kpił najgłośniej w Łodzi z baroństwa, jakie sobie kupił w Niemczech Meyer, dawny jego tkacki robotnik, a dzisiaj fabrykant wyrobów wełnianych, rozporządzający milionami.

– Spiesz się pan! – zawołał ze złością na Horna.

– Obu rękami pisać nie umiem.

– Co to znaczy?

– Nie mogę prędzej pisać, niż piszę.

Bucholc dyktował dalej i wolniej nieco, bo Horn, jakby na złość, pisał niesłychanie wolno i coraz mocniej ściągał brwi z gniewu.

W kantorze zrobiło się cicho.

Borowiecki już w palcie stał pod oknem i niecierpliwie czekał na konie.

Urzednicy, z przykutymi do pulpitów twarzami, pracowali gorączkowo, bojąc się głośniej oddychać lub słowo zamienić ze sobą, ze względu na obecność Bucholca, który wszystkich przejmował strachem, prócz jednego Bauera, starego przyjaciela i powiernika prezesa, tego samego, który musiał zakomunikować tajemnie ową depeszę Zukerowi, jak kombinował Karol.

Konie wreszcie przysły i za wychodzącym spiesnie Borowieckim zawołał Bucholc:

– Zjrzyj pan jeszcze po przyjeździe.

Nie odpowiedział nic, tylko zaklął po cichu, bo był tak zmordowany robotą i tym wyczekiwaniem denerwującym na depezę od Moryca, że upadał wprost ze zmęczenia.

Kazał stangretowi jechać do lasku Milscha.

Przed starym browarem, olbrzymim budynkiem, na pół zrujnowanym, który, niby trup, leżał już za miastem, kazał zatrzymać konie i zaczekać na siebie.

Obszedł te opuszczone mury z powybijanymi oknami, bez drzwi, bez bram, z dachami pozapadanymi, ze ścianami porozwalanymi, co się rudą cegłą rozsypywały w grząskie błoto, obszedł jakieś parkany, osłaniające składy i po rozmiękłym zagonie, zapadając po kostki w błoto, wszedł do tak zwanego lasku Milscha.

– Niech diabli wezmą histeryczki! – klął coraz energiczniej, bo gliniasta, rozmiękła ziemia tak oblepiała mu obuwie, że z trudem wyciągał nogi, – romantyczka jerozolimska! – dodawał ze złością, bo czuł się śmiesznym w tej roli kochanka, zmuszonego po błocie lecieć na schadzkę gdzieś aż na drugi koniec miasta, do lasu, w marcu!

Dzień był posepny, chmury płynęły nisko nad ziemią i rozsącały się z wolna w drobny, przenikliwy deszcz. Łódź tonęła w brudnych, prawie czarnych oparach i dymach, które leżały niby opona nad miastem, jakby się wspierając na tysiącach

kominów.

Borowiecki przystanął chwilę pod ścianami restauracji letniej, przypierającej do lasu, która teraz była zamknięta, okna miały kagańce okiennic, wielkie werendy były zapchane stołami i krzesłami i drzwi pozabijane deskami, tylko pomiędzy nagimi drzewami, nad żółcącymi się żwirem uliczkami, bieleły się nieposprzątane ławki, zarzucone gnijącymi liśćmi.

Ciszej było za tą zasłoną, ale że stąd nic nie mógł dojrzeć, zapuścił się w lasek.

Lasek był nędzny, świerkowy i konał powoli, zabijało go sąsiedztwo fabryk, te niezliczone studnie, wiercone coraz głębiej, które osuszały okoliczne grunta i zabierały drzewom wszelką wilgoć i ta rzeczka odpływów ścieków fabrycznych, co, niby różnokolorowa wstęga przewijała się pomiędzy pożółkłymi drzewami, wsączała rozkład w te potężne organizmy i roztaczała dokoła zabójcze miazmaty.

Pod osłoną drzew, na drózkach leżał jeszcze śnieg, a drogą, którą zimą nikt nie jeździł, a chodzili tylko robotnicy z pobliskich wsi, ciągnęły się głębokie ślady stóp, wyciśnięte w zielonawym, przemiękłym śniegu.

Borowiecki ślizgał się po błocie i po śniegu, potykał się o korzenie drzew i szedł w głąb, nie mogąc nigdzie dojrzeć Lucy.

Zirytowany bezowocnym poszukiwaniem i zimnem, i tą wilgocią przejmującą, miał już zawrócić do powozu, gdy zza grubszego drzewa, gdzie stała zaczajona, rzuciła mu się na szyję Lucy z taką gwałtownością, że mu zrzuciła kapelusze na ziemię.

– Kocham cię, Karl! – szeptała, całując go namiętnie.

Odpowiedział na pocałunek, ale nie rzekł nic, bo mu się chciało kłąć ze złości.

Ujęła go pod ramię i spacerowali tak pomiędzy drzewami, po rozkwaszonym, oślizgłym gruncie.

Las szumiał jakoś smutnie i głucho i trzął na nich razem z igłami schnących świerków deszcz, co z szelestem coraz głośniejszym trzepał w gałęzie.

Lucy rozmawiała niestrudzenie, przeplatając rozmowę pocałunkami i pieszczotliwym, kocim przytulaniem się do niego. Paplała, jak dzieciak, o wszystkim, przeskakiwała z przedmiotu na przedmiot, nie kończąc jednego zdania, zaczynała drugie pocałunkiem. Wybuchwała wesołym, szczerym śmiechem za najlżejszym powodem.

Wyglądała przy tym prześlicznie, w jakimś półwiosennym angielskim kostiumie, w wielkiej futrzanej pelerynie czarnej, z kołnierzem à la Medicis z piór strusich, w ogromnym czarnym kapeluszu, spod którego jej cudowne oczy świeciły się jak dwa szafiry.

Porywało ją to romantyczne spotkanie z kochankiem.

Nie chciała się z nim spotkać w mieście, bo pragnęła nadzwyczajności jakiej bądź, pragnęła niepokoju, dreszczu emocji. Wymyśliła więc to spotkanie w lesie i teraz się nim rozkoszowała całą swoją duszą znudzoną, nie zwracając nawet uwagi na milczenie Karola, który odpowiadał zaledwie monosylabami i często spoglądał na zegarek.

Co ją to obchodziło, był przy niej, czasem oddawał pocałunek tak namiętnie, że aż białawą mgłą zachodziły jej oczy, mogła mu mówić o swojej miłości, mogła mu się rzucać co chwila w ramiona i mogła uczuwać to słodkie zdenerwowanie, przesycone obawą, aby ich kto nie spostrzegł.

Oglądała się co chwila z przestachem na wszystkie strony, a gdy drzewa zaszumiały głośniejsz lub wrony z krzykiem zrywały się z drzew i leciały ku miastu, przytulała się do niego z krzykiem przerażenia i trzęsła się cała, że musiał rozwiewać jej obawy pocałunkami i zapewnieniami, że są zupełnie bezpieczni.

– Karl, masz rewolwer – zapytała.

– Mam.

– Wyjmij, mój złoty, mój jedyny. Widzisz będę się czuć bezpieczniejszą. Nie dałbyś mnie, prawda? – szeptała, przyciśnięta do niego.

– O, możesz być pewną. Ale czego się boisz?

– Ja nie wiem czego, ale się bardzo boję, bardzo – i oczy jej biegały szybko po lesie.

– Tutaj nie ma zbójców, daję ci słowo.

– Gdzież tam, czytałam niedawno, że w tym lesie zabili powracającego z roboty robotnika, wiem z pewnością, że tutaj zabijają – wstrząsnęła się nerwowo.

– Bądź spokojną, przy mnie nic ci się złego nie stanie.

– Wiem, ty musisz być bardzo odważny. Kocham cię, Karl, pocałuj mnie, tylko mocno, mocno.

Zaczął ją całować.

– Cicho! – zawołała, odrywając usta od jego ust. – Ktoś woła!
Nikt nie wołał; las szumiał i pochylał się wolno i automatycznie, wysokie drzewa zdawały się koronami rozmiatać kłęby mgieł, co płynęły z pól coraz chyżej i coraz niksze, bo deszcz poczynął padać rześisty i sypał się na las niby grube ziarno, i bębnił z łoskotem w blaszane dachy restauracji.

Karol rozłożył parasol i stanęli pod drzewem, które ich nieco ochraniało.

– Zamoczysz się, bardzo mi żal, że na taką pogodę jesteś wystawiona.

– Karl, ja to bardzo lubię.

Zdjęła rękawiczkę i wystawiła długą, białą rękę na deszcz.

– Jeszcze się przeziębisz i rozchorujesz.

– To byłoby dobrze, leżałabym w łóżku i mogłabym ciągle, ciągle myśleć o tobie.

– Tak, ale ja nie mógłbym cię wtedy widzieć.

– O, to nie chcę. Już całe trzy dni cię nie widziałam i nie mogłam wytrzymać, musiałam koniecznie z tobą się spotkać.

A ty, czy myślałeś o mnie?

– Musiałem, bo nie potrafiłem myśleć o czym innym.

– Jak to dobrze. Czy ty mnie jeszcze kochasz, Karl?

– Kocham, wątpisz?

– Wierzę ci, że będziesz mnie kochał zawsze.

– Zawsze.

Usiłował zmiękczyć głos i twarzy nadać ton szczęśliwości, ale nie bardzo mu się to udawało, bo kamaszki mu przemiękły, miał

pełne kalosze wody i błota, a zresztą tyle jeszcze dzisiaj roboty.

Byli ze sobą z godzinę i zdecydowała się dopiero do powrotu, gdy jej twarz i ręce tak zziębły, że musiał je rozgrzewać pocałunkami, a przy rozstaniu, kiedy zapytał, czy istotnie miała tak ważny interes, o którym telefonowała, rzuciła mu się na szyję.

– Kocham cię, chciałam ci to powiedzieć, chciałam cię zobaczyć!

Odeszła wreszcie i powracała po kilka razy, żeby się raz jeszcze pożegnać i raz jeszcze zapewnić go o swojej miłości i prosić, żeby się nie wychylał z lasu, póki nie wsiądzie do powozu, czekającego w uliczce, obstawionej parkanami.

Świstawki obiadowe zaczynały przecinać powietrze ze wszystkich stron, gdy się wydostał do powozu i prawie galopem pojechał do kantoru.

Zastał tylko Bucholca i Horna, bo reszta już się rozproszyła na obiad.

– Pan za mocno akcentujesz swoje słowa – szeptał Bucholc, wyciągając się w fotelu.

– Nie umiem inaczej mówić – warczał Horn.

– Potrzeba, żebyś się pan nauczył, bo ja tego nie znoszę.

– To mi jest Schwam-drüber⁹³, panie prezesie – mówił prawie spokojnie, tylko usta mu drgały nerwowo, a niebieskie oczy pociemniały nagle.

– Do kogo to pan mówisz? – podniósł nieco głos.

⁹³ *Schwam-drüber* (niem. *Schwamm drüber*) – zapomnijmy o tym; nieważne. [przypis edytorski]

– Do pana prezesa.

– Panie Horn, ja pana ostrzegam, bo ja za wiele cierpliwości nie mam, ja panu...

– Nie potrzebuję wiedzieć, czy pan jest cierpliwy, czy nie, to mnie nie obchodzi.

– Nie przerywaj pan, kiedy ja mówię, kiedy Bucholc mówi!

– Nie widzę przyczyny, dlaczego nie może być cicho Bucholc, kiedy Horn mówi.

Bucholc zerwał się, ale tylko syknął z bólu, gładził przez chwilę okręcone nogi i oddychał ciężko, przykrył powiekami oczy, złość nim trzęsła, ale milczał, bo chciał panować nad sobą.

Horn, który z całą świadomością i nawet z pewną metodą rozdrażniał go coraz bardziej, złożył książki, najspokojniej zabrał swoje ołówki, gumy i obsadki, owinał je w papier i schował do kieszeni.

Robił to wszystko bardzo wolno i spoglądał na Borowieckiego, który zdumiony jego zachowaniem i tą niesłychaną kłótnią, nie wiedział, co zrobić ze sobą. Nie mógł wziąć strony Horna, bo nie wiedział, o co im poszło, a zresztą nie ująłby się i tak za nim, bo więcej go obchodził Bucholc. Patrzył więc zgorszony na Horna, który spokojnie kładł kalosze i uśmiechał się sinymi z irytacji ustami.

– Pan u mnie miejsca nie masz, ja pana wyrzucam – szepnął Bucholc.

– Ja sobie robię grubą nieprzyzwoitość z pana i z pańskiego miejsca.

Wsadził drugi kalosz.

– Prócz tego, każę cię wyrzucić za drzwi.

– Spróbuj chamie! – krzyknął, ubierając się spiesznie w palto.

– Kundel, za drzwi z nim! – szepnął jeszcze ciszej Bucholc,

ściskając nerwowo kij.

– Daj spokój, August, nie próbuj, bo tobie razem z twoim panem nadłamię żeber.

– Verflucht⁹⁴! Za drzwi z nim! – zakrzyczał.

– Milczeć, złodzieju! – ryknął Horn, chwytając za jakiś ciężki stołek i gotów był bić, gdyby go był ktokolwiek dotknął. –

Milczeć, ty szwabska mordo! ty szakalu! – rzucił stołkiem pod biurko i wyszedł, trzasnąwszy tak silnie drzwiami, aż wszystkie szyby z nich wyleciały.

Borowiecki wysunął się już przedtem.

Bucholc opadł z jękiem, nieprzytomny prawie z gniewu, miał tyle tylko sił, że nacisnął guzik elektryczny i przyduszonym, ochrypłym głosem szepnął:

– Policja.

Długa cisza zapanowała w pustym kantorze. Lokaj stał bez ruchu, przestraszony i nie wiedział, co robić, patrzył na twarz siną Bucholca i na wykrzywione z bólu usta, który oprzytomniał wreszcie, otworzył oczy, popatrzył na pusty kantor, poprawił się w fotelu i po długiej chwili zawołał łagodnie:

– August!

Lokaj podszedł ze strachem, bo jak tylko wołał po imieniu

⁹⁴ *verflucht* (niem.) – przeklęty. [przypis edytorski]

i udawał łagodnego, wtedy był najstraszniejszym.

– Gdzie pan Horn?

– Jaśnie pan go wyrzucił, to i poszedł.

– Dobrze. A gdzie pan Borowiecki?

– Zajrzał tylko i zaraz wyszedł, musiał iść na obiad, bo już po dwunastej, fabryki dosyć dawno gwizdały na południe – przeciągał umyślnie odpowiedzi.

– Dobrze. Stań z boku.

Lokaj drgnął, ale wypełnił rozkaz.

– Słucham! – rzekł bardzo pokornym głosem.

– Kazałem ci wyrzucić tego psa, dlaczego nie słuchałeś, co?

– Jaśnie panie, on sam wyszedł! – zaczął się tłumaczyć ze łzami.

– Milczeć! – krzyknął i uderzył go z całej siły kijem przez twarz.

August bezwiednie cofnął się w tył.

– Stój, chodź bliżej!

I gdy lokaj pod wpływem strachu znowu się przysunął, przytrzymał go za rękę i potężnie obłożył kijami.

August nie próbował się nawet wydzierać, odwrócił tylko twarz, żeby ukryć łzy, które mu się strumieniem lały po wygolonych policzkach, a gdy Bucholc przestał go bić, śmiertelnie zmęczony, i leżał w fotelu jęcząc, zaczął obwijać mu nogi we flanele, które się pozsuwały podczas gwałtownych poruszeń.

Karol tymczasem, nie chcąc być świadkiem awantury,

wyniósł się i pojechał na obiad.

Jadał w tak zwanej „kolonii” na Spacerowej.

„Kolonie” składało kilkanaście kobiet, Polek, wyrzuconych przez los z różnych części Kraju na bruk łódzki.

Były to przeważnie rozbitki życiowe: wdowy, eks-obywatelki ziemskie, eks-kapitalistki, eks-panie, stare panny i młode dziewczyny, które przyszły tutaj szukać pracy. Bieda je połączyła i bieda wyrównała pomiędzy nimi różne towarzysko-kastowe nierówności.

Zajmowały na ulicy Spacerowej całe piętro, urządzone na sposób hotelowy. Korytarz biegł wzdłuż całego mieszkania i kończył się przy wielkim, narożnym pokoju, służącym za wspólną dla wszystkich jadalnię.

Karol i Moryc jadal tam obiady razem z kilkoma kolegami.

Przyszedł spóźniony nieco, bo wielki okrągły stół był już obsadzony stołownikami.

Jedzono pośpiesznie w milczeniu, nikt nie miał czasu na pogawędkę, a wszyscy co chwila podnosili głowy i nadśluchiwali, czy nie odzywają się już świstawki.

Karol usiadł obok tej baronowej, która w sobotę przewodniczyła w łoży, uścisnęła kilka rąk w milczeniu, kiwnęła kilka razy głową dalej siedzącym i zabrał się do jedzenia.

– Horna nie było jeszcze? – zapytał ktoś przez stół pani Łapińskiej.

– Spóźnia się jakoś dzisiaj – szepnęła.

– Przyjdzie dopiero wieczorem – poinformowała młoda

dziewczyna, z obciętymi krótko włosami, które co chwila odgarniała z czoła.

– Dlaczego, Kama?

– Miał dzisiaj zrobić awanturę Bucholcowi i wymówić mu miejsce.

– Mówił Kamie o tym? – zapytał żywo Karol.

– Taki plan miał.

– On nigdy, jak widzę, nie robi nic bez planu – chodząca metoda.

– Zawzięty Niemczyk!

– O, pan Sierpiński nazywa Horna Niemczykiem, ciociu! – zaprotestowała Kama.

– Nie tylko zawzięty, on ma nawet w gniewie metodę.

– Ba, widziałem go raz, jak u nas w kantorze kłócił się z Müllerem.

– A ja przed chwilą zostawiłem go w podobnej sytuacji z Bucholcem.

– Co się stało, panie Karolu? – zawołała żywo Kama i przybiegła do Borowieckiego, zanurzyła mu we włosy swoją drobną, dziecinną jeszcze rączkę i pociągając go za głowę, wołała rozpieszczonym głosem: – Ciociu, niech pan Karol powie!

Kilka głów podniosło się znad talerzy.

– Przy mnie nic się nie stało jeszcze, a co po moim wyjściu – nie wiem. Szło na ostro. Horn z całą serdecznością przekonywał Bucholca, że jest złodziejem i szwabską mordą.

– Ha, ha, brawo Horn, dzielny chłopak.

– Szlachecka krew, panie dobrodzieju, tak czy owak, a zawsze się pokaże – mruzczał Sierpiński ukontentowany, obcierając potężne, wyczernione wąsy.

– A ja pana kocham, bo pan jest porządny szlachcic, prawda ciociu?

– A ja Kameę panie dobrodziejki także...

– Kocham tak, czy owak – dokończyła Kama ze śmiechem.

– Nie tyle ma Horn dzielności, ile zwykłego, bezmyślnego zawadiactwa – powiedział Karol niechętnie.

– Zabraniamy tak mówić o Hornie – wołały kobiety, spoglądając na Kameę, która puściła głowę Karola, odsunęła się gwałtownie i rozczzerwieniona, a pałającymi oczami mierzyła go gniewnie.

– Nie odwołam, com powiedział i nie przestanę tego dalej dowodzić. Chciał rzucić miejsce – mógł; miał jakie pretensje do Bucholca, mógł je wyłuszczyć; z Bucholcem łatwiej się porozumieć, niż z innymi, bo Bucholc ma rozum. Ale po co było robić podobną awanturę, chyba tylko dla popisu, żeby o nim w Łodzi mówiono. Tak, chłopaczki będą podziwiać jego śmiałość i odwagę. Wielkie bohaterstwo – nawymyślać choremu człowiekowi. Bucholc mu tego nigdy nie daruje, będzie się na nim mścił do śmierci, on ma dobrą pamięć.

– O, to nie długo, dzięki Bogu, bo on podobno bardzo chory – zawołała z uniesieniem Kama.

– Kama, co ty wygadujesz?

– A zresztą, figę mu zrobi. Horn pojedzie do Warszawy, do domu i będzie sobie kpił z Bucholca. Prawda, ciociu?

– A co nawymyślał Szwabowi, to mu nikt tego nie odbierze.

– Bucholc ma długie ręce, dostaną i do Warszawy. Znajdzie sposób zwrócenia na niego uwagi, zrobi tak, jak zrobił Müller z Obrębskim i Horn może się dobrze przechłodzić, będzie miał czas.

Świstawka gdzieś niedaleko rozległa się przeraźliwie.

– Krzeczkowski, to twój słowik cię wabi – zaśmiał się któryś.

– Niechaj straci głos – szepnął wysoki, chudy blondyn w okularach, podniósł się i wyszedł z pośpiechem.

– Czy istotnie szło tak ostro, panie Karolu – pytała pani Stefania, przysiadając się do niego, również dzisiaj liliowa, jak i w sobotę była w teatrze.

– Więcej, jak ostro, bo Horn gotów był się rzucić na Bucholca.

– Zuch chłopak, panie dobrodziejki, trzeba było Szwaba przytrzymać za czuprynę i potem tak i owak, z jednej i drugiej strony nafasonować.

– Panie Sierpiński, to nie sprawa z ratajem⁹⁵.

– A cóż to, wiadomo, panie dobrodziejki, że Bucholc traktuje wszystkich jak psów. Psiakrew – zatkał gwałtownie usta. – Przepraszam, panie dobrodziejki, zapomniałem się, ale moje bydlę już na mnie ryczy – mówił spieszenie, całował wszystkie kobiety w ręce z pośpiechem, bo gruby, huczący świst przedzierał się przez szyby i wołał go do roboty.

⁹⁵ rataj – robotnik sezonowy na wsi; wyrobnik. [przypis edytorski]

I tak prędko po kolei odrywali się od stołu, rzucali niedokończony obiad, kiwali głowami, nie mając czasu na inne pożegnania i wybiegali, ubierając się już w palta na schodach i lecieli do fabryk, porywani tymi świstami, co jak kanonada rozlegały się nad miastem i zwoływały do pracy. Każdy znał głos swojej świstawki i każdy, usłyszawszy ten nienawistny głos, rzucał wszystko i biegł, aby się tylko nie spóźnić.

Borowiecki tylko nie zważał na to i Malinowski, młody technik z biura Szai, który wciąż milczał, jadł i w przerwach pisał coś szybko w notesie, leżącym obok talerza, czasem powłóczył zielonymi oczami po twarzy pani Stefanii, wzdychał cicho, przegarniał włosy i kręcił gałki z chleba, którym się następnie długo przypatrywał.

Twarz miał bladą jak surowy perkal, zupełnie popielate włosy i wąsy, no i te dziwne oczy zielone, które ciągle zmieniały kolor. Zwracał zawsze ogólną uwagę, bo był bardzo piękny i bardzo nieśmiały, i bardzo zamknięty w sobie.

– Ciociu, czy pan Malinowski mówił co dzisiaj? – zapytała Kama, która ze szczególną sympatią torturowała go codziennie.

Łapińska nic nie odpowiedziała, zajęta rozmową z Borowieckim, a Malinowski opuścił oczy i uśmiechnął się dziwnie słodko i znowu coś pisał w notesie.

I kobiety, siedzące przy stole, zaczęły z wolna podnosić się i wychodzić, każda z nich bowiem pracowała w jakimś interesie. Dzwonek zadźwięczał w przedpokoju z gwałtownością.

– To mój Mateusz, telegram! – zawołał Karol, znający dobrze

sposób dzwonięcia famulusa, który istotnie wszedł zaraz, niosąc telegram od Moryca.

– To przyszło dopiero i zaraz jeźdem – meldował.

– A *to* niech zawsze wyciera nogi w przedpokoju, jeśli *to* ma zabłocone buty! – komenderowała energicznie Kama.

Borowiecki, nie zważając na ciekawe spojrzenia, usunął się pod okno i czytał:

Dobrze. Knoll, Zucker, J. Mendelsohn – kupują.
Pierwszą partię wysłałem rano. Zwoź do mnie. Piętnaście procent drożej. Zapasy małe.

Za tydzień powrócę.

Karol chciwie przeczytał ten telegram i nie mógł ukryć zadowolenia.

– Dobre wiadomości, panie Karolu? – zapytała pani Stefania, patrząc się liliowymi oczami w jego rozjaśnioną twarz.

– Bardzo dobre!

– Od narzeczonej! – wykrzyknęła Kama.

– Tylko od Moryca z Hamburga. Ładna narzeczona. Niech Kama będzie grzeczna, to wyswatam za Moryca.

– Żydziak, nie chcę, nie chcę – wołała, tupiąc nogami.

– No, to za Bauma.

Kamy już nie było w pokoju.

Zaczął się żegnać z pozostałymi

– Już przecież pana gwizdawki nie wołają.

– Pomimo to, dzisiaj mi pilniej niż kiedykolwiek.

– Prawda, pan dla nas nigdy nie ma czasu, już trzy niedziele

z rzędu nie było pana wieczorem – lekki wyrzut brzmiał w jej głosie.

– Pani Stefanio, nie śmiem wierzyć nawet, że brak mój zauważono, nie jestem tak zarozumiałym, ale jestem pewny, że opuszczając te wieczory, straciłem daleko więcej niż pani, daleko więcej.

– Kto to wie? – szepnęła cicho, podając mu rękę na pożegnanie, którą on ucałował bardzo mocno i wyszedł.

W przedpokoju zastąpiła mu drogę Kama.

– Panie Karolu, ja mam do pana bardzo wielką prośbę, bardzo wielką, bardzo...

– Słucham i z góry obiecuję wszystko spełnić. Niech dziecko prosi.

Kama nie patrzyła na niego; te krótkie, czarne włosy, poskręcane w pierścionki, zasłoniły jej całe czoło; nie odgarniała ich wcale; oparta plecami o drzwi, z piąstkami zaciśniętymi, zbierała długo całą swoją odwagę.

– Niech pan nie prześladowuje Horna, niech mu pan pomoże. On wart tego, on taki dobry, taki szlachetny, a jemu tak źle w Łodzi, tak źle, jego nikt nie lubi i wszyscy się z niego śmieją, a ja tego nie chcę, mnie to tak bardzo boli, ja bym tak pragnęła, Jezus Maria... Ja tego nie chcę! – wykrzyknęła, wybuchając płaczem i uciekła do saloniku, gubiąc jeden pantofel z nogi.

– Dziecko się kocha – pomyślał, powstał chwilę, podniósł pantofelek i poszedł z nim do saloniku, otworzył drzwi i stanął zdumiony.

Kama, w pończochach tylko, goniła naokoło stołu małego białego bonończyka, który z pantoflem w zębach biegał dookoła.

Śmiała się do rozpuku i koniecznie usiłowała go złapać, ale mądry pies umiał się jej zawsze wykręcić w ostatniej chwili i uciec, a gdy zwalniała pogoń, kładł pantofelek i szczekał wesoło.

– Picoło, daj Kamie, słuchaj Kamy Picoło – wołała do niego, zdradziecko się podsuwając, ale pies przeczuwał manewr, chwycił w zęby pantofel i uciekał.

– Za to ja Kamie oddaję zgubę, chociaż mógłbym śmiało zatrzymać.

– Ciociu! – zawołała przestraszona, przykucając na środku pokoju, aby ukryć nogi.

Postawił pantofelek na podłodze i wyszedł szczerze rozbawiony.

Pobiegł do kantoru Moryca obejrzeć składy, gdzie miała być ładowana bawełna.

Powracając, natknął się na Kozłowskiego, tego operetkowego Warszawiaka, poznanego u Murray'a.

– Bon jour, dyrektorze – zawołał, wyciągając rękę w eleganckiej, czerwonej rękawiczce.

– Morgen!

– Pójdę z panem kawalek.

Zsunął gałką laski cylinder nieco w tył.

– A i owszem, będzie mi przyjemniej. Jakże interesa.

– Świetnie, ma się wie. Pomysł doskonały, już mam, szukam

tylko pieniędzy. Rzepa, nie facetka, o! – zawołał, wykręcając się za jakąś kobietą i z ukontentowaniem nasunął sobie laską cylinder mocno na czoło.

– Cóż to, w tej branży chcesz pan pracować?

– Nie zrobiłbym na tym w Łodzi żadnego interesu. Wczoraj dopiero spotkałem pierwszą ładną kobietę w Łodzi, ma się wie, że musi być nietutejsza do tego.

– Są i w Łodzi ładne kobiety.

– Słowo honoru, że tego nie powiem. A przecież ciągle jestem na mieście, ciągle szukam, no, bo ma się wie, bez kobiet i do tego pięknych, nie rozumiem życia.

– No, a ta wczorajsza? – Wywabiał go Karol, bo go facet zaczął interesować i bawić.

– Aha, zaraz. Idę Piotrkowską, powracałem z Grandu. Patrę, wali wprost na mnie jakaś niewiasta. Kostium – szyk, buzia – caca, figura zacna, włosy smoła, oczy – szafir przykopcony, biodra – wal czwórką, wzrost – grzeczny, a jakże. No, smok, nie kobieta! A usta, no, mówię dyrektorowi, dwa najwspanialsze zraziki.

– Musiał pan jeszcze nie jeść obiadu? – przerwał mu Karol.

– Dlaczego? – zapytał ostro, zsuwając cylinder w tył.

– Że panu przyszło takie kulinarne porównanie.

– Z dyrektora wesóły pasażer! – zawołał i po przyjacielsku klepnął go w brzuch. – Ma się wie, wykręciłem z miejsca i walę za nią. Ona furt idzie, a ja za nią. Za Nowym Rynkiem, tam na dole, błoto było na trotuarze, więc moja facetka parasolik

pod pachę, sukieneczkę w obie rączki i jazda dalej! U! frajdę miałem zacząć, nóżki wprost boskie, można by bucik całować. Obejrzałem ją ze wszystkich boków, a ta wciąż udaje, że mnie nie widzi. Wyprzedziłem i stanąłem przed jakąś wystawą, a kiedy nadchodziła, patrzę się jej w oczy. Uśmiechnęła się cudownie, buchnęło na mnie jak z pieca, spaliła mnie oczami. Idziemy dalej, ona naprzód, a ja krok w krok za nią. Kto to może być? Za bardzo ostentacyjnie nie zwraca na mnie uwagi, to coś podejrzanego. A że ja mam pewną metodę, podług której oceniam kobiety, więc zaczynam ją oglądać na fest. Pozory miała wielkiej wytworności, ale zobaczyłem, że uczesana była niedbale, to pierwszy minus; kapelusz miała z pewnością paryski, to znowu plus; kostium drogi, wełna w najlepszym gatunku, solidnie zrobiony i dobrze przystosowany do obecnej pory, to plus drugi; ale patrzę lepiej i nad bucikami rudzieją zwykłe, ordynarne fil de cosy; to mnie zmieszało, powinna była mieć jedwab to minus podwójny!

– Pan pracował w damskim interesie? – przerwał mu ironicznie.

– Nie, ale ja się znam na tych rzeczach, badałem je metodycznie, ja, panie, po sposobie ubrania, po szczegółach garderoby poznaję: kto? skąd? ile?

– Więc któż była owa piękność?

Nie powiedział mu, że z opisu poznał Zuckerową.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «Литрес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на Литрес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.